

SHERRYL WOODS

*"Wróg, przyjaciel,
kochanek*

Scandalous

PROLOG

Stary zegar w sieni wybił północ. Karen weszła do kuchni i nastawiła czajnik, a potem, z filiżanką świeżej herbaty, usiadła przy stole, żeby przejrzeć pocztę. Po ciężkim dniu czuła się śmiertelnie zmęczona. Przez chwilę wahała się, od czego zacząć - od rachunków czy od intrygującej koperty z ozdobnym nadrukiem. Wreszcie odsunęła na bok rachunki. Pod koniec miesiąca zawsze było ich o wiele za dużo, a konto, jak zwykle, świeciło pustkami. Obawy, że nigdy nie uda im się odbić od dna i nie będą mogli pozwolić sobie na zatrudnienie paru stałych pracowników, zaczęły przeradzać się w pewność. Wyglądało na to, że do końca życia będą musieli sami wykonywać najcięższe prace, mając do pomocy jedynie dwóch sezonowych robotników.

Tego dnia do północy pracowali w stajni; Caleb został tam jeszcze, żeby ratować chorego cielaka. Wiecznie balansując na granicy bankructwa, nie mogli sobie przecież pozwolić na utratę choćby jednej sztuki bydła. Karen wciąż miała przed oczami zmęczoną twarz męża, a w uszach dźwięczały jego gniewne słowa. A przecież Caleb był z natury pogodnym, zrównoważonym człowiekiem.

Zdecydowanym ruchem rozdarła grubą, elegancką koper-

tę z zaproszeniem na szkolny zjazd w Winding River, jej rodzinnym mieście, oddalonym o sto mil od ich farmy. W jednej chwili uleciały wszelkie troski. Pomyślała o przyjaciółkach, tak dawno ich nie widziała. Dziewczynach, które wciąż prześladował pech w miłości i które nieustannie pakowały się w tarapaty.

Takie spotkanie to rzeczywiście świetny pomysł. Kilka dni w miłym towarzystwie przyniesie jej trochę wytchnienia, a ich małżeństwu tak bardzo upragnioną odmianę. Pracą ponad siły w pełni zasłużyli na odrobinę rozrywki. Caleb, starszy o kilka lat, nie chodził z nimi dó tej samej klasy, polubił jednak szczerze jej przyjaciółki. A ponieważ pozostał jedynym wciąż aktualnym małżonkiem w ich gronie, skakały koło niego i rozpieszczały w sposób, który kępował go, ale i cieszył zarazem.

Kiedy Caleb wrócił wreszcie ze stajni, głowę wciąż miała zajęta myślami o spotkaniu z Cassie, Giną, Lauren i Emmą. Popatrzyła na niego i spróbowała ocenić, w jakim jest humorze. Ale on bez słowa otworzył lodówkę, wyjął puszkę piwa i jednym haustem pochłonał jej zawartość, jakby paliło go w gardle. Dopiero wtedy spojrzął na żonę, a potem na kopertę, którą trzymała w ręku.

- Co to jest?

- Zaproszenie. Moja maturalna klasa organizuje zjazd. W lipcu. - Posłała mu promienny uśmiech. - Och, Caleb, czeka nas świetna zabawa. Gina, Lauren i reszta na pewno przyjadą. Będą różne imprezy, piknik, tańce, no i oczywiście doroczny pokaz fajerwerków na Czwartego Lipca.

- A ile to będzie kosztowało? Pewnie sporo?

Entuzjazm Karen nagle przygasł.

- Nie aż tak dużo. Myślę, że możemy sobie na to pozwolić.

Caleb z wyrzutem wskazał na stertę rachunków.

- Nie zapłaciliśmy za prąd, z należnością za zboże i paszę zalegamy już od dwóch miesięcy, a tobie się zachciewa jakichś wygłupów. Poza tym, nie mamy się gdzie zatrzymać. Zapomniałaś, że twoi rodzice wyprowadzili się z Winding River? Mamy przejechać sto mil tam i z powrotem w jeden dzień? Motele są drogie.

- Musimy pojechać - nalegała. - Załatwię jakiś nocleg.

- Jeżeli nie będziemy liczyć się z groszem, za rok możemy zostać bez dachu nad głową.

Karen wiedziała, że tego najbardziej się obawiał. Słyszała to już nie pierwszy raz, ale za każdym razem równie poważnie brała to sobie do serca. Wiedziała także, że gra toczy się nie tylko o utrzymanie rancza, które jej mąż ukochał nade wszystko i które należało do jego rodziny od trzech pokoleń. Nie była to także kwestia dumy. Chodziło raczej o to, żeby ranczo nie dostało się w ręce człowieka, którego Caleb uważał za swojego największego wroga.

Człowiek ów, Grady Blackhawk, od lat robił wszystko, by przejąć posiadłość Hansonów. Nie było tygodnia, żeby nie przypominał im o swoim istnieniu; dnia wolnego od wrażeń, że krąży wokół jak sęp, czyhając tylko na ich upadek. Motywów Grady'ego Karen nigdy tak do końca nie poznała, bo Caleb nie chciał z nią o tym rozmawiać. Blackhawk przedstawiał jako wcielonego diabła i nieustannie ostrzegał przed nim żonę.

- Nie bój się, Caleb, nie stracimy rancza - powiedzia-

ła, modląc się w duchu o cierpliwość. - Nie dostanie go ani Grady Blackhawk, ani nikt inny.

- Chciałbym mieć tę twoją pewność. Masz ochotę na koleżeńskie spotkanie, to sobie jedź, ale beze mnie. Ja mam co robić. Muszę walczyć o dach nad głową.

Po tych słowach Caleb wypadł z domu i Karen nie widziała go aż do rana.

Nie wrócili więcej do tego tematu, jednak, ku jej zdumieniu, po kilku dniach Caleb przeprosił ją i wręczył czek na pokrycie kosztów podróży.

- Miałaś rację. Ten wyjazd jest nam bardzo potrzebny. Zobaczmy się z twoimi koleżankami i może nawet trochę potańczymy - powiedział, mrugając znacząco, by jej przypomnieć, że zakochali się w sobie właśnie na parkiecie.

Karen cmoknęła go w policzek.

- Dziękuję, kochanie. Zobaczysz, nie pożałujesz, będzie cudownie.

I rzeczywiście było cudownie. Jednak próba nadrobienia zaległości spowodowanych wyprawą do Winding River okazała się ponad siły Caleba. Zastabł na drugi dzień po powrocie na ranczo. Jego i tak już mocno nadwerżone serce nie wytrzymało dodatkowego obciążenia.

W drodze do szpitala Karen wyrzucała sobie, że powinna była to przewidzieć i dobrze się zastanowić, kiedy decydowała się przedłużyć o kilka dni wizytę w mieście, by jak najdłużej pobyc z przyjaciółkami.

Czy można było jednak mieć jej to za złe? Widywały się tak rzadko! Emma robiła karierę jako adwokat w Denver, Lauren święciła triumfy w Hollywood, Gina prowadziła ekskluzywną włoską restaurację na Manhattanie w No-

wym Jorku, a Cassie mieszkała w małym miasteczku, oddalonym o kilkaset mil od Winding River. Co w tym naganego, że chciała wykorzystać każdą minutę ich spotkania? Przecież już sam widok przyjaciółek podnosił ją na duchu.

Była właśnie z Cassie w Denver i czekała na wynik operacji jej matki, kiedy otrzymała wiadomość, że Caleb został zabrany do szpitala. Podczas podróży do Laramie tysiące myśli przelatywały jej przez głowę. A przyjaciółkom, mimo usilnych starań, nie udało się uwolnić jej od przytłaczającego poczucia winy.

Bo i jak? Przecież to ona nalegała na ten wyjazd. I to przez jej nieobecność Caleb musiał podołać podwójnemu ciężarowi codziennych obowiązków. Nic dziwnego, że ich nie udźwignął i w końcu zasnął. Była to wyłącznie jej wina i nie daruje sobie tego do końca życia.

Gdy Caleb wyzdrowieje, bo tego była pewna, postara mu się wszystko wynagrodzić i będzie pracowała jeszcze ciężiej niż dotąd.

W szpitalu lekarz powitał ją grobową miną.

- Za późno. Nie dało się już nic zrobić.

Patrzyła na niego w osłupieniu, nie przyjmując do wiadomości tego, co próbował jej przekazać.

- Za późno? - wyszeptała, kiedy przyjaciółki się przy niej skupiły, żeby ją podtrzymać. - Czy on...? - nie była nawet w stanie wymówić tego słowa.

Podobnie zresztą jak lekarz, który pokiwał tylko głową.

- Tak mi przykro, pani Hanson. To był rozległy zawał.

Przykro mu, tylko tyle. Tymczasem jej zawałił się świat. Zmarł nagle i przedwcześnie - ukochany przyjaciel, mąż i towarzysz życia.

Rzecz w tym, że żadne żale nie przywrócą jej Caleba i nie uratują rancza przed zakusami Grady'ego Blackhawa. To ona musi je teraz obronić. I dokona tego, bez względu na wysiłek, jakiego będzie wymagać to przedsięwzięcie. Jej mąż zapłacił najwyższą cenę - oddał za to przekłete ranczo własne życie.

Scandalous

ROZDZIAŁ 1

Karen siedziała nad talerzem ciasta, które tego ranka podrzuciła jej Gina. Cały stół był zasłany folderami, wybranymi przez zatroskane przyjaciółki. Popijając wystygłą herbatę, patrzyła na kolorowe fotografie. Nie śmiała ich nawet dotknąć, gdyż wręcz kusiły, by cisnęła wszystko w diabły i wyjechała - choćby na koniec świata.

Przyjaciółki dobrze wiedziały, jak odwrócić jej myśli i czym ją skusić. Wybrały wszystkie te miejsca, o których mówiła jeszcze w szkole. Oczywiście Londyn. Marzenie numer jeden, bo tam powstała większość jej ulubionych książek. A także Włochy, z renesansową Florencją, monumentalnym Rzymem i romantyczną Wenecją. No i wreszcie Paryż, z kafejkami wzdłuż cienistych bulwarów, z Luvrem i katedrą Notre Dame. Dorzuciły także rejs po wyspach Morza Egejskiego oraz, dla przeciwwagi, odpoczynek w modnym kurorcie na Hawajach.

Dawniej takie fotografie pobudziłyby jej wyobraźnię, a możliwość wyboru jednego z tych pięknych miejsc sprawiłyby ją w radosne podniecenie. Dziś jednak nie odczuwała nic prócz smutku. Bo i z czego miałyby się cieszyć? Jeżeli po tylu latach mogłaby wreszcie spełnić

marzenie, to tylko pod warunkiem, że odrzuciłaby wszystko, co było Calebowi drogie i co było dla niego ważne.

Caleb nie żyje! Ilekroć o tym myślała, na nowo przeżywała wstrząs, chociaż od jego pogrzebu upłynęło już ponad pół roku. Jak to możliwe, żeby śmierć zabrała człowieka, który nie dobiegł czterdziestki? Przy tym zawsze wydawał się taki silny i zdrowy. A choć był starszy od niej o dziesięć lat, to właśnie jego witalność i pasja życia urzekły ją już od pierwszego wejrzenia. Nic nie wskazywało na to, że miał tak słabe serce.

Łzy napłynęły jej do oczu, potoczyły się po policzkach i rozprysły na kolorowych broszurach reklamujących podróże, o których marzyła i z których zrezygnowała, żeby poślubić ukochanego mężczyznę.

Nie było dnia, w którym Karen nie winiłaby rancza za to, że zabiło jej męża. Oskarżała także samą siebie. Obsta-
jąc przy udziale w zjeździe koleżeńskim, również przyczyniła się do jego śmierci. I choć od tamtej tragicznej chwili minęło już tyle czasu, nic nie było w stanie zmienić jej przekonania.

Czas nie zdołał ukoić bólu i zmniejszyć poczucia winy. Przyjaciółki zaczynały się już poważnie o nią martwić, a jednym z objawów ich troski był plik folderów, który nadszedł wraz z pocztą tego ranka. Doskonale pamiętały, że już w szkole planowała zostać stewardesą, agentem biura podróży albo pilotem wycieczek, byle tylko móc zobaczyć kawałek świata. A teraz, wskrzeszając dawne marzenia, próbowały namówić ją na chwilę odpoczynku.

Odpoczynek, a jakże! To właśnie taki krótki odpoczynek, który zafundowała sobie z okazji szkolnego spotka-

nia, stał się przyczyną śmierci męża. Prowadzenie rancza - zwłaszcza tak wielkiego - wyklucza przecież jakikolwiek odpoczynek. To katorżnicza praca niemal bez przerwy; ogromny wysiłek, który często przynosi bardzo mizerne plony.

Był czas, kiedy wspólnie z Calebem snuli plany podróży do wszystkich tych miejsc, które tak bardzo chciała zobaczyć, zanim go poznała. Mąż akceptował jej marzenia, nawet jeśli ich nie podzielał, gdyż jedyną jego pasją byłoranczo.

Oczywiście mieli wspólne cele. Pragnęli zapełnić dom dziećmi, ale wciąż odkładali to do czasu, gdy ich sytuacja finansowa się poprawi. Bo kiedyś musiała się wreszcie zmienić. Caleb jej to przecież obiecał.

A teraz nie będzie już żadnych dzieci. Nie będzie też wakacji w egzotycznych krajach. Przynajmniej spędzanych wspólnie z mężem. Nie udało im się wyjechać dalej niż do Cheyenne, w zaledwie trzydniową podróż poślubną.

Przewidując protesty, że nie stać jej na takie luksusowe wakacje, przyjaciółki wpłaciły zaliczkę na podróż do miejsc, których zwiedzenie niegdyś planowała. Musiał to być ekstrawagancki prezent od Lauren i od Emmy, bo tylko one - gwiazda filmowa i wzięta adwokatka - mogły sobie pozwolić na taki wydatek.

Cassie poślubiła wprawdzie niedawno syna miejscowego właściciela ziemskiego, zamożnego informatyka, przeżywała jednak poważne małżeńskie kłopoty. Cole, jej mąż, wciąż nie mógł jej wybaczyć, iż przez lata ukrywała przed nim, że jej dziesięcioletni syn, bardzo rezolutny chłopiec, jest dzieckiem Cole'a. Dlatego nie śmiałyby go o nic pro-

sic, choć z pewnością dałby jej pieniądze, gdyby został wtajemniczony w plany przyjaciółek. Karen ani przez moment w to nie wątpiła. Po śmierci Caleba to właśnie on zajął się wszystkim, zaproponował przystanie ludzi do pomocy, ale ona się nie zgodziła. Postanowiła wziąć cały ciężar prowadzenia rancza na własne barki. Miała to być pokuta, którą sama sobie zadała.

Co do Giny - wszystko wskazywało na to, że popadła w jakieś finansowe tarapaty, choć kategorycznie odmawiała odpowiedzi na pytania dotyczące jej restauracji oraz powodów, które wyгнаły ją z Nowego Jorku. Teraz, w Winding River, całymi dniami wypiekała ciasta, a nocami pracowała we włoskiej restauracyjce, w której przed laty podjęła decyzję o otwarciu własnego lokalu. Od czasów szkolnego zjazdu kręcił się przy niej jakiś przystojny mężczyzna, ona jednak wyraźnie nie zamierzała przedstawiać go nikomu ani tłumaczyć jego obecności.

Karen była wdzięczna przyjaciółkom za serce, jakie jej okazywały. Doceniła również ich hojność. Jednak nawet wyjazd na jeden dzień do Cheyenne wydawał się obecnie nierealną mrzonką. Praca na ranczu nie skończyła się wraz ze śmiercią jej męża. Wprawdzie pomocnicy, Hank i Dooley, dwoili się i troili, ale zaczęli powątpiewać nie tylko w to, czy kiedykolwiek dostaną wypłatę, lecz czy w ogóle uda się utrzymać ranczo. Mieli powody do niepokoju, a Karen nie potrafiła im powiedzieć, co będzie dalej. Wiedziała jednak, że Dooley, który pracował u Hansonów od trzydziestu lat, zdołał przekonać młodego i bardziej impulsywnego Hanka, by dał jej trochę czasu na uporządkowanie wszystkich spraw.

Teraz był dopiero styczeń, a ona mogła im najwyżej zaproponować, żeby poszukali sobie innej pracy, póki ich znów nie zatrudni na wiosnę. Byłoby to w sumie najlepsze wyjście, bo znała ich i miała do nich zaufanie. Znacznie lepsze niż szukanie nowych ludzi w kwietniu, gdy nadejdzie pora wiosennych prac.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że, podobnie jak Caleb, zaczyna widzieć wrogów za każdym rogiem. Caleb miał wręcz obsesję na punkcie Grady'ego Blackhawka. Wydawało mu się, że Blackhawk tylko czyha, by przejąć jego ranczo. To prawda, że Grady zawsze chciał je mieć - nigdy nie robił z tego tajemnicy, zwłaszcza ostatnio, po śmierci Caleba - nie sądziła jednak, by zamierzał to osiągnąć, instalując szpiega wśród jej pracowników.

Nagle zrozumiała, że odpoczynek jest jej bardzo potrzebny. Znacznie bardziej, niż się do tego chciała przyznać. Po dłuższym namyśle odważyła się sięgnąć po folder reklamujący atrakcje Londynu.

Obejrzała zdjęcia pałacu Buckingham, Old Vic, Harrodsa i katedry Świętego Pawła i spróbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał Londyn zimą, kiedy śnieg pokryje ulice i dachy. Przed oczyma przesunęły jej się niektóre sceny z ulubionych angielskich powieści. O tak, to byłaby cudowna wyprawa. Ucieleśnienie jej najgorętszych marzeń.

Otrząsnęła się nagle. Nie, to niemożliwe!

Kiedy z ciężkim westchnieniem odłożyła broszurę na stół, ktoś zamykał drzwi.

Otworzyła - i serce zamarło jej w piersi. W progu stał Grady Blackhawk. Od pogrzebu Caleba dzwonił co jakiś

czas, a ponieważ ignorowała jego telefony, najwidoczniej stracił w końcu cierpliwość i wreszcie pojawił się we własnej osobie.

- Dzień dobry, pani Hanson. - Skłonił się uprzejmie i dotknął runda kapelusza.

Jak zwykle był ubrany na czarno. Przemknęło jej przez głowę, że przypomina przysłowiowy czarny charakter, ale zaraz odrzuciła tę dziwną myśl. Grady nie wyglądał na człowieka, który przybywa w złych intencjach. Był poważny, skupiony i zagadkowy.

Już w chwili poznania Karen odniosła wrażenie, że otacza go jakaś dziwna aura. Lubiła rozwiązywać zagadki, jednak ten człowiek musiał pozostać dla niej tajemnicą. Przecież był odwiecznym wrogiem jej męża.

Mogła sobie doskonale wyobrazić dezaprobatę rodziców Caleba, gdyby się dowiedzieli, że przyjmuje u siebie Grady'ego Blackhawka. Nie miała wątpliwości, że plotki na ten temat szybko by do nich dotarły. Większość sąsiadów żyła znacznie bliżej z Hansonami, którzy mieszkali tu od lat, niż z Karen, która nawet po dziesięciu latach małżeństwa z Calebem uważana była za przybysza. Mogła być pewna, że jeśli zrobi jeden nierozważny krok, w Tucson natychmiast rozdzwonią się telefony.

- Chyba dałam panu jasno do zrozumienia, że nie mamy o czym rozmawiać - powiedziała sucho, nie zapraszając Grady'ego do środka. Z dwojga złego wolała już wpuścić do domu mroźne powietrze niż człowieka, którego spojrzenie zbijało ją z tropu.

Ten tajemniczy mężczyzna o kruczoczarnych włosach i ciemnych oczach był teraz również jej wrogiem. Niena-

wiść do niego, wraz z podupadającym ranczem, odziedziczyła po mężu.

Pomyślała, że chciałyby kiedyś zrozumieć, dlaczego Grady'emu tak bardzo zależy akurat na tym konkretnym kawałku ziemi. Miał przecież własną posiadłość w sąsiednim hrabstwie, i to sporą - przynajmniej sądząc z tego, co słyszała. Mimo to od dawna usilnie zabiegał o przejęcie rancza Hansonów.

Całymi latami próbował odebrać Hansonom ich posiadłość, podobnie jak przed nim jego ojciec. I nawet nie chodziło o to, że nie chciał zapłacić, bo był na to przygotowany. Wszystko sprowadzało się jednak do tego, że domagał się czegoś, do czego nie miał praw, a' co postanowił zdobyć za wszelką cenę.

Caleb twierdził, że Grady nigdy nie miał żadnych skrupułów i ostrzegał, że będzie bezwzględnie dążył do celu. Próbował już kiedyś wykupić ich weksle, na szczęście dyrektor banku przyjaźnił się z ojcem Caleba i w porę uniemożliwił tę transakcję.

Ponadto Caleb utrzymywał, że Grady musiał mieć coś wspólnego z wirusem, który przetrzebił w zeszłym roku ich stado. Obarczał go także winą za pożar, który dwa lata wcześniej zniszczył pastwiska, pozbawiając zwierzęta paszy.

Oczywiście nie było żadnych dowodów, a tylko same podejrzenia, w które Karen nigdy tak do końca nie uwierzyła. Przecież po każdym kataklizmie, który dotykał ranczo Hansonów, Grady pojawiał się niemal natychmiast, z książeczką czekową w ręku. Nie byłby chyba aż tak głupi, żeby to robić, gdyby maczał w tym palce. Wiedział

przecież, że podejrzania padały przede wszystkim na niego. A może gotów był na każde ryzyko, byle tylko osiągnąć swój cel?

- Myślę, że rozmowa leży w interesie nas obojga - powiedział, a Karen ponownie zarumieniła się pod jego spojrzeniem.

- Wątpię.

Udał, że nie słyszy jej odpowiedzi, i nie ruszył się z miejsca, choć wszystko wskazywało na to, że nie zamierza zaprosić go do środka.

- Nigdy nie robiłem tajemnicy z tego, że zależy mi na tym ranczu.

- To prawda. - Spojrzała na niego, zaintrygowana. - Dlaczego akurat na tej ziemi? Co takiego ma w sobie to konkretne miejsce? W imię czego pan i pański ojciec całym latami prześladowaliście Hansonów?

- Jeżeli pozwoli mi pani wejść, wszystko wyjaśnię. Może wtedy przestanie pani widzieć we mnie wroga.

Karen stała przez chwilę bez ruchu. Niechęć i ciekawość walczyły w niej o lepsze. W końcu zwyciężyła ciekawość. Odsunęła się od drzwi. Grady wszedł do kuchni, powiesił na haku kapelusz, a potem usiadł przy stole, nie zdejmując wierzchniego okrycia. Najwidoczniej nie zamierzał długo zabawić.

Powiódł uważnym spojrzeniem po wnętrzu, po czym wzrok jego spoczął na porzrzucanych folderach.

- Wybiera się pani na wycieczkę? - zapytał ze zdumieniem. - Nie wiedziałem, że ma pani dość pieniędzy, żeby jechać do Europy.

- Nie mam - odburknęła, zastanawiając się, jak dalece

był zorientowany w stanie jej finansów. Chociaż, musiała to w duchu przyznać, wszyscy wokół wiedzieli, że od lat walczyli z Calebem o przeżycie. - Mają je za to moje przyjaciółki i namawiają mnie, żebym sobie zrobiła wakacje.

- A co pani na to?

- Nigdzie nie pojedę, wiedząc, że krąży pan jak sęp i czeka tylko na moje najmniejsze potknięcie, żeby odebrać mi ranczo.

Grady zachnął się.

- Wiem, co czuł do mnie pani mąż, ale naprawdę nie jestem pani wrogiem. Proponuję uczciwą transakcję. Pani ma coś, czego zawsze pragnałem. A ja mam gotówkę, która ułatwi pani życie. To naprawdę bardzo proste.

- Niestety, nic tu nie jest proste. Mój mąż kochał to ranczo i choćby tylko dlatego nie sprzedam go komuś, kogo zawsze uważał za złodzieja.

- To dość brutalna opinia o człowieku, którego pani tak naprawdę nie zna - zauważył Grady ze spokojem.

- To była jego opinia, nie moja. A Caleb nie zwykł oceniać ludzi pochopnie. Jeżeli panu nie ufał, to znaczy, że miał po temu powody.

- A pani nadal zamierza ślepo wierzyć w jego osady?

Teraz to ona się wzdrygnęła. Lojalność lojalnością, ale poczucie przyzwoitości nie pozwalało jej przyjmować wszystkiego na wiarę.

- Niech mnie pan spróbuje przekonać, że jest inaczej - odparła wyzywającym tonem. - Że nie miał pan nic wspólnego z plagami, które spadły na nasze stado. Że

kiedy próbował pan wykupić nasze weksle i wejść na hipotekę, kierowały panem wyłącznie uczciwe intencje.

Oskarżenia wcale go nie zaskoczyły.

- Sprzeda mi pani wtedy ranczo? - zapytał tylko.
- Tego nie powiedziałam, ale przestanę uważać pana za złodzieja, jeżeli się okaże, że nie zasłużył pan sobie na to miano.

Grady się uśmiechnął - i w ułamku sekundy przeistoczył się w mężczyznę pełnego uroku. Karen zaniemówiła z wrażenia, ale nie mogła przecież tego po sobie pokazać. W końcu człowiek ten jeszcze nie dowiódł swojej uczciwości, a ona poważnie wątpiła, czy mu się to kiedykolwiek uda.

- Jeżeli zapewnię panią, że żaden z tych zarzutów nie jest prawdziwy, nawet ten dotyczący hipoteki, uwierzy mi pani?
- Nie.
- To co mam zrobić?
- Odszukać sprawcę.

Grady pokiwał głową.

- Chyba będę musiał tak zrobić. A na początek opowiem pani pewną historię...

Jego niski, uwodzicielski głos podziałał kojąco na Karen, jakby zaraz miała usłyszeć bajeczkę na dobranoc. Była tak bardzo zmęczona, że mogłaby przy niej usnąć. Wzięła się jednak w karby i wyprostowała sztywno na krześle. Ten człowiek nie miał prawa ujrzeć żadnych oznak słabości.

- Przed wiekami te ziemie należały do moich przodków - zaczął Grady. - Potem zostały im ukradzione.
- Nie przeze mnie - odcięła się natychmiast, reagując

ostro nie tylko na samo oskarżenie, ale i na fakt, że na moment zapomniała o ostrożności. - I nie przez mojego męża - dodała.

Grady wydawał się rozbawiony.

- Czy coś takiego powiedziałem? Nie. To było dawno temu, zanim ja i pani zjawiliśmy się na tym świecie. Ukradł je nasz rząd i przekazał osadnikom. Białym osadnikom - powtórzył z naciskiem. - Moi przodkowie zostali zamknięci w rezerwach, a ludzie tacy jak Hansonowie przejęli ich ziemię.

Karen zdawała sobie oczywiście sprawę, że rdzennym mieszkańcom tych ziem wyrządzono wiele zła. Współczuła im i rozumiała pragnienie Blackhawka, by wyrównać dawne krzywdy. Ale przecież to nie ona i Caleb, a także nie jego rodzice i dziadkowie byli temu winni. Oni uczciwie kupili tę ziemię od ludzi, którzy w swoim czasie dostali ją od państwa.

- Żąda pan, żebym płaciła za coś, w czym nie brałam udziału? - zapytała.

- Nie chodzi tu o spłacenie starych długów, które powstały nie z pani winy. Chodzi o to, by sprawiedliwości stało się zadość, a pani jest w stanie to sprawić. Oczywiście nie spodziewam się, że odda mi pani tę ziemię tylko dlatego, że moim zdaniem prawnie należy się mojej rodzinie. Jestem gotów zapłacić - i to nie gorzej niż inni. Dam pani znacznie więcej, niż zapłacono za nią przed wielu laty.

Nim zdążyła mu przerwać, wymienił sumę, która wprawiła ją w osłupienie. Gdyby przyjęła jego propozycję, mogłaby spłacić wszystkie długi i jeszcze zostałoby jej aż

nadto, by zacząć nowe życie w Winding River, wśród dawnych przyjaciół. Pokusa była ogromna. Nie spodziewała się, że tak trudno będzie z nią walczyć. Powstrzymała ją tylko myśl o Calebie. Utrzymanie rancza stało się teraz jej najważniejszym obowiązkiem. Była to winna jego pamięci.

- Nie interesuje mnie sprzedaż rancza - powiedziała po dłuższej chwili.

- Chodzi tylko o mnie czy w ogóle?

- Aczy to ma jakieś znaczenie? Nie sprzedam go, i już.

- Bo jest pani aż tak przywiązana do tego miejsca? - zapytał z niedowierzaniem.

- Bo nie mogę - odparła cicho.

Grady zdumiał się.

- Czy ono nie jest pani własnością?

- Formalnie tak. Muszę tu zostać. Jestem to winna mojemu mężowi. Czuję się w obowiązku zrobić to wszystko, co on by zrobił, gdyby nie umarł tak wcześnie. Dlatego, póki mam tu jeszcze coś do powiedzenia, to ranczo pozostanie w rękach Hansonów.

Grady rozważał to, co usłyszał, po czym spojrzał jej przenikliwie w oczy.

- Trudno. Będę tu przychodził dopóty, dopóki pani nie zmieni zdania. Albo póki nie zmuszą pani do tego okoliczności. To ranczo panią wykończy. To oczywiste. - Wskazał na plik broszur. - Dostrzegły to również pani przyjaciółki. Dlatego zapewniam panią, że będę miał tę ziemię. I to zanim ten rok dobiegnie końca.

Jego arogancki, pewny siebie ton zirytował Karen.

- Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie - odparła,

otwierając szeroko drzwi i wpuszczając do kuchni falę mroźnego powietrza.

Niezrażony spojrzeniem, jakie mu posłała, Grady wstał spokojnie od stołu, zdjął kapelusz z haka i podszedł do drzwi. Tuż za progiem zatrzymał się na moment, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Radzę pani uważać, pani Hanson. Nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć...

Scandalous

ROZDZIAŁ 2

Grady nawet nie dopuszczał myśli, że Karen Hanson okaże się równie uparta i nierozsądna jak jej mąż. Wkrótce po pogrzebie wykonał kilka telefonów, żeby zbadać grunt, po czym świadomie odczekał aż pół roku, zanim zdecydował się złożyć jej wizytę. Chciał dać jej trochę czasu, żeby zrozumiała, na co się porywa. Założył, że do tej pory Karen zrozumie i będzie gotowa sprzedać mu ranczo - tę studnię bez dna. Tymczasem okazało się, że nie docenił przeciwnika.

Już nigdy więcej nie może popełnić tego błędu. Jednak tym, co najbardziej zbiło go z tropu, było odkrycie, że Karen wywarła na nim duże wrażenie. Kiedy otworzyła mu drzwi, jej wielkie modre oczy były mokre od łez, podobnie jak rozpłomienione policzki. A usta, wilgotne i miękkie, wydawały się wręcz stworzone do pocałunków. Patrząc na nią, poczuł chęć, by wziąć ją w ramiona i ukoić jej ból. Ta niespodziewana pokusa, nietypowa dla kogoś, kto miał się za męzczyznę stanowczego i rzadko komuś współczuł, sprawiła go w zakłopotanie.

Mimo woli uśmiechnął się na myśl o jej przypuszczalnej reakcji. Był pewny, że gdyby spróbował jej dotknąć,

choćby w najbardziej niewinnych intencjach, chwyciłaby ze stojaka parasol i wyrzuciła go w łeb.

Ale nawet wtedy nie zatraciłaby tej delikatnej dziewczęcości. To dziwne, bo kobiety, które pracowały na roli u boku mężów, stawały się na ogół szorstkie i kanciaste. Tymczasem Karen Hanson miała miękkie, ponętne kragłosci, a jej cera zachowała mleczną biel. Na myśl o tym, że w walce o utrzymanie rancza mogłaby to wszystko utracić, ogarnął go niepojęty żal, znacznie bardziej poruszający niż jej odmowa.

Nie był w stanie zrozumieć motywów, które powodowały istotami takimi jak Karen Hanson. Lojalność? Pewnie tak. Wobec męża. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Co jeszcze? Upór? Duma? Ciężko westchnął. Niełatwo walczyć z kimś, kto się zaparł, zapominając o rozsądku.

Czego jeszcze mogła pragnąć prócz podróży reklamowanych w tych barwnych broszurach? Większość kobiet, jego zdaniem, pragnęła miłości i rodziny, na które w jego życiu nie było miejsca. Ale były też takie kobiety, którym do szczęścia wystarczył przelotny partner. I to one najbardziej mu odpowiadały. Obarczony masą zobowiązań wobec przeszłości, nie miał czasu planować przyszłych poczynań.

Po raz kolejny spróbował zaszufłdkować Karen Hanson, ale ona nie mieściła się w żadnej kategorii. Była bez wątpienia niezależna, jednak jej decyzja, by kontynuować misję męża, dowodziła wielkiego przywiązania do rodziny. Jak na ironię, to właśnie ta jej lojalność, równie niezłomna jak jego zobowiązania wobec przodków, mogła stać się najpoważniejszą przeszkodą.

Zresztą, pomyślał w drodze powrotnej do domu, jak

można kogoś oceniać na podstawie półgodzinnej, pełnej napięcia rozmowy? Przecież Thomas Blackhawk, jego dziadek i jedyny autorytet, powtarzał mu wciąż, że jeśli się chce kogoś zrozumieć, trzeba przejść co najmniej milę w jego mokasynach.

Niestety, Grady musiał przyznać, że często brakowało mu cierpliwości. Sądy ferował w mgnieniu oka, lubił pytania wprost i szybkie odpowiedzi.

- No i dokąd cię to dziś doprowadziło? - spytał sam siebie. Dziadek byłby oburzony jego postępowaniem, a zwłaszcza tą zawołowaną pogrózką na koniec wizyty.

Przez całą noc roztrząsał w myślach swoje zachowanie i odpowiedzi Karen Hanson. Niestety, zawierały mało konkretnych informacji. Była piękna, uparta, pracowita i lojalna. Tyle już wiedział, ale nic ponadto. Czyli nic, co by mu podpowiedziało, jak z nią postępować.

Czuł, że jest na to tylko jeden sposób. Powinien spędzić z nią więcej czasu, by sprawdzić, co trzyma ją teraz przy życiu i czy ma jeszcze jakieś nadzieje i marzenia po śmierci męża.

Oczywiście wiedza ta potrzebna mu jest wyłącznie po to, żeby ułatwić osiągnięcie celów, powiedział sam do siebie, gdy przed oczyma stanął mu obraz Karen w jego własnym łóżku. Skarcił się zresztą zaraz w myślach za takie fantazje i nakazał sobie więcej samokontroli.

Całe swoje życie poświęcił jednej sprawie - odzyskaniu ziem, które niegdyś należały do jego rodziny. To jego pradziad zaszczerpił tę myśl w swoim synu, a jego dziadku. Misję tę przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie. A teraz przyszła jego kolej.

Ziemie te były częścią indiańskiego dziedzictwa i stanowiły prawną własność Blackhawków. Nikt i nic - nawet tak piękna kobieta jak Karen Hanson - nie może przeszkodzić mu w ich odzyskaniu. Tym bardziej że żył jeszcze dziadek, który od lat czekał na tę chwilę.

Zaśmiał się cicho na myśl o tym, jak Karen może zareagować na jakiegokolwiek próby bliższego poznania. Pewnie przegoni go, gdy jeszcze raz spróbuje pokazać się na ranczu. Zwłaszcza jeśli się domyśli, że jego wizyta ma na celu rozpoznanie jej słabych punktów.

Postanowił, że tym razem posłucha rady dziadka i uzbroi się w cierpliwość. Może nawet ucieknie się do małego podstępku? Na ranczu jest przecież tyle pracy. Ciekawe, jak się zachowa osoba tak praktyczna, gdy któregoś dnia pojawi się na jej ranczu i zacznie coś robić, starając się nie wchodzić jej w paradę? Czy wygoni go, czy przyjmie jego pomoc, której tak bardzo potrzebowała? Liczył raczej na to drugie. Może z czasem Karen przywyknie do jego obecności i pozwoli mu zajrzeć w głąb swojej duszy.

Pogratulował sobie genialnego planu. Jutro o tej samej porze będzie już miał za sobą pierwszy krok. Oczywiście o ile pożyje na tyle długo, żeby móc się z tego cieszyć.

W kuchni pachniało czosnkiem, pomidorami i bazylią.
- Dlaczego nie chcesz sprzedać mu rancza? - zapytała Gina. Przyjaciółki siedziały przy stole i jadły przyrządzone przez nią spaghetti.

Karen zadzwoniła do nich od razu po wyjściu Grady'ego Blackhawk. Liczyła na to, że coś jej doradzą i podniosą na duchu po jego wizycie. Na pewno jednak nie spo-

dziewała się, że będą ją namawiać na sprzedaż rancza. Miała raczej nadzieję, że pomogą jej wymyślić sposób, który pozwoliłby raz na zawsze zniweczyć jego zakusy. W uszach wciąż dźwięczała jej pogroźka rzucona na pożegnanie.

- Jak mogłabym sprzedać je Grady'emu? - zapytała z wyrzutem. - Przecież Caleb go nienawidził. Byłaby to nikczemna zdrada, a także wielki cios dla jego rodziców. Chociaż się stąd wyprowadzili, nadal uważają ranczo za swój dom.

- Chcesz harować jak wół do końca życia, żeby utrzymać ranczo dla dwóch osób, które tu nigdy nie wrócą? Dla Hansonów to obiekt nostalgicznych wspomnień, ale dla ciebie już tylko miejsce pracy ponad siły - zauważyła Cassie. - Chyba nie zapomniłaś, jak ci ulżyło, kiedy twoi rodzice sprzedali ziemię i przenieśli się do Arizony. Mówiłaś wtedy, że twoja noga nie postanie więcej na farmie. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście to było przed poznaniem Caleba. Potem ciągle nam wmawiałaś, że zawsze chciałaś zostać żoną ranczera.

Karen westchnęła.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie zamierzałam pracować na ranczu, ale...

- W takim razie zastanów się nad propozycją Grady 'e-go - przerwała jej Cassie. - Może to uczciwa oferta. Caleb by to zrozumiał.

Karen doskonale wiedziała, że Caleb nigdy by tego nie zrozumiał ani nie wybaczył. Wrogie uczucia, jakie budził w niej Grady Blackhawk, były tak silne, że żadne względy praktyczne nie mogły jej zmusić do ustępstw. Ani wizja

bankructwa, ani nawet śmiertelne zmęczenie, jakie odczuwała pod koniec każdego pracowitego dnia.

- Posłuchaj, jeżeli chodzi ci tylko o to, żeby ranczo nie przeszło w ręce Grady'ego Blackhawka, ja je od ciebie odkupię- zaproponowała Lauren, wywołując salwy śmiechu.

- A co byś z nim zrobiła? - Karen spróbowała wyobrazić sobie gwiazdę filmową wyrzucającą gnój ze stajni i kastrującą byki.

- Nie zapominaj, że wychowałam się na ranczu tak samo jak ty - obruszyła się Lauren. - Nie chwałę się, ale nikt nie miał lepszej ręki do koni niż ja.

- Tak dawno temu, że trudno mi to sobie nawet wyobrazić. Teraz jesteś hollywoodzką gwiazdą - zauważyła Cassie.

- Mogłabym to znowu robić, gdybym tylko zechciała - broniła się Lauren. - A to całe Hollywood to jedno wielkie targowisko próżności.

Karen znów wychwyciła w głosie przyjaciółki nutę niezadowolenia. Słyszała ją nie tylko na szkolnym zjeździe, ale i później, podczas coraz częstszych wizyt Lauren w Winding River. Nagle wydało jej się to podejrzane. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Lauren zagrała tylko w jednym filmie, odrzuciła za to z pół tuzina propozycji. W porównaniu z zawrotnym tempem, w jakim rozwijała się w przeszłości jej kariera, zaczynało to coraz bardziej przypominać powolne przechodzenie na emeryturę.

- Wyduś to wreszcie z siebie.- zwróciła się do przyjaciółki. - Co próbujesz przed nami ukryć? Już ci się znudziło być gwiazdą?

- Prawdę mówiąc, tak - przyznała z westchnieniem Lauren. - Nie patrzcie tak na mnie, dziewczyny. Nigdy nie chciałam być aktorką. Nigdy też nie przypuszczałam, że stanę się sławna akurat dzięki urodzie. Nosiłam okulary, miałam piegi i włosy jak siano. I to się wcale nie zmieniło. Gdybym wyjęła szkła kontaktowe i przestała robić sobie trwałą, mogłabym wejść do zatłoczonego supermarketu i pies z kulawą nogą nie zwróciłby na mnie uwagi.

- To chyba dobrze? - zapytała Karen. Nigdy nie mogła zrozumieć, jak osoba tak nieśmiała jak Lauren radzi sobie ze swoją sławą i popularnością.

- Owszem, ale to tylko dowodzi, jak płytkie stało się moje życie - odparła Lauren. - Opiera się na kłamstwie. Nie zrozum mnie źle, ja się nie skarżę.

- Owszem, skarżysz się - sprzeciwiły się chórem przyjaciółki, po czym wybuchnęły śmiechem.

- No, może trochę. Rzecz w tym, że chcę czegoś więcej.

- Ale czego? Wrócić na ranczo? - Karen sceptycznie uniosła brwi.

- Może - hardo odparła Lauren.

Karen pokręciła głową.

- Daj mi znać, Lauren, kiedy się naprawdę zdecydujesz. Wiesz, gdzie mnie szukać.

- Wiecie co? - odezwała się nagle Emma. - Myślę, że Karen nie chce się stąd ruszyć, bo ma nadzieję, że ten Blackhawk będzie ją częściej odwiedzał. Widziałyście go, dziewczyny? Pamiętam go z pogrzebu Caleba. Fantastyczny facet! Czarny, wysoki, a do tego ma takie nawiedzone spojrzenie.

- Nie zauważyłam - burknęła Karen, choć, nie było to prawdą.

- Akurat! - prychnęła Emma. - Musiałabyś być ślepa, żeby tego nie widzieć.

- Zapominasz chyba, że to był pogrzeb mojego męża!
- oburzyła się Karen. - Nie byłam w odpowiednim nastroju, żeby podziwiać wdzięki jego największego wroga!

- A teraz? - nie ustępowała Emma. - Nie przyjrzałaś mu się lepiej podczas tej wizyty? - Jako typowa prawniczka, nie zamierzała ustąpić, póki nie wydusi z przyjaciółki prawdy.

Karen w końcu się poddała.

- Niech ci będzie. To rzeczywiście bardzo przystojny mężczyzna. Co wcale nie zmienia faktu, że to także straszliwy drań.

- Za co właściwie Caleb tak go nienawidził? - zapytała Gina, krusząc machinalnie w palcach ostatnią kromkę chleba.

- Chodziło mu oczywiście o ziemię - bez wahania odparła Karen, ale zanim zdążyła dokończyć, Gina potrząsnęła głową.

- Myślę, że nie tylko. Może w grę wchodziły osobiste animozje?

- Pewnie, że tak - powiedziała Karen. - Zresztą trudno mu się dziwić. Co można czuć do człowieka, który próbuje podstępnie przejąć twoje długi? Albo zniszczyć twoje stado?

- Mam wrażenie, że wcale nie o to chodziło - upierała się Gina. - Caleb to był dusza człowiek. Wszystkich lubił i wszystkim ufał. Lubiał nawet byłego męża Emmy, choć

Bóg jeden wie za co. I żył dobrze ze wszystkimi prócz Grady'ego Blackhawka.

- Konflikt między Hansonami i Blackhawkami trwa od lat - przypomniła jej Karen. - Zawsze chodziło im wyłącznie o ziemię.

- Może tylko tak mówili, żeby ukryć prawdziwą przyczynę - zasugerowała Gina.

Karen westchnęła z rezygnacją.

- A o co, twoim zdaniem, mogło im jeszcze chodzić?

- O kobietę i o jakąś złamaną obietnicę - odparła Gina.

Z ust całej reszty wyrwał się głośny jęk.

- Jak ci się znudzi prowadzenie restauracji, zacznij pisać harlequiny - zakpiła Emma. - Tym razem trochę przesadziłaś.

- Nawet bardziej niż trochę - poparła ją Karen. - Może zmienimy temat?

- Przecież ściągnęłaś nas tu po to, żeby porozmawiać o Gradym - przypomniła jej Emma. - Mówiłaś, że potrzebujesz porady prawnika. Mogę załatwić, żeby Grady Blackhawk dostał zakaz wstępu na ranczo.

- Typowa prawniczka - westchnęła Gina. - O najprostszej rzecz potrafisz toczyć długie sądowe batalie. Przecież wystarczy, jeśli Karen mu powie, że nie jest zainteresowana jego propozycją. I koniec. Kropka.

- Już to zrobiłam - wyjaśniła Karen.

- I co? Naprawdę myślisz, że na tym koniec? - z powątpiewaniem spytała Emma.

Karen przypomniła sobie zawołowaną groźbę, którą Blackhawk rzucił jej na pożegnanie. Niestety, istniały wszelkie podstawy do obaw, że na tym się nie skończy

i Grady jeszcze wróci. I to niejednym razem. Nie wiadomo tyłko było, gdzie i kiedy, i jaką, na odmianę, obierze sobie taktykę.

- Obawiam się, że nie - przyznała z westchnieniem.
- Człowiek taki jak on łatwo nie rezygnuje. Jak sięgnę pamięcią wstecz, zawsze starał się o te ziemie. A przed nim robił to jego ojciec. Wątpię, żeby potraktował serio moją odmowę. Prawdę mówiąc, wydawał się nią bardziej rozbawiony niż zawiedziony.

- Czyli masz kolejny powód, żeby sprzedać ranczo
- powiedziała Lauren. - Nauczyłam się radzić sobie z ludźmi tego pokroju. Hollywood jest pełne pijawek, które nie chcą się odczepić. Pewni ludzie nie są w stanie przyjąć do wiadomości, że „nie”, znaczy „nie”.

- Chciałabym zobaczyć, jak sobie z nimi radzisz.

-Gina nagle się

chce się odczepić.

- A o co chodzi? - zainteresowała się Emma.

- O nic - zbyła ją Gina. - Jeżeli Lauren zna jakieś legalne i skuteczne metody, chętnie bym je poznała.

- Nie mogę ci tego powiedzieć w obecności prawniczki - roześmiała się Lauren. - Musiałaby mnie z obowiązku wsadzić za kratki.

- Czyli to nielegalne sposoby - domyśliła się Gina.

- Dobrze, jak już przyjdzie co do czego, będę o tym pamiętać.

Karen już otwierała usta, żeby zażądać wyjaśnień, ale Emma uciszyła ją jednym ostrzegawczym spojrzeniem. Może wiedziała więcej niż reszta, bo z Giną zawsze łączyła ją szczególnie bliska więź?

- Tak czy owak, zboczyliśmy z tematu - zauważyła Cassie. - Miałyśmy znaleźć jakąś radę dla Karen. Co powinna zrobić, jeżeli on znowu się tu pojawi? Macie jakieś inne propozycje, skoro nie chce, żeby Emma załatwiła zakaz wstępu na ranczo?

- Same wiecie, że to dosyć cienka sprawa - powiedziała Emma. - Jak już mówiłam, ten Blackhawk to supergość.

Przyjaciółki spojrzały na nią ze zdumieniem.

- Supergość?! - powtórzyła Karen z niedowierzaniem.

- A może nie? Chcesz mi zaprzeczyć? - zapytała Emma.

- Nie, próbuję tylko zrozumieć, jak takie słowo trafiło do twojego eleganckiego słownika.

- Od Lauren - wyjaśniła Emma. - Przez cały wczorajszy wieczór opowiadała mi, którzy faceci w Hollywood to supergoście, a którzy nie. To był bardzo pouczający wykład. Słuchałam go z drżeniem serca.

- Naprawdę? - Karen spojrzała na nią z politowaniem.

- A może za długo jesteś bez mężczyzny? Może już pora, żebyś sobie zaczęła szukać kogoś na miejsce twojego eks? Choćby tylko partnera na upojne sobotnie randki.

- Jestem samotną matką - przypomniała jej z wyrzutem Emma. - Nie miewam upojnych sobotnich randek.

- W takim razie rozejrzyj się za kimś, kto ma poważne zamiary - poradziła Karen. - Caitlyn na pewno byłaby szczęśliwa, gdyby miała nowego tatusia. Zwłaszcza takiego, który by jej poświęcił trochę czasu.

- Wydaje mi się, że nasza przyjaciółka już sobie kogoś znalazła - zauważyła Cassie.

- Nie bądź śmieszna. To nieprawda! - zaprotestowała Emma.

- Nie byłabym tego taka pewna - odcięła się Cassie.
- Od jakiegoś czasu ciągle przesiadujesz w lokalu Stelli z redaktorem miejscowej gazety. Wiem coś o tym, bo przecież tam pracuję.

- A wiesz dlaczego? - spytała Emma. - Chodzi o sprawę, którą teraz prowadzę. To czysto służbowe spotkania.

- Nie za dużo protestów? - roześmiała się Cassie i powiedziała wzrokiem po przyjaciółkach.

- Zdecydowanie tak - odparły chórem.

- Zejdźcie ze mnie! - rozłościła się Emma. Chwyciła torebkę, płaszcz i teczkę i ruszyła do drzwi. - Muszę uciekać.

Zrobiła kilka kroków, po czym zawróciła po komórkę, z którą się nie rozstawała. A potem zakreśliła się - i już jej nie było.

- Co my takiego powiedziałyśmy? - zapytała Karen, patrząc w ślad za przyjaciółką.

- Chyba trafiłyśmy z sedno - stwierdziła Cassie. - Czy to nie byłoby fantastyczne, gdyby Emma zakochała się w Fordzie Hamiltonie albo jakimś innym facecie z Winding River?

- To, że ty wyszłaś niedawno za męża, nie znaczy wcale, że my też musimy natychmiast znaleźć sobie nowych partnerów - zauważyła Gina.

- Tego nie powiedziałam - zaprotestowała Cassie. - Powiedziałam tylko, że to byłoby fantastyczne. Na myśl o tym, że sprawa w sądzie wkrótce się zakończy i Emma wróci do Denver, robi mi się smutno. Ostatnio wydawała mi się taka zadowolona, chociaż musiała jeździć do Denver i przejmowała się rozprawą.

- To prawda - przyznała Lauren. - O mały włos, a by-
łaby zapomniała swojej komórki. A dotąd zdawało mi się,
że jest z nią zrośnięta.

Przyjaciółki umilkły. Byłoby cudownie, gdyby Emma
została na zawsze w Winding River. Karen pomyślała, że
jedyną korzyścią ze szkolnego zjazdu było to, iż cała ich
piątka coraz częściej pojawiała się w rodzinnym mieście.
Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo za nimi wszys-
tkimi tęskniła. Po śmierci Caleba bardziej niż kiedykolwiek
potrzebowała ich wsparcia.

- Dziękuję, że chciało wam się fatygować taki kawał
drogi - zwróciła się do przyjaciółek. - Nie wiem, jak bym
bez was przetrwała te ostatnie miesiące.

- Będziemy przy tobie dopóty, dopóki będziesz nas
potrzebowała - przyrzekła Lauren. - Możesz być tego
pewna. .

Karen pomyślała, że równie pewna jest obietnica Gra-
dy'ego, iż nie przestanie jej nachodzić, póki nie sprzeda
mu rancza.

Co najdziwniejsze, ta perspektywa wcale nie budziła
w niej przerażenia. Wręcz przeciwnie - to, co czuła myś-
ląc o niej, znacznie bardziej przypominało radosne pod-
niecenie.

ROZDZIAŁ 3

Karen już wiedziała, że wstanie lewą nogą tego ranka. Przez całą noc męczyła się, próbując przegnać Grady'ego Blackawka ze swoich snów. A wszystko przez Emmę i te jej głupie uwagi. Obudziła się spocona i rozgorączkowana, wśród pomiętych prześcieradeł. Co gorsza, z uczuciem wstydu z powodu grzechów popełnionych we śnie.

- Przecież to nie moja wina - zżymała się, gdy drżąc z zimna, naciągała pospiesznie dżinsy i flanelową koszulę męża. Lubiła ją nosić, bo miała wtedy wrażenie, że jest bliżej jedyne go człowieka, który tak naprawdę liczył się w jej życiu.

Ostatnio coraz częściej zaglądała do szafy Caleba. Wprawdzie koszule utraciły już jego zapach, jednak dotyk miękkiej, ciepłej flaneli przynosił ukojenie. Przypominał wieczory, które spędziła przy kominku, wtulona w jego objęcia. Był to jej sekret, z którego nikomu się nie zwierzyła. Bała się krytyki przyjaciółek, które uważały, że powinna pomyśleć o przyszłości. Prawdę mówiąc, i bez nich wiedziała, że to nieuniknione; że przyjdzie taki czas, kiedy będzie musiała zrobić coś ze swoim życiem.

Ale jeszcze nie teraz, pomyślała z westchnieniem.

Włożyła ciepłe skarpety i buty, zeszła na dół, włączyła

termostat i nastawiła czajnik. Później, kiedy będzie wychodziła do stajni, znowu wyłączy ogrzewanie. Może to tylko znikome oszczędności, ale w jej położeniu liczy się przecież każdy cent.

Nalała sobie kawy i upiła łyk. Trzymając kubek w dłoniach, wyrzała przez okno w nadziei, że zobaczy pierwsze promienie słońca. Miała już serdecznie dość szarych, zimowych poranków.

To, co ujrzała, wprawiło ją w osłupienie. Na podwórku stał Grady i wyładowywał jakieś rzeczy ze swojej furgonetki, jakby był u siebie w domu! Po tych wszystkich męczących snach uznała widok tego mężczyzny za omen. I to wcale nie dobry.

Zerwała z wieszaka kurtkę i wypadła na dwór, zdecydowana położyć kres tej jawnej prowokacji. Zachowanie Grady'ego do tego stopnia ją rozwścieczyło, że idąc przez podwórze, kipiała ze złości.

- Co pan tu znowu robi?! - naskoczyła na niego z furją. - Myślałam, że wyraziłam się wczoraj dość jasno. Nie jest pan mile widziany.

Grady przerwał na moment swoje zajęcie, żeby na nią spojrzeć. Zlustrował ją od stóp do głów, usta drgnęły mu w uśmiechu, po czym dalej wyładowywał drewno ze swojej eleganckiej furgonetki.

Stara, zdezelowana ciężarówka Karen prezentowała się na jej tle bardziej niż skromnie. To także podziałało Karen na nerwy. Odniosła wrażenie, że Grady szydzi z niej na wszelkie możliwe sposoby.

- Zadałam panu pytanie!- huknęła.
- Nie chciałem przeszkadzać - odparł ze spokojem.

- Pomyślałem, że będzie pani teraz zajęta przy bydle. Jadąc tu, widziałem, że niektóre słupki ogrodzenia są poprzewracane. Mógłbym się tym jutro zająć.

Ta zawołowana krytyka, jak również myśl, że znowu ją będzie nachodził, wywołały w niej odruchowy protest.

- Jeszcze dziś mój parobek naprawi ogrodzenie - powiedziała z naciskiem, by dać mu do zrozumienia, iż ma wszystko, czego potrzeba. - Nie, musi pan się fatygować.

- Żadna fatyga. - Grady uśmiechnął się. - Mam trochę wolnego czasu, a tutaj tyle rzeczy wymaga drobnej naprawy. Na przykład stajnia.

Karen pomyślała ze złością, że jak na jej gust, ten facet jest stanowczo zbyt spostrzegawczy.

- Moja stajnia to mój problem. Nie życzę sobie, żeby pan się tu kręcił.

- Przecież ktoś musi to zrobić, prawda?

- Tak, ale...

- A ja mam akurat czas.

- Ale ja nie chcę tu pana widzieć.

- Nie należy odtrącać pomocnej ręki. Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że nie zależy pani na dobrosąsiedzkich stosunkach.

Karen była absolutnie przekonana, że intencje Grady'ego są dalekie od przyjaznych. Poznała to po jego oczach. Poza wszystkim, Grady nie był jej sąsiadem. Mieszkał przecież w sąsiednim hrabstwie. Zbyt daleko, by można było uznać jego propozycję za dobrosąsiedzki gest.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Grady odwrócił się i ruszył w stronę stajni, gdzie pod ścianą stały już farby i narzędzia.

dzia, których, o ile pamięć jej nie myli, nigdy nie kupowała. Zdjął kurtkę, jakby na dworze było dwadzieścia stopni, a nie pięć, i zabrał się z zapałem do pracy. Flanelowa koszula ciasno opinała muskularny tors. Karen popatrzyła na niego z furją i nagle, ku jej przerażeniu, ogarnęła ją wstydliva pokusa, by dotknąć szerokich męskich ramion.

- Nie stać mnie. na to, żeby panu zapłacić za te roboty
- krzyknęła.

Grady westchnął z rezygnacją i spytał:

- Czy mówiłem coś o pieniądzach?

- Nie, ale ja mam zwyczaj płacić za wszystkie usługi.

- Zapłaci mi pani, jak pani będzie mogła - powiedział obojętnym tonem. - W tym stanie stajnia nie przetrzyma kolejnej zimy. Jak się do reszty rozpadnie, budowa nowej będzie panią kosztowała znacznie drożej niż kilka drobnych napraw. - Spojrzał jej wymownie w oczy. - Pani wie, że mam rację, Karen.

Mimo woli zachnęła się na dźwięk swego imienia w jego ustach. Jeszcze wczoraj zwracał się do niej bardzo oficjalnie, tytułując ją panią Hanson, a już dziś mówi jej po imieniu. Czyżby zapomniał o odwiecznym sporze między nim a Calebem i zamierzał się zaprzyjaźnić z jego żoną? Na myśl o tym przeszedł ją zimny dreszcz. Nie potrzebuje przyjaciela, który wprawia ją w dygot i żąda czegoś, czego od niej nigdy nie dostanie. Chodzi oczywiście o ziemię, nie o jej ciało, upewniła się stanowczo w duchu.

- Wiem też, że jest pan intruzem - wypaliła. - Pakuje się pan w moje życie i robi rzeczy, o które wcale nie prosiłam. Po co? Żeby uczynić ze mnie swoją dłużniczkę?

- To tylko przyjazny gest, nic więcej - tłumaczył Grady. - Chciałbym panią przekonać, że nie jestem aż taki zły, jak to twierdził pani mąż.

- To niech pan będzie tak dobry i posłucha, kiedy mówię, że nie chcę tu pana więcej widzieć.

- Przecież to nieprawda. To duma przez panią przemawia.

Miał rację, przynajmniej częściowo.

- Ach, nie mówmy już o tym - burknęła. Było jasne, że nie uda jej się spławić Grady'ego. Niech już zrobi swoje, a potem się stąd zabiera. Będzie udawała, że go nie widzi. Ma przecież tyle innych obowiązków.

Weszła do stajni, napiła i nakarmiła konie, posprzątała boksy, a potem osiodłała Imbira, którego dostała jeszcze jako nastolatka.

- Przejedziemy się trochę, staruszku.

- Ucieka pani? - odezwał się za jej plecami Grady, a w jego głosie zabrzmiała nuta rozbawienia.

- Nie, jadę zobaczyć, czy Hank i Dooley nie potrzebują pomocy.

- Co za szczęściarze.

- Co to ma znaczyć? - obruszyła się, marszcząc brwi.

- Nic ponad to, że sam chętnie przyjąłbym pani pomoc.

- To pana pomysł, panie Blackhawk, więc niech pan teraz sam kończy, co pan zaczął. A jeżeli pan sobie nie radzi, może pan w każdej chwili zrezygnować.

- Nie chodzi o to, że sobie nie radzę - powiedział, patrząc jej w oczy. - Po prostu milej by mi było w pani towarzystwie.

Poczuła dreszcz, który jednak nie miał nic wspólnego

z porannym chłodem. Odwróciła wzrok i udała, że ogląda popręg przy siodle.

- Odnoszę wrażenie, że panią denerwuję, Karen. Mogę wiedzieć, dlaczego?

- Panu się wydaje, że pan mnie denerwuje? - prychnęła. - Pan mnie doprowadza do szału! Śmieszcy to pana? - zaatakowała go, kiedy się cicho roześmiał.

Grady popatrzył na jej usta.

- Nie - odparł ze spokojem. - To obiecujący znak. Kobieta z temperamentem jest znacznie bardziej interesująca niż kobieta potulna.

- Nie robię tego wszystkiego, żeby panu dostarczyć rozrywki - burknęła, udając że nie czuje, iż jej puls przyspieszył.

- Wiem. - Grady uśmiechnął się szeroko. - I to mnie właśnie tak bawi.

Nie odcięła się tylko dlatego, by nie przedłużyć tej idiotycznej dyskusji. Dosiadła konia, a Grady cofnął się i z kpiącym śmieszkiem dotknął róna kapelusza.

- Życzę miłej przejażdżki.

- Na pewno będzie miła - skłamała, bo nic nie mogło jej cieszyć, kiedy ten nieznośny facet był w pobliżu.

Po godzinnej przejażdżce i spotkaniu z Hankiem i Doo-leyem, którzy naprawiali ogrodzenie, Karen poczuła się trochę lepiej. Wprawdzie obawiała się, że dobry humor zniknie po powrocie do stajni, jednak ku swemu zdumieniu nie zastała już Grady'ego. Zniknęła też jego furgonetka. Poczowała ulgę, podszytą jakby... cieniem zawodu.

Niestety, uczucie ulgi nie trwało długo. Wszędzie natykała się na ślady obecności Grady'ego, jak również na

dowody, że zamierza tu jeszcze wrócić. Narzędzia, puszkę z farbą i deski leżały w tym samym miejscu, w którym je zostawił. Drabina wciąż stała oparta o ścianę stajni, a farbę zdrapano tylko z najwyższych partii.

Rozsiodłała konia i wprowadziła go do boksu, po czym ruszyła ku domowi. I wtedy znowu zobaczyła furgonetkę Grady'ego - czerwoną plamę na tle szarego, zimowego krajobrazu. Wpadła szybko do kuchni i zatrzasnęła drzwi, żeby uniknąć kolejnej bezsensownej konfrontacji.

Jednak w miarę jak mijało popołudnie, wzrok jej coraz częściej kierował się w stronę mężczyzny, który pracownice zeskrobywał starą farbę z jej stajni. W końcu pogodziła się z myślą, że łatwo nie pozbędzie się natręta. Czyli będzie musiała zawrzeć z nim rozejm.

Z tego, co wiedziała, ciasteczka domowej roboty były świetnym pretekstem, by nawiązać dobre stosunki. Po śmierci męża nie chciało jej się piec, bo nie było nikogo, kto mógłby to docenić. Teraz miała to zrobić po raz pierwszy od dawna. Jednak wiedzona lojalnością, postanowiła upiec owsiane placuszki z rodzynkami - ulubione ciasteczka jej ojca, a nie czekoladowe biszkopty, które tak uwielbiał mąż.

Kiedy pierwsza porcja była już gotowa, przełożyła ją na talerz, nalała kawy do dzbanka i wyszła na podwórze. Idąc w stronę stajni, czuła na sobie badawczy wzrok Grady'ego.

- Jesteś głupia gęś, Karen Hanson - powiedziała sama do siebie po powrocie do kuchni. - Tych kilka ciastek i kawa to przejaw uprzejmości, a nie wstęp do czegoś poważniejszego. Ten człowiek nie powinien mieć co do tego żadnych wątpliwości.

Mimo to w jej duszy zrodziły się obawy, że mógł ją zrozumieć opacznie. A wtedy niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Grady był bardzo zadowolony z tego dnia. Najważniejsze, że Karen nie wyrzuciła go z rancza. Co więcej, upiekła mu ciasteczka, jakby był grzecznym chłopcem, który zasłużył na nagrodę.

Zaraz jednak tego pożałowała. Poznał to po jej oczach, a także po tempie, w jakim wróciła do domu. Nie zdążył jej nawet podziękować.

Pomyślał, że może któregoś dnia usiądą razem, by porozmawiać. Taka rozmowa mogłaby okazać się pomocna. Może Karen nie okaże się głucha na głos rozsądku.

Z doświadczenia wiedział jednak, że kobiety należą do istot emocjonalnych, które znacznie rzadziej niż mężczyźni kierują się rozumem. A to oznaczało, że będzie musiał zaapelować do jej uczuć. Jak ma to zrobić, skoro to właśnie miłość i lojalność wobec nieżyjącego męża nakazywały jej odrzucić jego atrakcyjną propozycję? Pomyślał, że musi się na to znaleźć sposób. Był przecież zbyt blisko celu, żeby się teraz poddawać.

Obliczył sobie, że pomalowanie stajni zajmie mu około tygodnia. Później znajdzie coś innego do roboty. A potem jeszcze coś innego, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nic przecież nie traci, inwestując w ranczo czas i pieniądze. To wszystko i tak będzie kiedyś jego własnością. I to już wkrótce.

Wsparty o drabinę, Grady przeżuwał ostatnie ciastko. Od lat nie miał w ustach prawdziwego owsianego ciasteczka z rodzynkami. Mniej więcej od czasu, kiedy wyjechał

jeden z jego szkolnych kolegów, gdzieś tak w szóstej klasie. Mama Luke'a piekła najlepsze ciasteczka w całej okolicy. Potem już żadne tak mu nie smakowały... aż do dziś.

Spojrzał na dom i zobaczył, że w kuchni zapaliło się światło. Pewnie Karen szykuje kolację. Czy po śmierci męża także gotuje wieczorami solidne posiłki? A może, tak jak on, zadowala się byle przekąską - na przykład kanapką czy talerzem płatków? W gruncie rzeczy szkoda czasu i energii na gotowanie dla jednej osoby. On sam, ilekroć czuł się naprawdę głodny, jechał do miasta, do restauracji. Został stałym klientem „U Stelli”, mimo iż Cassie Davis za każdym razem przyglądała mu się podejrzliwie. Pomyślał, że gdyby wiedziała o jego planach dotyczących Karen, pewnie dosypałaby mu arseniku do zupy.

Patrzył jeszcze chwilę na dom, zżerany ciekawością, aż nagle przyszło mu do głowy, że powinien oddać Karen talerz i dzbanek i podziękować za poczęstunek. Tak nakazuje zwykła uprzejmość.

Zapukał w szybę i zobaczył, że Karen znieruchomiała, a potem z wahaniem podeszła do drzwi. Mógł sobie nawet wyobrazić, jak wzdycha z rezygnacją.

- Tak? - odezwała się niechętnie.

W jej oczach Grady dostrzegł cień smutku, dobrze zamaskowany irytacją. A może tak mu się tylko zdawało, bo pragnął przedłużyć spotkanie?

- Chciałem podziękować za wspaniałe ciasteczka.

- Nie ma. za co - burknęła, biorąc z jego rąk talerz i dzbanek.

Byłaby mu zatrzęsnęła drzwi przed nosem, gdyby ich

nie zablokował butem. Czuł, że będzie tego później żałował, jednak naprawdę nie mógł się powstrzymać.

- Szukujesz kolację, Karen?

- Co to za pytanie?! - Spojrzała na niego zmrużonymi oczyma. - Chce się pan wprosić czy co?

- Ale skąd. - Grady uśmiechnął się. - Moja mama nauczyła mnie manier. Chciałem cię po prostu zaprosić na kolację do Winding River. Uwielbiam klopsy Stelli, a właśnie dziś podają je jako danie dnia. Poza tym, nie znoszę jadać sam.

- Nie mogę - odparła, potrząsając głową.

- Nie chcesz, żeby nas razem widzieli?

- Nie o to chodzi - odparła ze zniecierpliwieniem. - Po prostu zaczęłam już przygotowywać kolację dla siebie i nie chcę, żeby się zmarnowała.

- Obawiam się, że nie starczy dla dwojga? - zapytał z nadzieją w głosie.

Usta Karen drgnęły w śmiechu.

- Gdzie się podziały te pańskie maniery, panie Blackhawk?

- Jak już mówiłem, nie znoszę jadać sam. Myślę, że tym razem mama wybaczyłaby mi moją natarczywość. A ty? Mogłabyś mi wybaczyć? Ulituj się nad samotnym mężczyzną, który rzadko jada domowe posiłki.

- Na miłość boską, niech pan już wejdzie - powiedziała Karen, potrząsając głową. - Jest pan niemożliwy, panie Blackhawk.

Wchodząc, Grady uśmiechnął się ukradkiem. Powiesił kapelusz i kurtkę na haku, a potem rozejrzył się i pociągnął nosem.

- Czy mi się zdaje, czy to klops?
- Proszę nie udawać, że pan tego nie wiedział, kiedy mnie pan zapewniał, że to pańskie ulubione danie.

Nie zaprzeczył, tylko rozejrzał się i zapytał:

- W czym mogę pomóc? Mam nakryć do stołu? A może boi się pani, że ukradnę srebro?

- Nie ma tu żadnego srebra - odparła. - Tylko zwykłe sztuczce i codzienne talerze. Może pan spokojnie nakrywać, nie wygląda pan na niezdarę.

- Postaram się nie stłuc niczego. Tym bardziej że patrzy na mnie piękna kobieta.

Zarumieniła się, ale zaraz posłała mu gniewne spojrzenie.

- Proszę mi nie schlebiać, pani Blackhawk.

- Zostawmy już te formalności. - Grady zmarszczył brwi. - Wolałbym zwracać się do ciebie po imieniu, Karen. Nie mogłabyś mówić do mnie Grady?

Karen walczyła ze sobą. Najwyraźniej broniła się przed kolejnym krokiem ku zbliżeniu, którego wcale sobie nie życzyła. Była jednak zbyt uprzejma, żeby mu to powiedzieć, więc tylko skinęła głową.

- Dobrze, niech będzie.

- Dziękuję - odparł z komiczną powagą.

- Drwisz ze mnie?

- Nie. Tylko trochę się droczę.

- To mi się nie podoba - powiedziała ostro.

- Naprawdę? A kiedy jakiś mężczyzna droczył się z tobą po raz ostatni?

- Chyba sam znasz odpowiedź.

- To było jeszcze za życia Caleba - domyślił się. - Opowiedz mi o nim.

Karen spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Niby dlaczego?

- Bo chciałbym poznać twój punkt widzenia. Na pewno patrzyłaś na niego trochę inaczej niż ja.

- Z całą pewnością - odparła sucho. - Był moim mężem i kochałam go.

- Nie muszę chyba mówić, że ja nie. Miałem go zawsze za nierozsądnego faceta, który przeinaczał fakty tak, żeby pasowały do jego urojeń. - Powiedział to umyślnie, żeby zobaczyć, jak rumieniec oblewa jej policzki, a oczy zaczynają migać błyskawice. Miło było patrzeć, jak wraca do życia; jak opada z niej ta nieruchoma, żałobna maska, którą nosiła poprzedniego wieczoru.

- Caleb był najuczciwszym człowiekiem, jakiego znałam - powiedziała podniesionym tonem. - Dlatego muszę się dwa razy zastanowić, zanim uwierzę w chociaż jedno twoje słowo. Twierdzisz, że nie miałeś nic wspólnego z tymi plagami, które o mały włos nie zgubiły naszego stada? To tylko słowa. A gdzie dowody?

Grady popatrzył przeciągłe w jej błękitne oczy.

- A gdzie twoje dowody?

Odwróciła się i zaczęła nakładać mięso na talerze, a jej nerwowe gesty świadczyły o tym, że trafił w dziesiątkę.

Potem położyła na stole bochenek świeżego, wiejskiego chleba i masło własnej roboty i wreszcie usiadła naprzeciw Grady'ego.

- Zawrzyjmy rozejm, Karen - zaproponował z uśmiechem. - Nie psujmy tak pysznego posiłku, bo dostaniemy niestrawności.

- Rozejm z tobą to bardzo ryzykowna sprawa. Wszystko obracasz na swoją korzyść.

- Bo mam solidną motywację. Co w tym złego?

- To zależy od celu, jaki ci przyświeca.

- Znasz mój cel. Wyłożyłem wszystkie karty na stół.

A ty? Jakie są twoje motywy? - Zauważył, że foldery z biura podróży zostały wrzucone do koszyka na kuchennym blacie. - Marzysz o dalekich podróżach?

- Marzenia mogą być motywacją - przyznała, choć nie była to odpowiedź wprost - ale równie dobrze mrzonką.

- A jak to jest u ciebie?

- W tej chwili to mrzonki i nic więcej.

Kłamię, pomyślał, widząc, że wszystkie foldery są wygniecione i od częstego przeglądania mają osłe uszy.

- Gdybyś mogła, dokąd byś się najchętniej wybrała? - zapytał.

- Do Londynu - wyrwało jej się, nim ugryzła się w język.

- Masz po temu jakieś powody?

- Mnóstwo, ale nie zamierzam cię zanudzać.

- Nie pytałbym, gdybym nie chciał ich poznać.

Karen zawahała się, wzruszyła ramionami i zaczęła:

- Przez ten rok, kiedy byłem w college'u, studiowałam literaturę. Uwielbiałam Jane Austen, Dickensa i Thackera. Kochałam też sonety Szekspira. Myślę, że w Londynie duch tych wielkich pisarzy jest wciąż obecny. Niektórzy z nich zostali pochowani w Westminster Abbey.

- Co za romantyczka! - westchnął Grady.

- Mówisz to tak, jakby to była zbrodnia.

- Nie, to dla mnie tylko pewne zaskoczenie. Romantyzkom nie wiedzie się najlepiej na tym świecie. Prowadze-

nie rancza to ciężka praca. Nie ma w tym nic romantycznego.

Karen spojrzała na niego z politowaniem.

- Źle trafiłeś, bo dla mnie to miejsce okazało się wystarczająco romantyczne.

- I dlatego nie chcesz wyjechać? Co cię tu trzyma? Nostalgia?

- Dobrze wiesz, czemu nie chcę sprzedać rancza. Zwłaszcza tobie.

Grady uznał, że nie warto brnąć dalej w ślepy zaułek, i skupił się na jedzeniu.

- Jesteś świetną kucharką - powiedział, kiedy skończył.

- Dziękuję.

- Pozwól, żebym ci się jakoś zrewanżował. Chciałbym cię zaprosić któregoś dnia na kolację.

- Dziękuję za zaproszenie, ale chyba nie skorzystam.

W jej głosie znów pojawił się chłód. Grady zaczął się zastanawiać, czy kiedyś uda mu się usłyszeć szczerą śmiech Karen.

Zresztą, pomyślał, to nie ma aż takiego znaczenia. Ważne jest tylko to, żeby mu w końcu zaufała i uwierzyła, że nie jest stworzona do pracy na ranczu. A wtedy on namówi ją, żeby sprzedała tę ziemię jemu, a nie komuś innemu.

Odgarnął włosy i wstał.

- Dziękuję za kolację. Zobaczymy się jutro rano.

- Nie poczekasz na deser? - zapytała zdumiona.

- Nie dziś - odparł, a po chwili dorzucił: - Chyba że masz w piekarniku szarlotkę?

Potrząsnęła głową, a w jej oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Niestety, mam tylko trochę owsianych ciasteczek.

Grady zawahał się, doszedł jednak do wniosku, że nie będzie już więcej ryzykował. W tej przytulnej kuchni, w towarzystwie uroczej Karen Hanson zaczynał czuć się zbyt dobrze.

- Chętnie wezmę kilka na drogę - powiedział.

- Wolisz moje ciastka od mojego towarzystwa? Powin-
nam się chyba obrazić - stwierdziła Karen, ale zapakowała
mu kilka ciasteczek do papierowej torebki.

- To już od ciebie zależy - odparł, mrugając znacząco.
- Do jutra.

- Tak - westchnęła z rezygnacją. - Do jutra.

Grady wyszedł na dwór i stał przez chwilę za drzwiami, próbując zebrać myśli. Z pewnym niepokojem stwierdził, że nie może doczekać się jutrzejszego ranka. To bardzo zły znak, bo tym razem chodziło mu nie o ziemię, ale raczej o kobietę, która stała między nim a ranczem. A przecież nawiązanie przyjaźni z żoną Caleba nie mieściło się w jego planach.

ROZDZIAŁ 4

Karen obudziła się jeszcze przed świtem, obrządziła bydło, zostawiła wiadomość dla Hanka i Dooleya, a potem pojechała do Winding River, chociaż nic jej tam nie wzywało.

Można by pomyśleć, że uciekła. A jeśli nawet, to chyba jej wolno? Ranczo przestało już być jej domem, odkąd zaczął się pojawiać Grady. Wystarczyło, że na moment odwróciła się, a już tam był. Ten człowiek jest jak uciążliwy chwast, pomyślała z złością.

Wieczór spędzony w jego towarzystwie poruszył ją bardziej, niżby się mogła spodziewać, co jej się wcale nie podobało. A przecież poza tym, że wkradł się podstępnie do jej domu, nie okazał się ani trochę natarczywy i ani razu nie poruszył tematu rancza.

Trzeba mu nawet przyznać, że zachowywał się wyjątkowo uprzejmie i słuchał jej z uwagą, a rozmawiali na niebywale ciekawe tematy. Reasumując, okazał się bardzo sympatycznym towarzyszem. Powiedział jej także parę miłych słów, przypominając tym samym, że miło jest od czasu do czasu usłyszeć komplement z ust mężczyzny.

Ale nie tego mężczyzny, powiedziała sobie z naci-

skiem. Nie wolno jej wierzyć w ani jedno jego słowo! Wszystko to tylko środki, mające doprowadzić go do celu. A celem tym jest przejęcie rancza Hansonów, nawet jeśli nie wspominał o tym ani słowem.

Czy to nie dziwne, że wciąż myślała o ranczu jako o posiadłości Hansonów? Jakby sama była tylko jego strażniczką. Niestety, ostatnimi czasy obowiązek ten coraz bardziej jej ciążył.

Blade zimowe słońce próbowało przebić się zza horyzontu, kiedy jechała główną ulicą Winding River, do lokalu Stelli. Czekwała tam na nią gorąca kawa i pewnie Cassie, o ile miała tego dnia poranną zmianę. Cassie uparła się, by pracować po ślubie, chociaż jej mąż, Cole, był temu przeciwny. Prawdopodobnie nie wierzyła, że małżeństwo ich przetrwa, mimo iż układało się między nimi coraz lepiej, a Jake wprost uwielbiał swojego nowo poznanego tatę. Zdaniem Karen, własne pieniądze i lubiana praca dawały Cassie poczucie bezpieczeństwa. A ponieważ Cole pracował w domu, dziewięcioletni Jake po powrocie ze szkoły nie był skazany na własne towarzystwo. Zresztą, nawet gdyby tak nie było, Cassie i tak znalazłaby jakiś sposób, żeby zachować niezależność.

- Co za ranny ptaszek - zawołała Stella, kiedy Karen stanęła w progu. - Masz jakieś kłopoty? - Stella nalała Karen filiżankę kawy i postawiła przed nią dzbanek. - Na razie jest pusto, więc mogę posłuchać.

Karen zawahała się, a potem skinęła głową.

- Gdybyś zechciała...

Stella dosiadła się do stolika. Znała Karen i jej przyjaciółki od czasów, gdy były jeszcze w podstawówce, a ona

właśnie otworzyła lokal, Serdeczna, życzliwa i uśmiechnięta, matkowała im zawsze w potrzebie, a teraz zaczynała odgrywać tę samą rolę w życiu kolejnej generacji.

- No więc, o co chodzi? - zapytała. - Ciagle opłakujesz Caleba?

- Oczywiście że tak - odparła Karen trochę zbyt pośpiesznie. - Przecież od jego śmierci minęło niewiele ponad pół roku.

- Tak tylko zapytałam. - Stella spojrzała na nią ze zrozumieniem. - Jest jakiś inny mężczyzna, prawda? Ktoś ci się spodobał i masz wyrzuty sumienia?

- Nie - gorąco zaprzeczyła Karen, ale oblała się rumieńcem. - To znaczy, chyba tak. To ten, który chce kupić rancho. Zaczął mnie nachodzić.

- Grady Blackhawk - z miejsca domyśliła się Stella. - Wiem wszystko na ten temat.

- Pewnie od Cassie?

- Od niej i od samego Grady'ego. Przychodzi tu od czasu do czasu.

Karen przypomniała sobie rozmowę z poprzedniego wieczora.

- Na porcję klopsy?

Stella rozpromieniła się.

- On uwielbia moje klopsy. Nie gardzi też pieczonymi kurczakami i mięsną zapiekanką. Jeżeli ktoś przyjeżdża taki kawał drogi, żeby u mnie zjeść, musi albo umierać z głodu, albo naprawdę cenić moją kuchnię.

- Mówisz o nim, jakbyś go lubiła,

- Bo go lubię. - Stella uważnie przyjrzała się Karen.

- Czemu cię to dziwi? - Uniosła rękę. - Zresztą, to nie-

ważne. Ja wszystko wiem. Chodzi o ten zadawniony spór między nim a Calebem?

- Nie widzisz innych powodów?

- Widzę. A jakie ty masz powody, żeby mu odmawiać?

Nie dałaś mu szansy. Oto, co cię dręczy, bo jesteś z natury uczciwa i uważasz, że trzeba każdemu dać szansę; czasami nawet drugą, jeśli zajdzie potrzeba. Ale nie Grady'emu.

- Może masz rację - przyznała Karen.

To prawda, że lubiła sama formułować sądy o ludziach. Nigdy też nie uważała, że mąż i żona muszą mieć tych samych przyjaciół. Dlaczego tak bardzo zależało jej na tym, żeby wróg męża stał się również jej wrogiem?

Oczywiście dlatego, że Caleb nie żyje. I tylko ona mogła teraz przeciwstawić się Grady'emu. Poza tym, nie chodziło o samego człowieka, tylko o ranczo.

- Sprzedasz mu ranczo? - zapytała Stella, jakby czytając w jej myślach.

- Nie - odparła Karen.

- W takim razie w czym problem, bo mam wrażenie, że twoja decyzja jest ostateczna?

- On... - Karen spojrzała z rozpaczą na Stellę niczym podłotek, który zadurzył się po raz pierwszy w życiu. - Grady tak dziwnie na mnie działa - szepnęła i nagle odczuła ulgę. Jak dobrze wypowiedzieć wreszcie te słowa, których nie śmiała wyznać przyjaciółkom, choć wciąż na to czekały.

Stella wcale się nie zdziwiła, tylko się uśmiechnęła.

- Ach tak? To znaczy, że znowu jesteś kobietą z krwi i kości. Grady to bardzo przystojny facet. Nie ma takiej kobiety, na którą by nie działał.

- Naprawdę? - ucieszyła się Karen. - Więc to nie oznacza, że jestem nielojalna? Że szargam pamięć Caleba?

- Moja droga, powtórzyłabym ci to samo, nawet gdyby Caleb żył i siedział teraz przy naszym stoliku. Nie ma nic złego w tym, że młoda kobieta z przyjemnością patrzy na przystojnego mężczyznę. Inna sprawa, co w związku z tym zamierzasz. - Stella zmrużyła oczy. - Masz jakieś plany? O to ci chodzi?

- Absolutnie nie - oburzyła się Karen.

Przyznała się jedynie do tego, że Grady jej się podoba. Na nic więcej nigdy sobie nie pozwoli. Nawet w myślach. Stella roześmiała się.

- Coś mi za głośno protestujesz. To podejrzane. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Niestety, Karen doskonale rozumiała, co Stella chciała przez to powiedzieć.

- Wpakowałam się w kłopoty, prawda? - zapytała.

- Jeszcze nie, ale sama się o nie prosisz - odparła Stella. Przechyliła się nad stolikiem i poklepała Karen po ręce. - A tak po prawdzie, nie byłoby to wcale takie złe. Nie ma już teraz określonego czasu żałoby jak za dawnych lat, kiedy opłakiwało się zmarłych przez cały rok. Życie ma swoje prawa, Karen. Caleb na pewno nie stanąłby na drodze do twojego szczęścia. Musisz tylko mieć pewność, że chodzi tu o dobro twoje, a nie Grady'ego.

- To nigdy nie będzie dobre - powiedziała Karen, bardziej do siebie niż do Stelli. - Przecież Caleb go nienawdził.

Stella spojrzała na nią z powagą.

- Bez obrazu, twój mąż był dobrym człowiekiem, ale

kierował się uprzedzeniami. I to nie swoimi własnymi. Nie popełniaj tego samego błędu.

Zanim Karen zdążyła ją zapytać, co to miało znaczyć, drzwi otworzyły się i do lokalu, wraz z falą zimna, wtargnęła pierwsza grupa porannych gości spragnionych gorącej kawy.

- Przemyśl to sobie - powiedziała Stella, wstając. - Za minutkę przyniosę ci śniadanie. Jak tylko obsłużę tę hałastkę.

- Ale ja nic nie zamawiałam.

- Nie musiałaś. I tak zawsze bierzesz to samo. Numer trzy z jajecznicą.

Po odejściu Stelli Karen zamyśliła się nad własnym życiem.

- Utknęłam w martwym punkcie - mruknęła półgłosem.

- Mówisz do siebie? To niedobry znak - odezwała się Cassie, siadając naprzeciwko. - Mam tylko sekundę, zanim zaczniesz tu młyn. Co słychać? Chcesz pogadać?

- Chciałam, ale Stella była pierwsza.

- Ona zawsze jest pierwsza. - Cassie uśmiechnęła się.

- Nie ruszaj się stąd. Zaraz przyjdzie Emma i dotrzyma ci towarzystwa. Możliwe też, że pojawi się Ford. Ten człowiek chodzi za nią ostatnio jak cień. Emma mówi, że okropnie jej to działa na nerwy, ale jak dotąd jeszcze go nie przepędziła. A co z tobą? Przegoniłaś na dobre tego Blackhawka?

- Niestety, nie - wyznała ze smutkiem Karen. - Właśnie dlatego tu jestem. On był przez cały wczorajszy dzień na ranczu i zapowiedział, że dziś też przyjedzie.

- Przez cały dzień?! - oburzyła się Cassie. - Co właściwie ten typ sobie wyobraża? Znowu cię zameczał? Może jednak Emma powinna załatwić ten zakaz wstępu?

- Nie, wcale mnie nie zameczał, a w każdym razie nie w taki sposób, jak myślisz. Wprost przeciwnie. Po przyjeździe nawet się do mnie nie zgłosił, tylko od razu zabrał się do roboty. Kiedy go zobaczyłam, zdrapywał starą farbę ze stajni.

Cassie spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Co takiego? Po co?

- A bo ja wiem - odparła Karen z westchnieniem. - Powiedział mi, że ma całą listę robót, w których zamierza mi pomóc. Czy prosiłam go o tę pomoc? Nie. Czy jej chcę? Nie. A czy on mnie w ogóle słucha? Też nie.

Cassie zachichotała.

- To ciekawe. Kolejny facet, który nie przyjmuje do wiadomości odmowy. Ja też mam w domu takiego.

- Nawet mi o tym nie mów - powiedziała Karen.

Nim skończył się ranek, Karen otrzymała mnóstwo porad od Emmy, Giny i Lauren, które wpadły do Stelli, by przekazać coś, zanim wezmą się do pracy. Po ich odejściu Karen pozostało już tylko wrócić do domu... gdzie oczywiście będzie na nią czekał Grady.

Poczuła, że nie jest jeszcze gotowa stawić mu czoło, podobnie jak nie była w stanie uporać się ze swymi emocjami. Dlatego zamiast do domu, pojechała w kierunku Laramie. Pójdzie do kina, poogląda sklepowe wystawy - bo tylko na to było ją aktualnie stać - i może uda jej się zapomnieć na chwilę o Grady.

Niestety, aktor grający główną rolę w filmie, na który się wybrała, okazał się niezwykle podobny do Grady'ego. I nie był to wcale czarny charakter, tylko bohater ze wszech miar pozytywny. Wyglądało na to, że wszystko

sprzysięgło się przeciwko niej, by zmusić ją do zmiany zdania o Grady. A to znaczyło, że będzie musiała bardziej niż zwykle mieć w pamięci ostrzeżenia Caleba. Może jeśli będzie powtarzać je codziennie jak litanie, zdoła przezwyciężyć chwilową słabość i życie wróci do normy.

Wprawdzie ostatnie dni były szczególnie ciężkie, Karen miała jednak nadzieję, że szybko poradzi sobie i z Grady, i z tymi niechcianymi uczuciami, jakie w niej budził.

Gdy Grady zjawił się na ranchu następnego ranka, nawet nie próbował zapukać do kuchni, tylko od razu zabrał się do pracy. Liczył oczywiście na to, że, podobnie jak poprzedniego dnia, Karen prędzej czy później się pojawi. Co jakiś czas spoglądał na dom, próbując sobie wyobrazić, czym Karen może się w danej chwili zajmować.

Czy piecze ciasto? Od lat nie jadł tak pysznych ciasteczek. Może zostało ich jeszcze trochę z poprzedniego dnia i Karen znowu go poczęstuje. A może zrozumiała jego aluzję i wyjmuje właśnie z pieca szarlotkę? Od tak dawna prowadził kawalerskie gospodarstwo, że na samą myśl o domowych wypiekach ślinka napłynęła mu do ust.

Na szczęście, jeśli chodzi o jedzenie, nie zwykł polegać na pobożnych życzeniach. Przyniósł ze sobą termos i pojemnik z kanapkami, którymi zamierzał podzielić się z Karen w jej przytulnej kuchni, jeśli będzie miał okazję. Kiedy nadeszło południe, a jej wciąż nie było, poczuł się bardzo zawiedziony.

Jak dotąd na ranchu pojawili się jedynie dwaj sezonowi robotnicy. Grady stał właśnie na szczycie drabiny i zeskrobywał z desek resztki farby.

- Coś ty za jeden? - odezwał się starszy, brodaty mężczyzna, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

- Jestem Grady Blackhawk - odparł, opanowując wzburzenie na widok ich pogardliwej reakcji na jego nazwisko. - A wy?

- Nie pana interes. Wolno nam tu przebywać, nie tak jak panu. Jakim prawem się tu pan rządzi? Co robi pan na ranchu Hansonów?

- Czy to nie jasne?

- Nie dla mnie - burknął starszy mężczyzna. - Pani Hanson na pewno nie życzyłaby sobie, żeby pan tu węszył i majstrował przy jej stajni.

- Niby dlaczego? - zapytał, ciekaw, co Karen o nim mówiła.

- Bo teraz, kiedy jej mąż nie żyje, próbuje pan ukraść to rancho - odpowiedział młodszy robotnik, po czym, wskazując na puszkę farby, dodał: - Dobrze wiem, że chce pan ją wpędzić w długi, których nie będzie mogła spłacić.

- Ależ skąd! - zaprzeczył Grady. - Chciałem jej tylko pomóc.

- A po co miałbyś to robić, gdybyś nie chował czegoś w zanadrzu? - wtrącił się starszy. - Wiesz tak samo jak my, że nie ma nic za darmo.

- A gdzie to jest powiedziane? - zapytał Grady. - Mylisz się. To zwykła, sąsiedzka przysługa,

- Akurat! - prychnął mężczyzna. - Dobrze, że szefowa tego nie widzi. Lepiej się stąd zabieraj, zanim wróci. I bez pana ma dość kłopotów na głowie.

- To Karen nie ma w domu? - zapytał zawiedzionym tonem.

- Dla pana to pani Hanson - ofuknął go mężczyzna.
- Nie, nie ma jej na ranczu, więc jeżeli chciał pan jej pozawracać głowę, to masz pecha. Z tego, co wiem, wyjechała. Na cały dzień, albo i na dłużej. Może nawet na kilka tygodni. Może w końcu wybrała się na te swoje wakacje, na które jej koleżanki tak ją namawiały.

- Naprawdę? - Grady nie bardzo chciał w to uwierzyć.
- A nie mówiła, kiedy wraca?

Mężczyźni wymienili spojrzenia, a starszy pokręcił głową.

- Mnie w każdym razie nic nie mówiła.
- Mnie też nie - dorzucił młodszy.
- Chyba wydała wam jakieś polecenia, co macie robić, prawda? - znaczącym tonem zapytał Grady.

- No tak - przyznał starszy, mimo to żaden z nich nie ruszył się z miejsca. Grady zaniepokoił się, że gotowi są stać przy nim aż do wieczora. W końcu jednak poczucie obowiązku wzięło górę nad podejrzliwością i odeszli, narzekając na ludzką bezczelność.

Wbrew pozorom niezyczliwa reakcja obu mężczyzn ucieszyła Grady'ego. Oznaczała bowiem, że troszczą się o Karen, a jej dobro leży im na sercu.

Cóż z tego, że mylili się co do jego intencji... A może jednak mieli rację? Może jego zamiary wcale nie były aż tak szlachetne, jak to sobie wmawiał?

Znów zabrał się za skrobanie farby. Chyba jednak po to przyjechał. A nie po to, żeby zobaczyć Karen Hanson. Kobiętę o wielkich, błękitnych oczach i ustach jakby stworzonych do pocałunku.

Każdemu wolno marzyć, pomyślał z westchnieniem,

raz po raz zerkając w stronę gościńca, na którym miał nadzieję ujrzeć zdezelowaną ciężarówkę w kłębach kurzu.

Tymczasem nadszedł wieczór, a Karen jak nie było, tak nie było. Kiedy skończył pracę, na wszelki wypadek zapukał do drzwi domu, ale nikt się nie odezwał, a okna kuchni pozostały ciemne.

Wobec tego nalał sobie ostatnią kawę z termosu i przysiadł na ganku, żeby poczekać na Karen. Na szczęście miał kurtkę podbitą kożuszką, bo robiło się coraz zimniej, chociaż opady śniegu zapowiadano dopiero na przyszły tydzień.

W miarę jak mijał czas, Grady miał coraz większą ochotę wracać do domu. Przemógł się jednak i czekał cierpliwie, choć sam nie wiedział, czemu tak bardzo mu zależy, żeby spotkać się z Karen tego wieczoru. Nie był też wcale pewny, czy chciałby poznać odpowiedź na to pytanie.

Gdy Karen zajęła wreszcie przed dom, światła reflektorów wyłowiły z ciemności skuloną sylwetkę Grady'ego na ganku. Silnik zgasł, ale Karen długo nie wysiadała. Pewnie siedziała w środku, walcząc z irytacją... a może i pokusą. Czy zmagala się ze sobą równie rozpaczliwie jak on?

Wreszcie jednak wysiadła z szoferki, trzasnęła drzwiami i ruszyła w stronę domu, a z każdego jej ruchu przebiła tłumiona irytacja. Grady podniósł się na widok Karen, gotów stawić jej czoło.

- Co tu robisz o tej godzinie? - zapytała lodowatym tonem. - Jesteś za daleko od stajni, by udawać, że malujesz.

- Czekałem na ciebie. Jak na osobę, która ma tyle obowiązków, długo cię nie było - zauważył ze spokojem.

- Myślałam, że ty przejąłeś już wszystkie moje obowiązki - odcięła się. - Dlatego wzięłam sobie wolny dzień.

- Naprawdę? Moim zdaniem ukrywasz się przede mną. Aż tak cię przerażam?

- Nie bądź śmieszny. Nie przerażasz mnie, tylko cholernie denerwujesz. A poza wszystkim, moje wyprawy to nie twoja sprawa - dorzuciła z gniewem, który świadczył o tym, że trafił w dziesiątkę. Rzeczywiście spędziła cały dzień poza ranczem, żeby się z nim nie spotkać, a kiedy jej plan się nie powiódł, wpadła w złość.

- Kobieta powinna mieć kogoś, kto się o nią troszczy - zauważył. - Takich ludzi nigdy za wiele. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Karen schowała rękę do kieszeni i spojrzała mu wyzywająco w oczy.

- Może cię to zdziwi, ale jedyne, co niepokoi moich przyjaciół, to ty.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Grady mimowolnie się uśmiechnął. - Wyobrażam sobie, że opisałaś mnie w najczarniejszych barwach. Ci twoi robotnicy potraktowali mnie bardzo podejrzliwie.

- Nic dziwnego. Dooley i Hank byli bardzo lojalni wobec Caleba, dlatego mnie teraz pilnują.

- Mną nie muszą się przejmować. Nie jestem aż taki zły.

- Na razie mi tego nie udowodniłeś.

- Nie zapominaj, że tak naprawdę mnie nie znasz - powiedział z wyrzutem.

- Wystarczy mi to, co o tobie wiem.

Grady zrobił krok, a Karen, o dziwo, wcale się nie cofnęła.

- Na przykład co? - zapytał.

- Że jesteś kawał drania, a do tego złodziej - odpowiedziała, zdecydowana trzymać się tej opinii.

Grady zrobił kolejny krok. Karen ani drgnęła, ale w jej oczach błysnęła trwoga.

- Naprawdę? - zapytał przeciągle. - Skąd ta pewność?
- Mój mąż mówił...

Podniósł rękę i odgarnął jej z twarzy niesforny kosmyk. Policzki miała gorące.

- Już mi to mówiłaś. - Cofnął się, zanim jego gest zdążył przerodzić się w pieszczotę. - Co tak naprawdę wiesz, Karen, poza plotką i podejrzeniami? Proszę o fakty.

W bladym świetle księżyca dostrzegł, że się zmieszała. Najwyraźniej nie miała na to odpowiedzi i była z siebie niezadowolona.

- Mam pewną propozycję - odezwał się łagodnym tonem, jakim zwykł oswajać narowiste konie. - Poświęć mi trochę więcej czasu, żeby mnie lepiej poznać. Jeżeli będziesz nadał myślała, że jestem kawał drania, a do tego złodziej, odejdę i nie będę cię więcej męczył o tę ziemię. Ale jeśli zmienisz zdanie, sprzedasz mi ranczo i wybierzesz się w tę twoją wymarzoną podróż.

- Nie mogę - odparła cicho.
- Czemu nie? Nie masz własnego zdania?
- Oczywiście że mam, ale...
- To uczciwa propozycja, Karen. Dobrze wiesz, że tak jest.

- Mimo to nie mogę - powtórzyła z uporem. Jednak Grady'emu wydało się, że w jej głosie po raz pierwszy wychwyił nutę żalu.

- Zrobisz, jak będziesz uważała. Wrócimy jeszcze do tego - powiedział, wzruszając ramionami. Odwrócił się, ale nie uszedł daleko.

- Ten twój eksperyment - zawołała za nim Kareh. Tym razem w jej głosie zabrzmiała rezygnacja. - Ile on potrwa i co miałyby obejmować?

- Tyle, ile trzeba, i to, co będzie konieczne.

Karen potrząsnęła głową.

- Nie. Zgodzę się pod warunkiem, że ustalimy ściśle określone zasady, które oboje zaakceptujemy.

- Dobrze - powiedział Grady. - Miesiąc, podczas którego zjemy razem kilka posiłków i odbędziemy kilka rozmów. Co w tym złego? Wczoraj zjedliśmy razem kolację i jakoś świat się z tego powodu nie zawalił, prawda?

- Chyba prawda.

- No więc, co ty na to? Umowa stoi?

- Dwa tygodnie - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Dwa tygodnie - powtórzył, tłumiąc okrzyk triumfu.

- Lunch i kolacja.

- Wystarczy ci to? - zapytała, mrużąc oczy. - Czy po tym czasie pogodzisz się z moją decyzją, bez względu na to, jaka będzie? Nawet jeżeli nie uda ci się mnie przekonać?

- Skoro tak się umówiliśmy...

Wyciągnęła do niego rękę. Grady chwycił ją, poczuł, że drży, i już wiedział, że zrobił najlepszy interes w życiu.

ROZDZIAŁ 5

Co też ona najlepszego zrobiła? Karen z jękiem ukryła twarz w dłoniach i pomyślała o pułapce, jaką zastawił na nią Grady. Weszła w nią dobrowolnie i bez wahania. Zaprosiła wroga do swojego obozu, żeby przełamać się z nim chlebem. Musiała stracić rozum.

A jednak nie była w stanie oprzeć się jego propozycji, żeby raz na zawsze zakończyć tę wojnę.

Co więcej, otwierała się przed nią szansa rozwikłania pewnej bardzo skomplikowanej zagadki, na czym jej bardzo zależało, choć wolała się nawet nie zastanawiać dlaczego. Bała się, że stoi za tym coś więcej niż tylko ciekawość i poczucie przyzwoitości. Tak naprawdę, to już od dnia, w którym Grady pojawił się w jej kuchni, nabrała ochoty, żeby go rozszyfrować.

Może to tylko z braku towarzystwa po śmierci męża? Ale chyba nie... Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że to coś więcej, że wiąże się to z osobą Grady'ego i kryje w sobie urok zakazanego owocu.

Pomyślała, że przez te wszystkie lata to nie ona lekceważyła wszelkie zasady. Leżało to raczej w zwyczajach Cassie. Aż tu nagle zapragnęła upodobnić się do przyjaciółki i zerwać krępujące ją więzy konwenansu. Chcąc nie

chcąc, musiała przyznać, że spędzanie czasu z Grady świetnie kwalifikuje się do tej kategorii zachowań. Czowała przez skórę, że zaraz zaczną się plotki. Teściowie będą oburzeni. Przecież nawet ona sama w głębi duszy nie pochwałała swojego wyboru.

Ale stało się. Nie mogła już cofnąć raz danego słowa. Zresztą, chodzi tylko o kilka wspólnych posiłków. To nie może być aż tak kompromitujące. Poza tym, czy godzina spędzona w towarzystwie Grady'ego musi od razu oznaczać kłopoty?

Przekonała się o tym, kiedy wspólne lunchy przerodziły się w codzienny rytuał, a kolacja stała się żelaznym punktem programu. Pod koniec pierwszego tygodnia Karen musiała przyznać, że polubiła świadomość, iż Grady jest w pobliżu. Zapomniała przy tym o prawdziwych przyczynach jego obecności. A jeżeli nawet żywiła z początku jakieś wątpliwości, nienagannym zachowaniem rozwiązał jej obawy.

Aż wreszcie przyszła sobota, a wraz z nią śnieżycą, która rozpętała się akurat w chwili, gdy zasiedli do kolacji, złożonej z zapiekanki i domowego chleba. Karen nawet nie zauważyła zmiany pogody, bo Grady zabawiał ją opowieściami o swoim dziadku.

Słuchając go, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Thomas Blackhawk jest postacią niezwykłą. Człowiekiem, który walczył o zachowanie indiańskiego dziedzictwa, a jednocześnie doskonale sobie radził w świecie białych. Pełnił funkcję burmistrza w miasteczku położonym na północy stanu, a ostatnio mówiło się o tym, że może zostać delegatem z regionu do stanowej legislatury.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go w garniturze, nie mogłem uwierzyć, że to on - zwierzył się Grady, a oczy mu zalśniły. - Na ogół widywałem go w dzinsach i flanelowej koszuli, aż tu nagle widzę, jak elegancko ubrany przemawia do tłumu, a na jego twarzy maluje się duma. To była zaskakująca przemiana. A wiesz, co mi powiedział, kiedy o tym później rozmawialiśmy?

- Co takiego?

- Że nie suknią zdobi człowieka. Liczą się tylko jego czyny.

- Kochasz dziadka, prawda?

- Nawet więcej niż Kocham. Ja go również podziwiam. Dziadek prowadzi bardzo skromne życie na prowincji, gdzie zbudował sobie dom. Jako dziecko spędzałem z nim dużo czasu, słuchając opowieści o przyrodzie i o naszym miejscu we wszechświecie. Zapoznał mnie ze starymi legendami i praktykami, ale nie były to najważniejsze lekcje, jakich mi udzielił.

- A co było najważniejsze? - zapytała Karen.

- Nauczył mnie szacunku do samego siebie oraz poczucia obowiązku i lojalności względem rodziny.

- To on nauczył cię nienawiści do Hansonów? - W ustach Karen zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie.

- Nienawiści? O nie! - zaprzeczył Grady. - To uczucie było mu całkowicie obce. On mi tylko uświadomił, że ta ziemia powinna należeć do jego ojca; że to powinna być ziemia Blackhawków.

- Innymi słowy, to on zaszczepił ci tę ideę i tak długo ją pielęgnował, aż przerodziła się w obsesję- powiedziała,

czując, że podziw, jakim zaczęła obdarzać Thomasa Blackhawka, zmaliał.

- To nie obsesja, Karen. To obowiązek. Chcę, żeby dziadek stanął któregoś dnia na tej ziemi ze świadomością, że wróciła do swoich prawowitych właścicieli. Do Blackhawków.

- Czy byliby równie szczęśliwi, gdyby znał cenę, jaką gotów jesteś za nią zapłacić?

- Tu nie chodzi o pieniądze - powiedział Grady.

- To prawda - przyznała. - Nie mówiłam o sumie, jaką jesteś gotowy wyłożyć. Mówiłam o całej reszcie, o twoich usiłowaniach, żeby zmusić Caleba, a teraz mnie, do sprzedaży rancza.

Grady spojrział na nią, poirytowany.

- A niech cię! Ile razy mam ci powtarzać, że nie miałem nic wspólnego z próbami wygubienia waszego stada?

- Jeżeli nie ty to zrobiłeś, to kto?

- W obu przypadkach mogła to być siła wyższa. W końcu bydło czasami choruje. A pożary na pastwiskach podczas suszy także nie są niczym niezwykłym.

Karen spojrzała mu w oczy.

- Czy ty naprawdę wierzysz, że takie było? Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że obie te kłęski dotknęły akurat nas, a nie kogoś innego?

- Przyznaję, że mogło to wyglądać podejrzanie, ale nie miałem z tym nic wspólnego.

- Ty tak twierdzisz.

- W wielu wpływowych kręgach moje słowo się liczy.

- Świat jest pełen głupców - zauważyła Karen, upór-

czywie trzymając się opinii Caleba, że Grady'emu nie wolno ufać. Czuła, że powinna to sobie powtarzać, bo inaczej gotowa polubić Grady'ego wraz z jego komplementami.

- Naprawdę potrafisz tak siedzieć, patrząc mi w oczy, i mówić, że byłbym zdolny do podłości? - zapytał. - Czy przez ostatni tydzień choć raz postąpiłem nieuczciwie? Czy w jakikolwiek sposób próbowałem na ciebie naciskać?

- Nie - przyznała niechętnie. Jeśli pominąć, że już sama jego obecność była karygodna. Bo poza tym rzeczywiście starał się jak mógł, a jego pomoc okazała się nieoczoniona. Ponaprawiał wszystko, co od dawna domagało się naprawy, a budynki na ranchu nigdy nie były w lepszym stanie.

- Może wobec tego zaczęłabyś mi choć trochę ufać - powiedział.

- Staram się - westchnęła.

- To już kolejny krok naprzód, kotku - rozpromienił się Grady. - Widzę, że robimy postępy.

Niestety, zdaniem Karen, był to krok w absolutnie niewłaściwym kierunku. Caleb na pewno by tego nie pochwalał. Oparła się pokusie nalania sobie kolejnej filiżanki kawy i wstała od stołu, żeby nie przedłużać tej rozmowy.

- Lepiej już pozmywam - powiedziała, odwracając się plecami do Grady'ego.

Grady z miejsca się poderwał.

- Pomogę ci.

- Nie trzeba - zapewniła go pospiesznie. - Na pewno chcesz wracać do domu.

Grady uśmiechnął się.

- Niekoniecznie. Tu mam lepsze towarzystwo. Poza tym, jest sobotni wieczór, więc pora odpocząć i trochę się odprężyć. Przywiozłem wideo. Moglibyśmy uprzyżyć popcorn i obejrzeć jakiś film.

Karen musiała niechętnie przyznać, że była to bardzo kusząca propozycja.

- Przykro mi, ale w tym domu nie ma popcornu.

- Przywiozłem całą torbę.

- Ty to potrafisz o wszystkim pomyśleć - powiedziała, ale nie zabrzmiało to jak komplement.

- Staram się - przyznał ze spokojem Grady. - Mam przynieść czy już mnie wyrzucasz?

Karen zawahała się.

- Co to za film?

- Jeden z filmów z Lauren. Właśnie ukazał się na kasecie.

- Wiedziałaś, że nie będę potrafiła się oprzeć, prawda?

- spytała z wyrzutem.

- Nie, ale miałem nadzieję.

Okazja do wyprawy do kina w Laramie trafiała się Karen bardzo rzadko. Oglądany w ostatnim tygodniu film był pierwszym, jaki obejrzała od śmierci Caleba. A ostatni film z Lauren widziała ponad rok temu. Dlatego też z miejsca wytłumaczyła sobie, że chodzi tu wyłącznie o nadrobienie zaległości.

- Przynieś odtwarzacz - zarządziła - a ja skończę sprzątać ze stołu.

Grady chwycił kurtkę i otworzył drzwi, ale zaraz je zatrzasnął, bo do kuchni wtargnęła fala mroźnego powietrza. Karen spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Coś nie tak?
- To zależy, jak na to popatrzeć - odparł.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i wyjrzała na dwór. Z nieba sypały się wielkie, białe płatki. Nawet jasno oświetlona stodoła była ledwo widoczna. Ziemię pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu. Jeżeli będzie nadal padało w tym tempie, drogi wkrótce staną się nieprzejezdne - o ile już tak nie było.

Niespodziewana śnieżycą oznaczała komplikacje, mimo to Karen z zachwytem patrzyła na zimowy krajobraz.

Nie bała się kłopotów. Przywykła radzić sobie w różnych okolicznościach. Miała zapasy paszy dla bydła, podręczny generator w razie gdyby wyłączono prąd, dobrze zaopatrzoną spiżarnię oraz komórkę przy kuchni pełną drewna.

Problem polegał jedynie na tym, że jest zdana na towarzysztwo Grady'ego na Bóg wie jak długi czas. Nie mogła przecież odesłać go do domu przy takiej pogodzie. Tym bardziej że miał do pokonania znaczną odległość. Co innego, gdyby mieszkał tuż obok.

Mimo to perspektywa, iż Grady będzie musiał spędzić noc pod jej dachem, wcale jej aż tak bardzo nie przerażała. W końcu to siła wyższa. Nikt nie może mieć jej tego za złe. A poza tym, kto się o tym dowie?

Zamknęła starannie drzwi, a potem stanowczym tonem oświadczyła:

- Zostaniesz tu na noc, oczywiście. Pójdę przygotować ci łóżko w gościnnym pokoju.
- Karen... - odezwał się Grady.
- Co?

- Ja tego nie zaplanowałem.

Karen uśmiechnęła się mimo woli.

- Myślę, że nawet ty nie potrafisz rządzić pogodą.

- Nie wiedziałem, że zapowiadano opady śniegu.

- Grady, znam się na pogodzie na tyle dobrze, by wiedzieć, że śnieżyce mogą rozpuścić się całkiem nieoczekiwanie i okazać się gorsze, niż przewidywano.

- W porządku. To znaczy, że wszystko jasne. - Grady pokiwał głową.

- Wszystko jasne - powiedziała, uśmiechając się mimo woli. - No to idź już i przynieś wideo i popcorn.

- Na pewno tego chcesz? Bo mogę jeszcze pojechać do domu.

- A jeżeli zaczniesz się zamieć? Nie chciałabym cię mieć na sumieniu.

- Zwłaszcza że oboje doskonale wiemy, jakie masz delikatne sumienie - powiedział Grady. - Idę po wideo, a przy okazji zajrzę do koni.

- Dziękuję. Zrób to, póki to jeszcze możliwe.

Po wyjściu Grady'ego Karen z ciężkim westchnieniem oparła się o blat. Co ona najlepszego zrobiła? Zaprosiła Blackhawka pod swój dach. Gorszą zdradą wobec Hansonów byłoby już tylko zaproszenie go do łóżka.

Brnąc przez coraz gęstszy śnieg, Grady dotarł do stajni, gdzie sprawdził, czy koniom niczego nie brakuje. Zajęło mu to zaledwie kilka minut, a jednak, kiedy znowu wyszedł na dwór, dom zniknął za ścianą bieli, a zasyły sięgały mu już po kolana.

Na szczęście furgonetkę zaparkował tuż obok. Kalka

minut zajęło mu odgarnianie śniegu i rozmrażanie zamka. Kiedy wreszcie udało mu się otworzyć wóz, trząśnięty całym z zimna. Chwycił wideo, kasety i torbę z popcornem i ruszył w stronę domu. Przed progiem strząsnął z butów śnieg, a potem zdjął kurtkę i starannie ją otrzepał.

Po wejściu do środka poczuł rozkoszne ciepło. Mimo grubych rękawic, ręce miał zupełnie przemarznięte. Kiedy Karen wróciła, stał pośrodku kuchni i rozcierał dłonie.

- Co to za bałwan? - zapytała ze śmiechem.
- Przecież otrzepałem buty i kurtkę - zaprotestował.
- Szkoda, że nie widzisz swoich włosów - powiedziała. Podeszła bliżej i strzepnęła mu śnieg z głowy. - Masz nawet śnieg na rzęsach.

Kiedy jej palce musnęły jego policzek, Grady'emu na moment zabrakło tchu. Ciepły, słodki oddech Karen muskał mu twarz. A jej usta były różowe i tak kuszące. Obiecowały żar, który mógłby wygonić resztki mrozu z jego ciała. Nagle zapragnął ją pocałować.

Nie zrobił tego jednak, żeby wszystkiego nie popsuć. Gdyby uległ teraz pokusie, zniszczyłby zaufanie, jakim Karen zaczynała go z wolna obdarzać.

Cofnął się, chwycił jej dłoń i odsunął od swojej twarzy.

- Dzięki - burknął. - Sam to zrobię, tylko daj mi ręcznik.

W pierwszej chwili Karen poczuła się urażona, a potem w jej oczach pojawił się cień zrozumienia. Zarumieniła się i wybiegła z kuchni, a kiedy po chwili wróciła, oboje byli już spokojni.

Karen zabrała się za przygotowanie gorącej czekolady, a Grady suszył włosy, przyglądając jej się spod oka. Miała

takie kragłe, ponętne biodra. Chętnie położyłby dłoń na jej plecach i pomasował kark, żeby się odprężyła. Może nawet udałoby mu się pocałować ją ukradkiem.

Nie! Nie ma prawa do takich zachcianek! Nocleg w tym domu to konieczność, ale zarazem bardzo zły pomysł. Choć całymi latami ćwiczył wolę i oparł się niejednej pokusie, teraz przechodził męki. Karen Hanson była kobietą wręcz stworzoną do miłości - i to nie tylko fizycznej.

Czy Caleb także patrzył na nią w ten sposób? Jak na delikatną istotę zasługującą na wygodne życie? Czy dlatego tak rozpaczliwie walczył, żeby utrzymać ranczo? Żeby stworzyć dla niej dom? To zabawne, jak dużo dowiedział się o Calebie Hansonie podczas minionego tygodnia. A przecież celem było bliższe poznanie jego żony. Tymczasem wbrew własnej woli wszedł w skórę tego człowieka i zaczął rozumieć jego rozpaczliwą determinację, a nawet ją podziwiać.

- Czekolada jest już gorąca. - Głos Karen przerwał jego rozmyślenia. - Zaczynaj robić popcorn, bo wszystko wystygnie.

- Będę gotowy za minutę - powiedział. - Gdzie masz mikrofalówkę?

Karen spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Nie mam mikrofalówki. Będziesz go musiał uprażyć tradycyjnym sposobem.

- Myślisz, że nie potrafię? - roześmiał się Grady.

- Chciałabym to zobaczyć - prychnęła.

- Zapomniałaś chyba, że dziadek nauczył mnie, jak radzić sobie nawet w najbardziej prymitywnych warunkach. - Grady sięgnął po patelnię. Postawił ją na piecu,

nasypał kukurydzy i przykrył pokrywką. - To dziecinnie proste. Sama zobaczysz.

Spojrzał Karen przeciągle w oczy, ale jej nawet nie drgnęła powieka. Patrzyli na siebie, czas mijał. Grady wsłuchiwał się w bicie własnego serca i próbował wyczytać coś z jej oczu.

- Czuję, że coś się przypala - odezwała się ze śmiechem po kilku minutach. Czar prysł.

Grady spojrział na patelnię. Spod pokrywki wydobywał się dym. Kiedy klnąc, wstawiał patelnię do zlewu, słyszał, jak ostatnie ziarenka kukurydzy stukają o pokrywkę. Zająty Karen, najwyraźniej zapomniał o bożym świecie i prze-gapił właściwy moment.

Słyszając stłumiony śmiech, podniósł głowę i dostrzegł w jej oczach błysk satysfakcji.

- Zrobiłaś to naumyślnie, prawda? - powiedział z wyrzutem.

- Ale co? - zapytała z miną niewiniątka.

- Przeszkodziłaś mi.

- Tak? A w jaki sposób?

- Odwróciłaś moją uwagę.

- Po co miałabym to robić?

- Żeby zdobyć punkt dla siebie.

Karen uśmiechnęła się promiennie.

- Przyznaj się, że jesteś zarozumiała.

- A ty poświęciłaś popcorn, żeby dać mi nauczkę?

- Myślę, że to było zagranie fair.

Grady ciężko westchnął.

- Ale ja uwielbiam podjadać popcorn, kiedy oglądam film.

- Nie musimy oglądać filmu. I tak lada moment mogą wyłączyć prąd, a generator zasila tylko ogrzewanie i bojler.
- No to co proponujesz? - zapytał, patrząc jej w oczy.
- Możemy iść do łóżka - odparła ze spokojem.

Grady uśmiechnął się.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli to samo na myśli. Karen zmieszała się i spuściła wzrok.
- Chyba rzeczywiście nie.
- W takim razie obejrzymy film. Tak będzie bezpieczniej. Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Wzięli filiżanki z czekoladą i zanieśli je do pokoju. Grady nastawił wideo i rozsiadł się na sofie, naprzeciwko telewizora. Karen zawahała się, a potem zajęła miejsce obok, zachowując bezpieczną odległość.

Grady uśmiechnął się i wcisnął guzik pilota. Piękna twarz Lauren wypełniła ekran. Patrząc na nią, nie mógł oprzeć się refleksji, że choć Lauren jest olśniewająca, nie umywa się jednak do kobiety, która siedziała teraz przy nim. I to nie Lauren ani akcja filmu przykuwały jego uwagę, tylko Karen.

A ona była całkowicie pochłonięta romantyczną komedią. Oczywiście to lśniły radością, to znów zachodziły mgiełką łez, a usta wciąż się uśmiechały.

Kiedy film się skończył, Grady nawet nie potrafił powiedzieć, o co w nim chodziło, mógłby za to bez końca rozprawiać o wszystkim, co dostrzegł na twarzy Karen.

- To było cudowne - odezwała się Karen, rozpromieniona.

- To prawda - przytaknął, chociaż mówili o dwóch różnych sprawach.

To, co się wydarzyło w ciągu ostatniej godziny, było dla niego rewelacją. Wreszcie zobaczył, że Karen potrafi spontanicznie śmiać się i płakać.

Musnął dłonią jej policzek, ocierając resztki łez. Drgnęła, ale się nie odsunęła.

I znowu to on musiał wykazać się rozsądkiem i przerwać w stosownym momencie. Los poddawał go kolejnym próbom, a ich wynik był coraz bardziej niepewny.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że ta piękność na ekranie to moja przyjaciółka - drżącym głosem zauważyła Karen. - Osoba, która wykradała mi ze śniadaniówki słodycze.

- Czy kradła ci też chłopaków? To już byłoby znacznie poważniejsze przestępstwo.

- Nigdy! - z przekonaniem powiedziała Karen. - Mimo plotek, że romansowała ze swoimi ekranowymi partnerami, mimo dwóch głośnych małżeństw i rozwodów ta Lauren, którą znałam, była zawsze bardzo nieśmiała. To my załatwiałyśmy jej po cichu większość randek w liceum. Ale nawet gdyby była jakąś młodocianą femme fatale, nigdy by nie ukradła żadnej z nas chłopaka. Byłoby to wbrew jej zasadom. A ty? - Przeniosła na niego wzrok. - Często łamałeś dziewczynom serca?

- Nie - odparł z powagą. - To mnie pewna dziewczyna skradła serce, a potem je złamała. Nie miałem ochoty powtarzać przykrego doświadczenia. Poza tym, szkoda mi było czasu.

- Odniosłam wrażenie, że ostatnio masz bardzo dużo czasu - zauważyła Karen. - Chyba że traktujesz zajęcia na moim ranczu jako pracę albo część życiowej misji.

Grady zachnął się. Znowu powracał temat braku wiary w jego dobre intencje.

- Jestem tutaj, bo chcę - powiedział, uważnie dobierając słowa. - Potrzebujesz pomocy, a ja ci ją mogę zapewnić.

- I co jeszcze?

- To wszystko. - Wstał i ruszył ku schodom, chociaż niczego bardziej nie pragnął, niż zostać z Karen.

- Grady!

Nie odwrócił się ze strachu przed tym, co mogłoby nastąpić.

- W łazience masz ręczniki, te niebieskie. A twój pokój jest na samej górze, po lewej stronie, tuż przy schodach.

- A twój? - wyrwało mu się mimo woli.

- Na końcu korytarza.

- Postaram się zapamiętać - powiedział, modląc się w duchu, żeby ten korytarz był jak najdłuższy.

ROZDZIAŁ 6

Następnego ranka Karen obudził upojny aromat kawy.

Caleb, pomyślała, jeszcze na wpół senna, a potem nagle przypomniała sobie wszystko i posmutniała.

To nie jej mąż parzy teraz kawę w kuchni, tylko jego największy wróg. Opadła z westchnieniem na poduszki i naciągnęła kołdrę na głowę. Nie tylko dlatego, że było jej zimno, ale również po to, by się ukryć. Żeby udawać przed samą sobą, że tam, za drzwiami, nic się nie zmieniło. Już od dzieciństwa była to jej forma ucieczki przed światem - na przykład wtedy, kiedy nie chciało jej się wychodzić z domu i maszerować do szkoły.

Zmieniło się to, gdy bliżej poznała czwórkę dziewcząt. Od tamtej pory nie miała ochoty się kryć. Każdego ranka biegła ochoczo do szkoły, żeby się przekonać, co napsociła Cassie, albo co też nowego upiekła Gina.

Ale to było dawno temu. Teraz jej życie ogromnie się skomplikowało. Znow miała wiele powodów, żeby się chować, a ten najważniejszy siedział właśnie w jej kuchni.

Skulona pod kołdrą, spróbowała sobie wyobrazić, jak jest na dworze. Słońce już wzeszło - promienie wpadały przez okna, wnosząc ze sobą światło i ciepło. Wiatr ucichł.

Wokół panowała niczym niezmacona cisza, jakby śnieg pochłaniał wszelkie odgłosy.

Gdy do aromatu kawy dołączył zapach smażonego bekonu, Karen nie wytrzymała i wyskoczyła z łóżka. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy po raz ostatni ktoś przygotował jej śniadanie. Należało to zawsze do jej obowiązków, a Caleb w tym czasie obrządzał bydło. O tej porze roku zwykła przygotowywać płatki owsiane z rodzynkami oraz - na życzenie Caleba - jajka na bekonie.

Drżąc z zimna, zaczęła się ubierać. Nałożyła ciepłą bieleźnię i dżinsy, a potem z rozmysłem wybrała jedną z flanelowych koszul męża.

Wyczyściła zęby, obmyła twarz i wyszczotkowała włosy, i wtedy wzrok jej padł na flakonik perfum na toaletce. Rzadko ich używała, ale nagle przyszło jej do głowy, że tego ranka odrobina luksusu nie zaszkodzi. To nie próżność ani chęć przypodobania się Grady'emu. Chodzi tylko o ten zapach bzu - zapowiedź wiosny.

Kiedy włożyła grube skarpety i pościeliła łóżko, nie mogła już dłużej odkładać chwili, w której trzeba będzie zejść na dół i stanąć oko w oko z Gradyem.

Idąc do kuchni, czuła się dziwnie nieswojo, jakby tej nocy doszło między nimi do intymnego zbliżenia i musiała teraz stawić czoło żenującemu porankowi po upojnej nocy. W pewnym sensie było nawet gorzej, bo napięcie między nią a Gradyem wcale nie zniknęło - udawali tylko, że go nie ma.

W drzwiach przystanąła z butami w ręku i zapatrzyła się na Grady'ego, który uwijał się przy piecu. Widok ten ją zaskoczył, bo ani jej ojciec, ani Caleb nigdy nie zniżyliby

się do czegoś takiego jak pomoc w kuchni. Tymczasem Grady podrzucający naleśniki na patelni nic nie stracił w jej oczach ze swojej męskości.

- Chodź! - Odwrócił się z uśmiechem.
- Masz oczy z tyłu głowy? - Weszła do kuchni, odsta-
wiła buty i sięgnęła po kubek. - Nie mogłeś mnie usły-
szyć, bo podłoga ani razu nie zaskrzypiała.
- Ale poczułem zapach bzu, a zważywszy na porę roku
i pogodę, mogłeś to być tylko ty.

Podszedł, żeby nalać jej kawy. Jego spojrzenie wpra-
wiało w zakłopotanie. Grady zachowywał się w jej kuchni
tak swobodnie, jakby to on był panem tego domu, a ona
gościem.

- Wyspałaś się? - zapytał.
- W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko.
- To cię śmieszy? - zdziwił się.
- Skinęła głową.
- Pomyślałam sobie, że nieźle się tu zadomowiłeś. I je-
szcze mnie pytasz, czy dobrze spałam - jak prawdziwy
gospodarz.

Grady roześmiał się.

- Ty mnie za to nie zapytałaś, więc sam ci powiem, że
świetnie mi się spało. Miałem przy tym bardzo ciekawe sny.
- Ach tak?
- Mogę ci opowiedzieć? - zapytał z błyskiem rozba-
wienia w oku.
- Zostawmy to lepiej mojej wyobraźni.
- Jak sobie życzysz. - Grady wzruszył ramionami. -
Szkoda, bo to były ekscytujące sny.
- Grady!

- Dobrze, nie będę się już z tobą droczył. Ile zjesz naleśników?

Spojrzała na patelnię. Naleśniki Grady'ego były dwa razy większe niż te, które ona smażyła.

- Dwa - powiedziała.

- Bekon?

Na talerzu zobaczyła pół tuzina plasterków.

- Też dwa.

- I dwa jajka? - zapytał.

- Nie. Tylko jedno.

- To dobrze, bo już się bałem, że popadłaś w rutynę.

- Bo to prawda - przyznała, mając w pamięci monotonię ostatnich dziesięciu lat. - Ale jedzenie jest akurat najmniej ważne.

Grady nałożył naleśniki i bekon na talerz, po czym usiadł naprzeciw Karen.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Potrzebne ci moje pozwolenie? - Karen uniosła brwi. - Czy to jakieś kłopotliwe pytanie?

- Dość osobiste - przyznał. - Dlatego może nie będziesz chciała o tym rozmawiać. A przynajmniej nie ze mną.

- Proszę, pytaj - powiedziała, zaciekawiona.

- Nigdy nie żałowałaś, że wyszłaś za Caleba? - Widząc błysk gniewu w jej oczach, Grady szybko uniósł rękę.

- Nie, poczekaj. Nie chodzi mi o samego Caleba. Wiem, że go kochałaś. Chciałem raczej zapytać, czy nie żałujesz, że poświęciłaś wszystkie swoje marzenia, by wyjść za farmera?

Tym razem pytanie nie zabrzmiało już tak brutalnie. Karen upiła łyk kawy i zamyśliła się.

- To prawda - przyznała w końcu. - Miałam tyle pięknych planów i ambicji.

- Mówisz o podróżach?

- O podróżach, o przygodach, o edukacji. Nie typu szkolnego, ale takiej, jaką zdobywa się, poznając świat i ludzi. Chciałam poczuć powiew historii w Westminster Abbey, na Trafalgar Square, na schodach Parlamentu w Londynie. Chciałam zwiedzić Colosseum w Rzymie i Watykan. Poznać bliżej malarzy, takich jak van Gogh, Monet i Rembrandt, patrząc na ich obrazy w Luwrze oraz innych sławnych muzeach.

- A jednak zrezygnowałaś z tego wszystkiego, żeby wyjść za Caleba - zauważył Grady.

Spojrzała mu w oczy.

- Tak. Bo to okazało się najważniejsze. A reszta... któregoś dnia na pewno wybralibyśmy się do tych wszystkich miejsc, gdyby nie... - urwała, bo poczuła pod powiekami wzbierające łzy. - Gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

- I nigdy nie miałaś do niego pretensji?

- Nigdy - odparła szczerze. - Dobrze wiedziałam, na co się decyduję. Przecież sama wychowałam się na ranczu. Takie życie nie było mi obce. A zresztą, ma ono także swoje dobre strony. - Spojrzała w stronę okna. Na drzewach iskrzył się świeży śnieg. - Na przykład takie poranki jak ten.

- Zgadzam się z tobą - powiedział cicho Grady, patrząc w okno. Kiedy się odwrócił, miał w oczach błysk. - A wiesz, co najbardziej w nich lubię?

- Co?

- To, że w dzień taki jak dziś masz pełne prawo poleniuchować. Drogi będą jeszcze przez wiele godzin nieprzejezdne. Trzeba tylko zajrzeć do koni, a reszta dnia należy do ciebie.

- A co ty robisz, kiedy leniuchujesz? - zapytała z uśmiechem. W swoim chłopięcym entuzjazmie Caleb wydal się jej bardzo wzruszający.

- To zależy. Kiedy jestem sam, rozpalam ogień na kominku, sięgam po książkę, której nie miałem czasu przeczytać, i rozsiadam się wygodnie w fotelu. Natomiast kiedy ląduję w pułapce z uroczą towarzyszką - spojrzał jej wymownie w oczy - jest jeszcze wiele innych, interesujących możliwości.

Karen odwróciła wzrok i spłonęła rumieńcem.

- Na przykład?

- O nic mnie nie podejrzewaj - roześmiał się Grady.

- Nie zamierzam wykorzystywać sytuacji tylko dlatego, że jesteśmy tu odcięci od świata.

Karen zachichotała. Napięcie prysło.

- Wiesz, że jesteś bezczelny.

- Przynajmniej próbuję. Mówiąc poważnie, jakie są twoje propozycje? Scrabble? Karty?

- Mam całą półkę ciekawych książek.

- Ach, nie! To byłoby dobre, gdybym był sam. Wybierzmy coś, co można robić we dwoje. - Popatrzył jej w oczy. - Znowu masz kosmate myśli?

- Nieprawda! - obruszyła się i ponownie się zarumieniła.

Jak mógł żartować z tego, co rodziło się między nimi? Zresztą, w przeciwieństwie do niej, na pewno miał doświadczenie, jeżeli chodzi o przelotne flirty.

- A co byś powiedziała na... - Grady urwał na moment
- ...układankę?

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Skąd mógł wiedzieć, że miała ich w szafie chyba z tuzin na takie dni jak dzisiejszy? Przecież ani razu o nich nie wspomniała.

- Wiesz, o czy mówię? - zapytał. - Masz jakieś układanki?

- Nawet dosyć dużo - przyznała. - Jesteś pewny, że tego chcesz? Nie będziesz się nudził? - Caleb nigdy nie chciał tego robić. Uważał to za stratę czasu. Był zbyt praktyczny, żeby składać coś tylko po to, by potem znów rozłożyć na kawałki.

Grady mrugnął znacząco.

- Jeszcze tego ze mną nie robiłaś. Posłuchaj, co ty na to? Ja zajrzę do koni, a ty tu sprzątniesz i wybierzesz największą i najtrudniejszą układankę. Wracając ze stajni, wezmę też trochę drewna.

Karen pokiwała głową.

- To już jest jakiś plan - przyznała i już sobie wyobraziła dalszy ciąg tego leniwego poranka.

Grady nieustannie ją zaskakiwał. Po raz kolejny przewidział, czym można sprawić jej przyjemność. Czy to jego niezwykła wrażliwość i intuicja, czy wyrachowanie? Zresztą, jakkolwiek było, przez następne kilka godzin nie będzie to chyba miało aż tak wielkiego znaczenia.

Godzinę później siedzieli przed kominkiem. Mokre drewno strzelało w płomieniach. Karen wybrała dwie układanki: pejzaż z pięciuset kawałków, i drugą, przedstawiającą ławicę tropikalnych ryb, piekielnie trudną, z tysiąca elementów. Wybór pozostawiła Grady'emu.

- Ryby - zdecydował bez wahania, kładąc na stole papier i długopis.

- A to po co?

- Żeby zapisywać punkty.

- Chcesz liczyć punkty?

- Oczywiście. To ma być współzawodnictwo. Odpowiada ci to?

- Absolutnie - odparła, czując, że budzi się w niej sportowy duch. Już kiedyś układała ten obrazek. Znała najtrudniejsze fragmenty i wiedziała, na co należy uważać.

- Co liczymy? Kto ułoży więcej elementów?

- Tak. Mamy na to godzinę.

- Godzinę? - zdumiała się, patrząc na stos kartoników, rozsypanych na stole.

Grady uśmiechnął się.

- Po tym czasie, jeżeli będzie trzeba, dokończymy układankę wspólnie. Zgoda?

- Zgoda - powiedziała, wyciągając rękę.

Grady mocno uściskał jej dłoń, ale uwagę miał już zajęta czym innym. Nim Karen zdążyła się zorientować, dopasował dwa pierwsze fragmenty.

Karen w skupieniu zabrała się za wypełnianie swojej części. Znalazła dwa pasujące kawałki, a potem trzeci. Po kilku minutach prawy górny róg planszy był gotowy.

Uniosła głowę. Grady pracował w skupieniu nad lewym górnym rogami. Wydawał się całkowicie pochłonięty tym zajęciem. Patrząc na niego, zadała sobie pytanie, czy kiedy kocha się z kobietą, robi to z równym zapamiętaniem.

Na myśl o tym spłonęła rumieńcem. Skarciła się w duchu i spróbowała znowu skupić się na układance.

Niestety, było już za późno. Okazało się, że takie myśli zupełnie nie pozwalają się skoncentrować. Nagle wszystkie fragmenty zaczęły wyglądać w jej oczach identycznie. Na próżno próbowała dopasować dwa tak do siebie nie dobrane jak ona i Grady.

Przestań! - powtórzyła w duchu, gdy Grady trącił ją kolannem, a przez nią przebiegł dreszcz. W głowie miała mętlik. Podejrzliwie spojrzała na Grady'ego. Czy naumyślnie ją potrącił? Czy próbował rozproszyć jej uwagę? Czy to rewanż za wczorajszy popcorn? Nawet jeśli tak, nie dał tego po sobie poznać. Był skupiony, właściwie jej nie zauważał i sprawnie układał swoją część.

Pomyślała, że za wszelką cenę musi go powstrzymać. Znalazła pod stołem jego nogę i zaczęła wolno przesuwać stopą w górę po łydce. Na usprawiedliwienie powiedziała sobie, że to wojna, a na wojnie, tak jak w miłości, wszystkie chwytaki są dozwolone. Wbiła przy tym wzrok w obrazek, udając, że nie ma pojęcia, co dzieje się pod stołem. Kiedy Grady podskoczył, jakby dźgnęła go rozpalonym pogrzebaczem, uśmiechnęła się z satysfakcją i szybko dołożyła kilka fragmentów. Zarys prawej strony był już gotowy!

Kiedy Grady wyciągnął rękę, sięgnęła jednocześnie po ten sam element i niby niechcący nakryła dłonią jego dłoń.

- Och, przepraszam - powiedziała z niewinną minką, a on szybko cofnął rękę.

- Co ty kombinujesz? - Grady spojrzał na nią, mrużąc oczy,

- Ja? -. zdumiała się Karen. - Wydawało mi się, że brakuje mi tego fragmentu.

- Naprawdę? - zapytał podejrzliwie. - A gdzie chciałaś go umieścić? Możesz mi pokazać?

Karen spróbowała ułożyć go w dolnym rogu, ale oczywiście nie pasował.

- Pomyliłam się - powiedziała, wzruszając ramionami i oddała Grady'emu brakujący kawałek.

- Jesteś niebezpieczną kobietą. Wiesz o tym, prawda?

Żaden mężczyzna nie nazwał jej nigdy niebezpieczną, dopiero Grady, i Karen nawet się to spodobało.

- Zapamiętam to sobie - odparła i nie podejmując tego wątku, zabrała się za układankę.

Grady oczywiście nie zamierzał się poddać. Czując na sobie jego przenikliwy wzrok, Karen podniosła głowę.

- Chyba raczej powinieneś skupić się na tym, co robimy - zauważyła.

- Ale ty jesteś znacznie bardziej fascynująca.

Prawdę mówiąc, on także był bardziej intrygujący niż układanka, ale Karen nie zamierzała mu tego powiedzieć. Zaczepki, którymi próbowała odwrócić jego uwagę, obróciły się przeciwko niej. Nagle zaczęła patrzeć na niego jak na mężczyznę z krwi i kości, a nie tylko jak na przeciwnika. Co więcej, zaczęła widzieć go w lepszym świetle. Zdumiało ją to odkrycie.

Kiedy dotarło do niej, że Grady ponownie skupił się na układance, że w ciągu tych kilku minut jej nieuwagi zdążył ułożyć kolejny duży fragment, zrozumiała, iż popełniła błąd. Dostała nauczkę i musi na przyszłość o tym pamiętać.

Spojrzała na ścienny zegar. Do końca zostało im jeszcze tylko piętnaście minut, a Grady zdążył ją znacznie wyprzedzić. Pomyślała, że nie może dopuścić do jego wygra-

nej. Ani teraz, ani nigdy. Gra toczy się przecież o znacznie wyższą stawkę.

Znów wzięła się za układanie, maksymalnie skupiona, a w duchu przysięgła sobie, że to się już nigdy nie powtórzy. Wprawdzie tym razem to tylko zabawa, ale Grady, jak w każdym innym przypadku, wyznawał zasadę, że zwycięzca zgarnia całą pulę. Musi p tym pamiętać, bo następnym razem może przegrać coś więcej niż tylko batalię o pierwszeństwo w dziecinnej zabawie.

Grady nigdy by nie podejrzewał, że układanka tak go wciągnie. Wprawdzie uważał współzawodnictwo za mobilizujące, ale przecież nie podniecające. Czyli musiało to mieć coś wspólnego z jego przeciwniczką.

Popatrzył na Karen. Zarumieniona, była pochłonięta układaniem. Przekonał się, że jest groźnym i przebiegłym przeciwnikiem - znacznie bardziej niebezpiecznym, niż mógł przypuszczać. A najbardziej zaskoczyła go swoim prowokacyjnym zachowaniem, obliczonym na to, żeby go rozproszyć. Musiał przyznać, że osiągnęła cel.

Udało jej się nie tylko odwrócić jego uwagę od układanki, ale i sprawić, że skupił się na zgłębianiu zagadki, która siedziała naprzeciw niego. Nagle uświadomił sobie, że w ciągu minionego tygodnia ani o krok nie przybliżył się do celu, jakim miało być bliższe poznanie Karen. Problem był zbyt złożony; nazbyt wieloznaczny.

Lojalność względem zmarłego męża ścierała się w niej z poczuciem przyzwoitości. Marzenia zderzały z brutalną prozą życia. Zdażył się zorientować, że Karen jest stanowcza i uparta, a zarazem wrażliwa i delikatna. Jej oczy po-

trafiły miotać błyskawice, a zaraz potem płonąć pożądaniem, wzniecając i w nim podobny żar.

Między nimi działo się coś dziwnego. Coś, czego Grady nie był w stanie pojąć. Nie potrafił przewidzieć, dokąd mogło to ich zaprowadzić, i nie śmiał wyciągać wniosków, z obawy, by jednym fałszywym krokiem wszystkiego nie zaprzepaścić.

Przenikliwy dźwięk telefonu przerwał ciszę. Karen drgnęła, jakby załęczniona. Rumieniec wypłynął jej na policzki. Czy to poczucie winy, że zgodziła się spędzić z Gradyem ten dzień?

Po minucie otrząsnęła się i poszła do kuchni, żeby odebrać. Grady usłyszał, jak się z kimś wita, ale potem ściszyła głos tak, że nie udało mu się już niczego więcej wyłowić.

Korzystając z okazji, szybko dołożył tuzin kawałków na swojej części planszy. Przyjrzał się swojemu dziełu i uznał, że wygraną ma już w kieszeni.

Kiedy Karen wróciła, była wyraźnie zdenerwowana i zmieszana.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Skinęła głową, jednak minę wciąż miała nietęgą. Podeszła do stołu, ale nie usiadła.

- Nie wierzę ci - powiedział Grady. - Kto to był?

- To tylko Gina. Chciała sprawdzić, jak sobie radzę po tej śnieżycy.

- I co jeszcze? - zapytał i napotkał zatroskane spojrzenie błękitnych oczu.

- Słyszała, że tu jesteś.

- Niby od kogo?

- Ktoś z sąsiadów widział cię wczoraj, jak tu jechałeś.

Zapytał Hanka, a Hank kazał mu pilnować swojego nosa. Za to Dooley nie był aż tak dyskretny.

- Czy nie za dużo zamieszania wokół tego, że ktoś był u ciebie z wizytą? - Grady był autentycznie zły.

- Nie ktoś - przypomniała mu - tylko ty.

- No to co?

- Wiesz, jak się poczują Hansonowie, kiedy się o tym dowiedzą. Gdy i tak pewnie otrzymali liczne telefony z wiadomością, że mi pomagasz. Gdy usłyszą, że spędziłeś tu noc, nigdy mi tego nie darują.

Grady chciał wziąć Karen za rękę, ale mu się wyrwała.

- Przecież tej nocy nic między nami nie zaszło.

- Wiem, ale ludzie mogą pomyśleć inaczej. Liczą się pozory, a najważniejsze są plotki.

- Naprawdę?

- Jeżeli chodzi o rodziców Caleba, tak.

- Ich opinia ma dla ciebie aż takie znaczenie?

- Oczywiście że tak. To był kiedyś ich dom. Mam pewne zobowiązania...

- Przede wszystkim masz zobowiązania względem siebie - przerwał jej z naciskiem.

Karen potrząsnęła głową.

- Mylisz się. Człowiek nie żyje tylko dla siebie. Trzeba zawsze brać pod uwagę również i to, jaki wpływ twoje postępowanie będzie miało na bliskich. - Popatrzyła na niego uważnie. - Czy ty sam tak nie postępujesz?

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparł zdezorientowany.

- Jak to, nie wiesz? Przecież sam mi mówiłeś, że chcesz kupić to ranczo ze względu na dziadka, a nie dla siebie. Uważasz, że masz zobowiązania wobec człowieka,

którego kochasz i podziwiasz, a także wobec twoich przodków, choć ich nawet nie znałeś.

Trafność jej spostrzeżenia sprawiła, że Grady zamilkł na moment.

- Masz rację - przyznał po chwili.

- Czyli ty masz swoje zobowiązania, a ja swoje. Nie chcę sprawić Hansonom przykrości.

- Chcesz powiedzieć, że wiadomość o mojej wizycie u ciebie sprawi im przykrość?

W odpowiedzi pokiwała głową.

Miała tak nieszczęśliwą minę, że Grady podniósł się od stołu i powiedział:

- Myślę, że droga została już odśnieżona. Będę się zbierał. - Spojrzał jej w oczy. - Jeśli sobie tego życzysz.

- Jedź już, proszę - odrzekła bez przekonania.

Nie na taką odpowiedź liczył, ale skoro Karen tak sobie życzy, będzie musiał odjechać, ale nie bez pożegnania. Zrobił krok w jej stronę i obwiodł palcem jej policzek, a potem usta. Były tak ciepłe i miękkie, jak przypuszczał - i drżały pod jego dotykiem.

- Nie przejmuj się, Karen. Wszystko jest w porządku - powiedział cicho.

- Właśnie że nie - zaprzeczyła. - Nie powinnam cię stąd wyrzucać. A jeżeli coś ci się stanie... ?

- Nie obawiaj się, dam sobie radę. Zadzwoń, jak tylko dojadę do domu. - Uśmiechnął się z przymusem. - Chociaż pewnie wolałybyś usłyszeć, że wpadłem do rowu.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Jak możesz tak mówić?

- Jestem dla ciebie jak ten gwóźdź w bucie, prawda?

- Prawda - przyznała, a potem z westchnieniem dodała - ale zaczynam się do tego przyzwyczajać.

Grady uznał to za kolejne małe zwycięstwo. Pomyślał, że będzie się miał czym cieszyć podczas długiej i uciążliwej jazdy do domu.

Scandalous

ROZDZIAŁ 7

Przez następne dwa tygodnie Grady nie dał znaku życia. Zamiast się z tego cieszyć, Karen coraz częściej przyłapywała się na tym, że mimowolnie spogląda na drogę.

Wprawdzie wiedziała, że dotarł bezpiecznie do domu, ale to nie on zatelefonował, tylko jego gosposia. Wyglądało na to, że Grady zrozumiał jej racje, a nawet posunął się o krok dalej, i zdecydował się zerwać kontakty. Uczucie zawodu, jakiego doznała po jego odjeździe, rosło z każdym dniem. A wszystkiemu winne były skrupuły, które kazały jej odesłać Grady'ego do domu po telefonie od Giny.

Któregoś dnia Karen wybrała się do Winding River na spaghetti.

- Marnie wyglądasz - powitała ją Gina, która zgodziła się przez jakiś czas popracować w miejscowej restauracji, żeby kucharz mógł wreszcie zabrać żonę na wymarzoną wycieczkę do Włoch.

- Miło mi to słyszeć - westchnęła Karen. - Chyba powinnam była zostać w domu. Myślę, że potrafię ugotować makaron nie gorzej od ciebie.

- Akurat! - obruszyła się Gina.

- Załóż się.
- Ale twój makaron jest kupny, a nie domowej roboty.
- Dlatego tu jestem, ale wątpię, żebym zauważyła różnicę.

- Wobec tego wróćmy do punktu wyjścia - zaproponowała Gina, rozsiadając się naprzeciwko. - Nie ma dziś wielkiego ruchu, więc możemy chwilę pogadać. Co słysząc?

- Nic - odparła Karen zgodnie z prawdą. W jej życiu nadal niewiele się działo. Wciąż ta sama samotność i harówka ponad siły. Dzięki Grady'emu wprawdzie zyskała kilka chwil wytchnienia, ale za cenę przygnębienia, które jej teraz nie odstępowało ani chwilę.

- Posłuchaj, rozmawiasz ze mną, a nie z twoimi wścibskimi teściami - nie ustępowała Gina. - Bądź ze mną szczerą. Chodzi o Grady'ego Blackhawka, prawda?

Karen zachnęła się.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- To tylko sugestia. Bywał u ciebie codziennie aż do momentu, kiedy ci powiedziałam, że całe miasto huczy od plotek po nocnej śnieżycy. Czy on cię nadal odwiedza?

- Nie.

- Pokłóciliście się?

- Niezupełnie.

Gina spojrzała na nią z rozpaczą.

- Z ciebie równie trudno cokolwiek wydusić jak z CIA.

Karen uśmiechnęła się mimo woli.

- Przepraszam. Nie robię tego złośliwie. Po prostu nie wiem, co powiedzieć. Po twoim telefonie powtórzyłam mu to, co mówiłaś, i powiedziałam, że będzie lepiej, jeśli pojedzie do domu. A on okazał zrozumienie.

- I już więcej się nie pokazał - domyśliła się Gina.
- Może chociaż zadzwonił?
 - Też nie.
 - Więc to cię gryzie. - Gina ze zrozumieniem pokiwała głową. - Zaczynałaś mu wierzyć, prawda? Może go nawet trochę polubiłaś? Czy te wasze spotkania nabrały dla ciebie znaczenia?

Karen poczuła się w obowiązku zaprzeczyć, chociaż Gina trafiła w sedno.

- To był jeden wielki kłopot, od początku do końca
- oceniła - i nadal nic się w tym względzie nie zmieniło.
 - Tyle tylko, że nagle uświadomiłaś sobie, że ten kłopot to fantastyczny, seksowny facet - powiedziała Gina.
 - No tak - przyznała z westchnieniem Karen.
 - I może nawet miałabyś ochotę poznać go bliżej - ciągnęła Gina. - Gdyby nie te wszystkie przeszkody...
 -które naprawdę istnieją — dokończyła Karen, zgnębiona. - Całeb, jego rodzice, ranczo. Jak mogę o tym zapomnieć tylko dlatego, że poczułam się samotna, a Grady, chociaż na trochę, wypełnił pustkę w moim życiu?

Gina podniosła się od stolika.

- Przyniosę ci kieliszek wina. Nie, lepiej butelkę.
- Karen spojrzała na nią z przerażeniem.
- Nie mogę pić. Muszę przecież wrócić na ranczo.
 - Nie, wcale nie musisz. Napijesz się, zostawisz tu samochód i przenocujesz u mnie. To tylko kilka minut na piechotę. - Nim Karen zdążyła zaprotestować, Gina już szła w stronę baru.

Kiedy wróciła, przyjaciółka przyjrzała jej się uważnie, a potem zapytała:

- Odkąd to masz mieszkanie w Winding River?
- Bystra jesteś. Odkąd obiecałam Tony'emu, że go zastąpię. A ponieważ nie chciałam zwalić się rodzicom na głowę, wynajęłam mieszkanie.

- Na jak długo?

Gina wzruszyła ramionami.

- To się jeszcze okaże - odparła, a wzrok jej powędrował w stronę stolika pod oknem. Mężczyzna, który kręcił się koło niej od szkolnego zjazdu, siedział tam nad stosem papierów, z pustym kieliszkiem. Zupełnie jakby otworzył tu swoje biuro.

- Może mi wreszcie powiesz, kto to jest i co się tu dzieje? - Karen obrzuciła przyjaciółkę zatroskanym spojrzeniem.

- Nie - odrzekła zdecydowanie Gina.

- Czy on chodzi za tobą? - zaniepokoiła się Karen.

- Nie tak jak myślisz. Napij się, a ja przyniosę ci kolację. Zapomnijmy o spaghetti. Przyrządzę coś specjalnego. Będzie ci się zdawało, że jesteś w Rzymie.

W drodze do kuchni Gina przystanąła przy stoliku nieznanego, żeby dolać mu wina. Omijała go jednak wzrokiem, udając że nie usłyszała, co do niej mówił.

To ciekawe, pomyślała Karen, i dość niepokojące. Nigdy dotąd nie widziała, żeby Gina zachowywała się tak powściągliwie. Radosna energia, która ją rozsadzała, oraz znajomość włoskiej kuchni sprawiły, że jej restauracja w Nowym Jorku cieszyła się dużym powodzeniem. Teraz jednak nie widać było po niej entuzjazmu - przynajmniej w stosunku do tajemniczego nieznanego.

Przez te wszystkie miesiące, jakie upłynęły od zjazdu,

Gina ani razu nie wspomniała o swoim nowojorskim lokalu, ani o tym, kto go prowadził w jej zastępstwie. Wszelkie pytania na ten temat zbywała milczeniem albo dawała wymijające odpowiedzi. Było to takie niepodobne do dawnej, szczerzej i otwartej Giny.

Kolejna zagadka, pomyślała Karen z westchnieniem. Ostatnimi czasy jej życie obfitowało w zagadki, a Grady był największą z nich. Czy poczuł się dotknięty, kiedy go odprawiła? A może się po prostu poddał? Choć brzmiało to mało prawdopodobnie, było jednak możliwe.

A może musiał nagle wyjechać? Wiedziała, że oprócz rancza prowadził jakieś interesy. Może musiał pojechać do Cheyenne albo Denver, albo jeszcze gdzie indziej? Może to jego zniknięcie nie miało nic wspólnego z jej osobą?

Westchnęła ciężko. Najbardziej martwiła ją jej własna reakcja na to, co się działo. Wstyd się przyznać, ale tęskniła za Gradym. Gina trafnie odgadła, że przywykła do jego towarzystwa, chociaż czasami bywał irytujący.

- Było, minęło - mruknęła. To i lepiej, że udało jej się zerwać w porę tę znajomość.

- Nad czym tak dumasz? - rozległ się za jej plecami znajomy męski głos.

Karen odwróciła się i ujrzała mężczyznę, o którym rozmyślała. Ręka jej zadrżała. Wino rozlało się na stolik.

- Gdzie się podziewałeś? - wyrwało jej się.

- Cieszę się, że za mną tęskniłeś - roześmiał się Grady.

- Jak wszyscy diabli - prychnęła.

Grady dosiadł się do stolika i dopiero wtedy zauważył drugi kieliszek.

- Masz randkę?
 - Nie, jestem tu sama.
 - To dobrze. Wobec tego dotrzymam ci towarzystwa
- orzekł i upił łyk wina z kieliszka, który Gina przyniosła dla siebie.

Karen gniewnie zmarszczyła brwi, choć w głębi duszy chciała, żeby został.

- Zjawiłeś się tu nie wiadomo skąd i od razu chcesz się wprosić na kolację. Tak nie można.

- Czemu nie?

- Bonie.

- Bo ludzie znowu będą gadać? - zapytał znaczącym tonem.

- To też - przyznała.

- I co jeszcze?

- Może nie mam ochoty jeść z tobą kolacji.

- Może? - zakpił Grady. - Daj mi znać, kiedy się zdecydujesz, i wtedy pogadamy. A zanim to nastąpi, będę tu siedział, popijał wino i podziwiał piękną kobietę siedzącą naprzeciw mnie przy stoliku.

- Nie chcę, żebyś tu był - powiedziała z naciskiem.

- Doskonale wiesz, dlaczego to zły pomysł.

Grady przyjrzał się jej uważnie, a potem potrząsnął głową.

- Chcesz, żebym został, ale czujesz się w obowiązku zaprzeczać. A przecież wiem, że masz dostatecznie dużo siły, by stawić czoło plotkom.

- Jeżeli tak uważasz, to czemu wyjechałeś, kiedy cię o to poprosiłam?

- Bo widziałem, że moja obecność cię krępuje, a poza

tym miałem ochotę całować cię tak, żebyś zapomniała o wyrzutach sumienia.

- A teraz?

- Wybrałaś się do restauracji, a ja akurat przejeżdżałem obok. To się nazywa zrządenie losu. - Uśmiechnął się i spojrzał na menu. - Co zamówiłaś?

Znała go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że wszelkie dyskusje są bezcelowe. Dlatego się poddała. Poza tym, naprawdę ucieszyła się na jego widok. Co za ulga dowiedzieć się, że nie jest na nią zły. Zrobiło jej się lekko na duszy.

- Nie mam pojęcia, co będę jadła.

- Nic nie zamówiłaś?

- Gina mi nie pozwoliła. Postanowiła przyrządzić coś specjalnego.

Grady pokiwał głową.

- Może powiniennem zajrzeć do kuchni i upewnić się, czy wystarczy dla dwojga.

Kiedy szedł przez salę, Karen patrzyła za nim, a jej puls bił szybciej niż zwykle. To niedobrze, pomyślała, a nawet bardzo źle.

Po chwili Grady wyłonił się z kuchni. Gina szła o krok za nim. Podeszli do stolika.

- Co ty na to, Karen? - Gina była oburzona.

- On nie chce stąd iść - powiedziała z rezygnacją Karen. - Chyba będę musiała się z tym pogodzić.

- Chcesz, to go wyrzucę - zaproponowała Gina.

- Ty i kto jeszcze? - roześmiał się Grady, obrzucając spojrzeniem jej drobną postać.

Gina zerknęła na nieznajomego pod oknem.

- W razie czego potrafię sobie załatwić pomoc - oznajmiła buńczucznie.

- Nie ma potrzeby - zapewniła ją Karen. - Grady będzie grzeczny. - Spojrzała na niego. - Prawda?

- Będę grzeczny jak anioł. - Grady mrugnął znacząco. - Poza tym, daję hojne napiwki.

- Liczę na to - powiedziała Gina.

Po jej odejściu Grady spojrzał na Karen.

- Ona najwyraźniej uważa, że musi się tobą opiekować.

- Jak już chyba zdążyłeś zauważyć, jest nas piątka. Przyjaźnimy się od zawsze. Nie ma takiej rzeczy, której byśmy nie zrobiły, jeśli jedna z nas jest w potrzebie.

- I to są te twoje przyjaciółki, które postanowiły zafundować ci wakacje?

- Tak, niektóre z nich.

- Miło mieć przyjaciół, na których można polegać.

- A ty nie masz? - zapytała, mrużąc oczy.

- Mam znajomych - powiedział bez żalu. - Mam też dziadka. To mi dotąd wystarczało.

- Wystarczało ci? - zapytała. - A teraz już nie?

Grady spojrzał jej w oczy.

- Nie - odrzekł cicho. - Już nie.

W Karen jakby coś pękło. To runął ostatni z murów, jakie wzniosła wokół siebie. A co najdziwniejsze, ani trochę tego nie żałowała.

Karen od dawna spodziewała się - i obawiała - tego telefonu. A jednak, kiedy następnego ranka usłyszała głos Anny Hanson w słuchawce, poczuła się nieswojo. Tym

bardziej że stał obok niej Grady, który zjawił się pięć minut wcześniej.

- Halo! Anna? - zaczęła z fałszywym entuzjazmem.
- Miło cię usłyszeć.
- Czyżby? - Kwaśny ton teściowej jednoznacznie świadczył o tym, że ma Karen dużo do powiedzenia.

Z niewyjaśnionych przyczyn Anna Hanson nie zaakceptowała synowej. Może zresztą nie spodobałaby jej się żadna wybranka jej ukochanego jedynaka.

Kiedy Caleb zmarł, Anna dała Karen do zrozumienia, że w pewnym stopniu obarcza ją winą za jego śmierć. Gdyby wiedziała, że Karen sama to sobie wyrzuca, cisnęłaby jej pewnie to oskarżenie w twarz przy pierwszej okazji. A i bez tego od pogrzebu narastało między nimi napięcie. Anna dzwoniła tylko wtedy, kiedy chciała sprawdzić, co dzieje się na ranczu, natomiast to, jak Karen znosi żałobę, wcale jej nie obchodziło.

- Naprawdę bardzo się cieszę - oznajmiła Karen, robiąc miiii do Grady'ego, który domyślnie wzniosł oczy do nieba. - Co słyszać w Arizonie? Jak się czuje Carl?

- Czułby się znacznie lepiej, gdyby nie pewne telefony.
- Anna nie miała zwyczaju owijać w bawełnę.

Karen westchnęła w duchu.

- Jakie znów telefony?
- Że zadajesz się z tym okropnym Gradym Blackhawkiem.

- Co takiego? - Gdyby nie ostrzeżenia Giny, Karen byłaby pewnie zaskoczona, teraz jednak zdziwiło ją już tylko to, że plotki tak późno dotarły do teściów.

- Kiedy usłyszałam to po raz pierwszy, nie chciałam

uwierzyć - ciągnęła Anna. - Dziś od rana już trzy osoby telefonowały. Całe hrabstwo wie, że on codziennie przesiaduje u ciebie na ranczu. Już samo to jest naganne. Ale tamta noc, to już szczyt wszystkiego! Może jeszcze spałaś z nim w łóżku mojego syna?

Karen dbała o dobre stosunki z teściową ze względu na Caleba. Skoro przyjaźń okazała się niemożliwa, starała się przynajmniej unikać konfliktów. Caleba już nie było na tym świecie, więc nie musiała już dłużej niczego udawać.

- Jak śmiesz! - rzuciła.

Tłumiony latami gniew znalazł wreszcie ujście. Grady przysunął się bliżej i położył jej rękę na ramieniu. Zadrżała, ale się nie cofnęła.

- Kochałam twój syna - powiedziała z naciskiem.

- Nigdy nie dałam najmniejszych powodów, żeby ktoś mógł podawać w wątpliwość moją miłość i lojalność. Na pewno nie zrobiłabym niczego, co uwłaczałoby jego pamięci.

- No to dlaczego ten człowiek codziennie u ciebie przesiaduje? Czemu spędził noc na ranczu? Jak mogłaś pokazać się z nim publicznie wczorajszego wieczoru? Żeby wszyscy mogli zobaczyć, jak z nim flirtujesz?

Co można odpowiedzieć na takie zarzuty?

- Nocował na ranczu, bo zaskoczyła go śnieżycyca. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nic nas nie łączy.

- Skoro tak twierdzisz - powiedziała Anna sceptycznym tonem. - W takim razie co robi na ranczu?

- On mi pomaga.

- Nie potrzebujesz pomocy od ludzi pokroju Grady'e-

go Blackhawk. Chyba że masz już dość pracy na ranchu i chcesz się go pozbyć?

Karen zacisnęła zęby. Kolejny wybuch gniewu niczego by nie rozwiązał.

- Jeżeli macie ochotę wrócić tu z Carlem i zająć się ranchem, z chęcią je wam odsprzedam - powiedziała, żeby przypomnieć teściowej, iż wraz z Calebem zaciągnęli hipoteczny dług, by umożliwić im przejście na emeryturę. Wysokość pożyczki stała się przyczyną zapaści finansowej, ale Caleb nie chciał nawet słyszeć o zmniejszeniu tej sumy, gdyż uważał, że rodzicom należy się godna odprawa.

- No cóż - zrejterowała Anna - lepiej poproszę Carla. Może jego argumenty prędzej do ciebie trafią.

Karen znacznie lepiej rozumiała się z teściem. Carl, podobnie jak jego syn, był serdecznym, pracowitym człowiekiem. Gdyby to od niego zależało, zostałby jeszcze przez jakiś czas na ranchu po pogrzebie Caleba, żeby pomóc synowej. Jednak Anna nalegała na szybki powrót do Arizony, bo tam prowadziła bogate życie towarzyskie.

- Nie przejmuj się Anną - powiedział, jak tylko przejął słuchawkę. - Ona bardzo przeżyła śmierć Caleba. Połowy z tego, co mówi, nie można traktować poważnie.

- Zostaje jeszcze druga połowa - zauważyła Karen z goryczą. - A ja nigdy nie wiem, której połowy mam słuchać.

- Żadnej, gdybyś mnie pytała o radę. Jak sobie radzisz, Karen? Czy Hank i Dooley wystarczająco ci pomagają?

- Jakoś sobie radzimy.

- A co z tym Blackhawkiem? Czy to prawda, że kręci się koło ciebie?

Karen z westchnieniem spojrzała na Grady'ego.

- On chce kupić ranczo. Złożył mi bardzo korzystną ofertę.

Miała nadzieję, że Carl będzie ją zachęcał do sprzedaży. Z jego błogosławieństwem łatwiej by jej było podjąć decyzję. Mogłaby nareszcie uciec od tego rancza, od Grady'ego, a także od dręczących ją wspomnień - i to zarówno dobrych, jak i złych.

- Nie chcę, żeby ta ziemia dostała się w ręce Blackhawków - kategorycznym tonem oświadczył Carl. - Jeżeli uznasz, że masz dosyć harówki, zrozumiem. Nikt nie wie lepiej niż ja, ile trudu kosztuje utrzymanie takiego małego rancza. Dlatego możesz je sprzedać każdemu, byle nie Blackhawkowi. To jedno mi obiecaj. Z jakiej racji ten człowiek miałby zostać nagrodzony za wszystkie krzywdy, jakich latami doznawaliśmy od niego i jego rodziny?

Na to pytanie Karen nie miała odpowiedzi. Wprawdzie Grady ciężko nad tym pracował, żeby zmieniła o nim zdanie, nie zdołał jednak, jak dotąd, dostarczyć jej dowodów na to, że nie miał nic wspólnego z nieszczęściami, które ich dotknęły. Ktoś przecież zaraził stado i podpalił pastwiska. Jeżeli nie Grady, to kto? Póki się tego nie dowie, będzie słuchać Carla i nie sprzeda Grady'emu rancza.

- Niczego nie zrobię bez konsultacji z tobą - przyrzekła teściowi.

- To dobrze. Dbaj o siebie, Karen. Nie chcę, żebyś się w tak młodym wieku zaharowała z powodu źle pojętej lojalności. Słyszysz, co mówię? Kiedy poczujesz, że masz

dość i zapragniesz zmienić swoje życie, nie wahaj się. Kocham tę ziemię, ale w końcu to tylko ziemia. Nie warto za nią umierać, jak to zrobił Caleb.

- Kocham cię - powiedziała Karen ze łzami w oczach.

- Ja też cię kocham. Byłaś dobrą żoną dla mojego chłopca i zawsze będę ci za to wdzięczny.

Karen powoli odłożyła słuchawkę. Nie śmiała nawet spojrzeć na Grady'ego.

- Hansonowie, prawda? - zapytał ze złośliwym uśmiechem. - Czy udało im się przywieść cię do opamiętania?

- Nie będziemy o tym rozmawiać - uznała, sięgając po kurtkę. - Mam masę roboty.

- Gdzie idziesz? - zapytał, kiedy go mijała.

- Do stajni. Nie mam czasu na zabawę.

- Więc tak myślisz? - Grady chwycił ją za rękę. - Że się tu bawisz?

Spojrzała mu w oczy.

- A nie jest tak? Masz przecież mnóstwo ludzi na ranchu, którzy dla ciebie pracują. A ja nie. Jeżeli jest coś do zrobienia, nikt mnie nie wyręczy.

Wyrwała mu się i wybiegła na dwór, zalana łzami. Ruszyła prosto do stajni i przytuliła się do Imbira, jakby szukała u niego pociechy.

Kiedy się wreszcie uspokoiła, zaczęła szcztokować konia, w nagrodę za jego cierpliwość. Jej pewne, rytmiczne ruchy dawały im obojgu ukojenie. W końcu opanowała się na tyle, by móc zastanowić się nad tym, co się stało. Nie chodziło tylko o telefon od teściów, ale również o to, co zaszło w kuchni.

Za przykrości doznane od Anny odegrała się na Gra-

dym. Uznała, że zasłużył, bo to on był przyczyną ataku teściowej. Jednak prawda wyglądała tak, że Anna trafiła ją w czuły punkt, budząc uśpione poczucie winy. Grady nie był niczemu winien.

Należą mu się przeprosiny. Przecież sama zgodziła się na jego wizyty, chociaż wiedziała, że ludzie będą gadać, a plotki prędzej czy później dotrą do teściów. Wiedziała też, że przyjdzie jej za to zapłacić.

Jakie znaczenie miała jeszcze jedna kłótnia, jeszcze jedno kazanie z ust osoby, która nawet za życia Caleba była nastawiona do niej bardzo krytycznie?

Kiedy weszła domu, Grady rozmawiał przez telefon.

- To już za długo trwa. Masz się za to zabrać jeszcze dzisiaj, rozumiesz?

Serce podeszło jej do gardła. A więc Grady'emu znudziło się już czekanie. Czy to znaczy, że będzie teraz próbował wymusić na niej decyzję?

Zatrzasnęła drzwi i stanęła przed nim, wzburzona.

- O co chodzi?! - zapytała podniesionym tonem, a puls bił jej jak oszalały. - Co teraz knujesz? - Wyraszkoczenia na jego twarzy odczytała jako dowód zdrady. - Nie dostaniesz tego rancza! - Dźgnęła go palcem w pierś, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz, aż Izy pociekły jej po policzkach.. - Nie dostaniesz go! Nigdy na to nie pozwolę! - Zaczęła go okładać pięściami

Grady poczekał, aż Karen się opanuje, a potem przygarbił ją, mrużąc do ucha jakieś bezsensowne słowa. Po chwili rozluźniła się i przytuliła do jego piersi. Całym ciałem czuła teraz jego bliskość, uścisk ramion, oddech muskający policzek.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - powiedział. - Nie dzwoniłem w sprawie rancza, przysięgam. Rozmowa dotyczyła czegoś zupełnie innego.

Bardzo chciała mu ufać, wierzyć, że źle go zrozumiała, ale czy miała do tego podstawy? Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. To, co w nich dostrzegła, wstrząsnęło nią bardziej niż jego domniemana zdrada. Grady jej pożałował.

A on delikatnie otarł jej łzy z policzka, a potem palcem obwiodł usta.

Karen zastygła w oczekiwaniu, niepewna jego zamiarów, Powietrze wokół nich wydało się iskrzyć od napięcia. Nagle usta Grady'ego znalazły się na jej wargach. Pocałunek, jaki potem nastąpił, był ucieleśnieniem jej marzeń. Był czystą pokusą i po prostu ściał ją z nóg.

Na domiar wszystkiego to właśnie Grady skradł jej ten pocałunek.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy Grady pocałował Karen po raz pierwszy, była oburzona. Jak mogła do tego dopuścić?! Czemu go nie powstrzymała? Nie dała mu w twarz? Nie pokazała drzwi?

Przelotne muśnięcie warg dałoby się jeszcze wytłumaczyć jako drobnostka niewarta protestów, ale to było coś więcej. Ten pocałunek ciągnął się bez końca. Miała wystarczająco dużo czasu, żeby się opamiętać i zaprotestować, tymczasem ona po prostu się poddała.

Kiedy się cofnęła, na wargach wciąż czuła smak jego ust i ich dotyk. Zrobiła krok do tyłu, potem drugi, drżąc na całym ciele.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała, napierając plecami na szafkę, żeby - poniewczasie - maksymalnie zwiększyć dzielący ich dystans.

- Bo od zawsze na to czekałem - odparł bez cienia skruchy. Szczerze mówiąc, wyglądał, jakby chciał ją znowu pocałować.

A ona, nieszczęsna istota, także tego chciała. Krew tętniła jej głucho w skroniach, bolały ją piersi. Jeszcze moment, a nie zdoła oprzeć się pokusie, by objąć go i się przytulić.

Niestety, nie było już czasu na powtórkę argumentów

przeciw. Zamiast tego policzyła po cichu do dziesięciu, jakby to mogło ostudzić jej zmysły.

Słyszając śmiech Grady'ego, uniosła wzrok i dostrzegła w jego oczach błysk rozbawienia.

- O co chodzi? - zapytała.

- To próżny trud - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Nie zamierzam stąd odejść, mam za to zamiar znowu cię pocałować. Uczciwie cię ostrzegam. Żebyś potem nie mówiła, że wzięłem cię przez zaskoczenie.

Ostrzeżenie zostało przyjęte. Pozostało już tylko czekać.

- Kiedy? - zapytała z nadzieją, że da jej trochę czasu, by mogła się przygotować i zapanować nad uczuciami, których nie chciała ani się nie spodziewała.

Grady spojrział na nią z ukosa, a potem z powagą odparł:

- Chyba już teraz.

Zachłysnęła się, gdy zawładnął jej ustami. Ale i tym razem nie pozostała bierna, tylko oddała Grady'emu pocałunek. Wszelkie protesty i zaprzeczenia mijały się z celem, bo podobnie jak Grady, dała się ponieść namiętności.

W głowie jej się kręciło, puls bił jak oszalały. Ogarnęło ją gorąco, czuła, że cała płonie. Nigdy by nie przypuszczała, że jeszcze kiedykolwiek będzie zdolna do takiej namiętności. W dodatku za sprawą Grady'ego Blackhawk! Właściwie to oburzające, że dobrowolnie znalazła się w ramionach wroga. Choć, prawdę mówiąc, coraz trudniej przychodziło jej myśleć o nim w tych kategoriach.

Po chwili wyswobodziła się z uścisku i cofnęła. Nogi miała jak z waty.

- Oto najlepszy dowód - parsknęła pogardliwie, choć nadal kręciło jej się w głowie.

- Dowód na co? - zapytał, okrywając pocałunkami jej szyję. _

- Że jesteś złodziejem. Podstępnie skradłeś mi pocałunek. - Było to ewidentne kłamstwo, bo sama chętnie mu go oddała.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Może ten pierwszy tak, kochanie - przyznał Grady - ale drugi oddałaś mi dobrowolnie, czyli nie możesz wykorzystywać go jako argumentu przeciwko mnie. Jak wiadomo, do tanga trzeba dwojga, więc wina rozkłada się równomiernie na oboje partnerów.

- Wiedziałam, że to powiesz - zarzuciła mu Karen.
- To bardzo pasuje do twoich zamiarów.

- A jakie są moje zamiary? - zapytał z zainteresowaniem.

- Chcesz zdobyć moją ziemię- odparła szybko, lecz jakby bez przekonania. Nagle przyszło jej do głowy, że Grady'emu może chodzić bardziej o nią samą niż o jej ziemię.

Po powrocie do domu Grady zadzwonił do prywatnego detektywa, który od wielu tygodni starał się wykryć, kto chciał zniszczyć stado Hansonów. To właśnie na rozmowie z Jarrodem Wilcoxem przyłapała go Karen tego ranka. Grady próbował wtedy nakłonić detektywa do podjęcia bardziej radykalnych kroków. Chciał jak najszybciej poznać wyniki śledztwa, choć nie potrafił powiedzieć, czemu tak bardzo mu na tym zależy.

Na początku chodziło mu o to, żeby Karen poznała prawdę i zaczęła mu ufać. Miał nadzieję, że byłby to pierwszy krok na drodze do kupna rancza. Tymczasem się

zaangażował. Nadal chciał, żeby mu ufała, ale dlatego, że coraz bardziej zależało mu na Karen i nie mógł znieść jej podejrzliwości.

- Już ci mówiłem, że to niemożliwe - tłumaczył mu Jarrod. - Po pierwsze, te incydenty miały miejsce ponad rok temu. Gdyby nawet pozostawiono dowody, to już na pewno nie istnieją. Nie sądzę, żeby dało się zrobić wiele więcej. W tej sytuacji dalsze zatrudnianie mnie to tylko wyrzucony pieniądz.

- Jeżeli takie jest twoje podejście, to chyba rzeczywiście - stwierdził Grady. - Może powinienem poszukać kogoś bardziej przebojowego, o pozytywnym nastawieniu.

- Każdy, kto ma choć trochę rozumu, powie ci to samo. Daj już sobie spokój.

- A hipoteka? Musi przecież być jakiś ślad w papierach, że ktoś próbował przejąć dług Hansonów. Dyrektor banku na pewno tego nie zmyślił. Albo dostał list, albo ktoś był u niego w tej sprawie.

- On mówi, że to drugie, i że to byłęś ty.

- Kłamie. Nigdy w życiu nie przekroczyłem progu jego banku. Swoją drogą, chciałbym wiedzieć, kto mu za to płaci.

- Sam go o to zapytaj. Znacznie trudniej będzie mu kłamać w żywe oczy.

Grady westchnął.

- Punkt dla ciebie. Zrobię to jutro, z samego rana. Tymczasem sprawdź wszystkich sąsiadujących z ranczem Hansonów. Niewykluczone, że ktoś z nich chce przejąć tę ziemię, albo z jakichś powodów nie życzy sobie, bym ja wszedł w jej posiadanie.

- Zrobi się.
- Chcę mieć twój raport do końca tygodnia.
- Jest środa.
- Czyli najwyższy czas, żebyś podniósł tyłek z krzesła i zabrał się do roboty.
- Dobrze już, dobrze - westchnął Jarrod. - Będziemy w kontakcie.

Grady ze złością odłożył słuchawkę i dopiero wtedy spostrzegł, że w progu stoi jego dziadek i przygląda mu się spokojnie. Zerwał się z krzesła i podszedł do drzwi, żeby uściskać człowieka, który znaczył dla niego więcej niż ktokolwiek na świecie.

Mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat Thomas Blackhawk wciąż był mężczyzną imponującej postury. Miał długie czarne włosy przyprószone siwizną, śniadą, pooraną zmarszczkami twarz i czarne oczy o dumnym spojrzeniu.

Kiedy Grady zbliżył się do niego, cofnął się o krok, położył wnukowi ręce na ramionach i zajrzał mu w twarz.

- Mam wrażenie, że jesteś czymś zmartwiony.
 - Raczej rozdrażniony - powiedział Grady.
 - Może powinieneś wybrać się ze mną w góry - zaproponował Thomas. - Odpocząłbyś i spojrział na wszystko inaczej.
 - Pewnie tak - przyznał Grady - ale nie mam teraz czasu.
- Przez pomarszczoną twarz dziadka przemknął zagadkowy uśmiech.
- Jeszcze jeden powód, żeby pojechać, nie uważasz?
 - Zastanowię się - odparł Grady, a potem wskazał dziadkowi krzesło.

- Napijesz się czegoś? Kawy? Drinka? Mam też trochę tej wstrętnej oranżady, którą tak lubisz.

- Bardzo chętnie. Człowiek, który żywi się kofeiną, nie ma prawa krytykować moich gustów.

Grady przyniósł dziadkowi butelkę.

- Co cię sprowadza? - zapytał. - O tej porze roku to ja na ogół do ciebie jeździłem.

- Doszły mnie pewne niepokojące wieści.

- O czym?

- O tobie.

- Ach tak? - mruknął Grady.

- Czy to prawda, że odwiedzasz wdowę po Hansonie?

- Tak.

- A po co? Chyba nie po to, żeby ją zmusić do sprzedaży rancza?

- Już nieraz o tym rozmawialiśmy - odparł Grady. W jego przekonaniu dziadek nadal chciał, żeby ta ziemia wróciła do Blackhawków, a protestuje tylko dlatego, że jest zmęczony wieloletnią, bezowocną walką.

Dziadek spojrzał na niego z rezygnacją.

- Czemu nie chcesz mi wierzyć, że to nie ma sensu? Całymi latami próbowałem wytłumaczyć to twojemu ojcu, ale on nie chciał mnie słuchać. A ty jesteś taki sam. Mówię ci, że ta ziemia nic dla mnie nie znaczy.

- Przecież to ziemia Blackhawków! - oburzył się Grady.

- Kiedyś tak, ale teraz już nie.

- Ukradzono ją naszym przodkom!

- W dość burzliwym okresie historii - przyznał dziadek, a potem spojrzał uważnie na wnuka. - Powiedz mi,

chłopcze, czy ta ziemia jest ci naprawdę potrzebna?
Chcesz powiększyć ranczo?

- Nie, oczywiście, że nie. Przecież ona nawet nie leży w pobliżu.

- Mnie też nie jest potrzebna. Po co więc robisz tyle zamieszania?

- To sprawa zasad - upierał się Grady.

- Czy zasady znaczą dla ciebie więcej niż ta kobieta?

Grady westchnął. Widocznie do dziadka dotarły plotki, że między nim a Karen chodzi o coś więcej niż tylko o kilka akrów ziemi.

- Jedno nie ma z drugim nic wspólnego - skłamał. Niestety, ostatnio coraz częściej mijał się z prawdą.

- Wytłumacz mi to - powiedział dziadek. - Bo mnie się wydaje, że te dwie sprawy ściśle się ze sobą łączą.

- Ale ją potrafię je oddzielić - zapewnił go Grady.

- A ona? - Thomas Blackhawk wstał. - Dobrze się zastanów, zanim dokonasz złego wyboru i przehandlujesz jedno za drugie. Nie byłbyś pierwszym spośród nas, który popełnił ten błąd.

- Co to ma znaczyć?

- Nie zawsze jest tak, jak ci się na pierwszy rzut oka wydaje. Koło może zatoczyć pełny obrót na różne sposoby.

- Rozumiem, że ta enigmatyczna odpowiedź powinna mi wystarczyć. - Grady był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Na razie tak - odparł dziadek.

- Zagadki, zagadki... - mruknął Grady. - Proszę o radę, a dostaję ciągle tylko zagadki.

- Jesteś najbystrzejszy spośród moich wnuków. Użyj swojej inteligencji, żeby je rozwiązać.

- A jeżeli mi się nie uda?
- To posłuchaj głosu swego serca.

Słowa te dźwięczały Grady'emu w uszach jeszcze długo po wyjściu dziadka. Rozwahał je przez całą noc, ale nie potrafił zmusić się do rezygnacji z pierwotnego planu. Zbyt wiele lat pielęgnował w sobie wizję powrotu tych ziem do rodziny Blackhawków. Winien to był pamięci swoich zmarłych przodków, nawet jeśli żyjącym już na tym nie zależało.

Dopiero po kilku godzinach przewracania się z boku na bok zrozumiał drugą część tego, co dziadek próbował mu przekazać. Pojął wreszcie, że dziadek daje jemu i Karen swoje błogosławieństwo. Ale co miała znaczyć ta dziwna uwaga o kole, które zatacza pełny obrót?

Z westchnieniem pomyślał, że była to kolejna zagadka. Thomas Blackhawk był w nich mistrzem. Niestety, Grady rzadko miał cierpliwość, żeby się nad nimi zastanawiać. Teraz zresztą zajęty był rozwiązywaniem innej, konkretnej zagadki, która przeszkadzała mu w osiągnięciu dawno wytyczonego celu. Musiał odszukać człowieka, którzy próbował zniszczyć stado Hansonów.

Punktualnie o dziewiątej rano Grady wszedł do budynku banku w Winding River i skierował się prosto do gabinetu dyrektora. Udając, że nie słyszy protestów sekretarki, wkroczył bez pukania do pokoju Nathaniela Grogana.

- Mam wezwać strażnika, panie dyrektorze? - zapytała panna Ames, patrząc z przerażeniem na Grady'ego.

Grogan lekceważąco machnął ręką.

- Sam sobie poradzę z tym panem.

- Nie jesteś aby zbyt wielkim optymistą? - zapytał Grady, kiedy drzwi zamknęły się za oburzoną sekretarką.

- W jakiej sprawie przychodzisz, Grady?

Słyszając swoje imię, Grady znacząco pokiwał głową. Dyrektor banku znał go od lat, więc nie mógł go z nikim pomylić. Było to absolutnie niemożliwe. Wobec tego spotkanie w cztery oczy, o którym mówił detektywowi, musiało być ewidentnym kłamstwem.

- Nie domyślasz się?

- Chodzi ci o hipotekę Hansonów?

Grady spojrział na niego z przesadnym uznaniem.

- Bingo!

- I co z tą hipoteką?

- Podobno powiedziałaś Calebowi Hansonowi, że próbowałam wykupić jego hipoteczny dług. To samo powtórzyłaś Jarrodowi Wilcoxowi. Tak czy nie?

- Tak.

- Chociaż wiedziałaś, że to nieprawda?

- Tego nie wiedziałam. - Grogan sięgnął do szuflady i wyjął białą teczkę. - Tu masz wszystkie papiery. Są w absolutnym porządku. Przecież to twój podpis.

Grady obejrzał dokument, mrużąc oczy.

- Sfałszowany - powiedział w końcu.

- Chcesz powiedzieć, że to nie twoje pismo? - zdumiał się Grogan.

- To właśnie chcę powiedzieć. Nigdy nie wypełniałem tego wniosku. A ten, kto twierdzi, że był tego świadkiem, jest kłamcą.

- Wobec tego poprośmy pannę Ames. - Grogan był wyraźnie wstrząśnięty.—To jej notarialna pieczęć figuruje

na dokumentach. - Zadzwoił na sekretarkę. - Pani pozwoli na chwilę, panno Ames.

Drzwi otworzyły się, ale panna Ames nie kwapiła się z wejściem.

- Słucham, panie dyrektorze?
- Chciałbym pani coś pokazać.

Sekretarka podeszła do biurka i wzięła od Grogana dokumenty.

- Czy to pani pieczęć?

Panna Ames przyjrzała się uważnie pieczęci i pokiwała głową.

- A czy ten pan podpisywał te papiery?

W oczach panny Ames odmalowało się przerażenie. Spojrzała na Grady'ego i niewyraźnie coś wymamrotała.

- Co to miało być? - zirytował się Grogan. - Proszę mówić głośniej.

- Powiedziałam „nie”, panie dyrektorze. Nigdy w życiu nie widziałam tego pana.

- Przecież to Grady Blackhawk - powiedział Grogan.
- Moje następne pytanie brzmi, kto wobec tego podpisał te papiery?

Panna Ames skuliła ramiona.

- Nie wiem - wyszeptła i załała się łzami.

Mężczyźni spojrzeli na nią z niedowierzaniem. Grady odezwał się pierwszy:

- Czy nie powinna pani być obecna przy podpisywaniu dokumentu, pod którym przystawia pani swoją pieczęć?

Kobieta skinęła głową.

- Tak, ale ja któregoś ranka znalazłam te papiery na biurku z adnotacją, że mam je podstemplować i przekazać

panu Groganowi. I tak też zrobiłam. Myślałam, że to bardzo pilne. - Spojrzała z rozpaczą na szefa. - Sądziłam, że pan tego chce i że na pańskie polecenie mogę złamać przepisy.

Dyrektor popatrzył na nią, kiwając głową.

- Pracuje tu pani od niedawna, ale czy chociaż raz w tym czasie kazałem pani postąpić nieuczciwie?

- Nie, panie dyrektorze. Właśnie dlatego pomyślałam, że to bardzo ważne.

- I nie ma pani pojęcia, kto mógł podłożyć te papiery?

- Najmniejszego. Leżały na biurku, kiedy przyszedłam do pracy. Pan był już u siebie, więc byłam pewna, że to pan je zostawił.

- Pewnie nie ma już pani tej notatki? - zapytał Grogan.

Panna Ames potrząsnęła głową.

- Nie, panie dyrektorze.

- No cóż, może pani odejść. - Grogan ciężko westchnął.

- Pan... pan mnie nie wyrzuca?

- Na razie nie - odparł Grogan. - Przynajmniej dopóty, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy. Ale jeżeli się dowiem, że wie pani więcej, niż nam powiedziała, zostanie pani zwolniona. Czy wyrażam się dość jasno?

Panna Ames pociągnęła nosem i skinęła głową. Wychoząc, miała tak przerażoną minę, że Grady'emu zrobiło się jej żal.

- Przepraszam - powiedział Grogan. - Nie wiem, co ona sobie wtedy myślała.

- Że wyświadcza ci przysługę - orzekł Grady. - Widać, że stara się być lojalna względem ciebie.

- Albo względem kogoś innego - westchnął Grogan.
- Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby to wyjaśnić. Zadzwoń też do pani Hanson.

Grady pokiwał głową.

- Mam nadzieję. I jeszcze jedno. Czy to ty ostrzegłeś Caleba Hansona o moich rzekomych zakusach na jego hipotekę?

- Tak. Dopilnowałem, żeby wniosek został załatwiony odmownie, a potem powiedziałem mu o całej sprawie. Hansonowie od lat byli klientami naszego banku, dlatego uważałem, że Caleb ma prawo o tym wiedzieć.

- Kto jeszcze mógł zostawić papiery na biurku sekretarki przed jej przyjściem do pracy?

- Każdy, kto jest tu zatrudniony. Pozostali pracownicy przychodzą około ósmej. Panna Ames zawozi syna do szkoły, więc zjawia się przed wpół do dziewiątej. Podrzucenie papierów nie trwa nawet minuty. Ludzie przez cały dzień zostawiają jej papiery na biurku. To zupełnie normalne.

- Chyba nie mógł to być nikt z zewnątrz.
- Na to wygląda. - Grogan spojrzał Grady'emu w oczy.
- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby wyjaśnić sprawę. Masz na to moje słowo.

Grady pokiwał głową. Nie wątpił w uczciwe intencje Nathaniela Grogana, ale -jak już mówił jego detektyw - incydent ten, podobnie jak pozostałe, miał miejsce przed ponad rokiem. Dlatego znalezienie winnego nie będzie takie proste. Pamięć ludzka jest zawodna. Oczywiście nie dotyczy to sprawcy. On - albo ona - na pewno wszystko pamięta. Ale czy da się namówić i wyzna prawdę?

- Trzymam cię za słowo - powiedział, kiedy Grogan go odprowadzał.

Weszli do wyłożonego marmurem holu dokładnie w chwili, gdy w drzwiach banku stanęła Karen. Na ich widok poblądła, potem się zaczerwieniła, a następnie obróciła na pięcie i uciekła.

- A niech to! - mruknął Grady, po czym ruszył w ślad za nią. Wiedział, co mogła sobie pomyśleć, widząc go w takim miejscu i takim towarzystwie.

Dogonił ją przy następnej przecznicy, ale ona nawet na niego nie spojrzała.

- Dzień dobry! - powiedział sztucznie ożywionym tonem.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- To dobrze, bo ja mam ci dużo do powiedzenia.

Nim zdążyła zaprotestować, Grady wepchnął ją do lokalu Stelli. Wiedział, że nie zechce urządzić mu publicznej sceny, i to jeszcze przed Cassie, która patrzyła na nich, gotowa zainterweniować.

- Bardzo miłe miejsce na rozmowę - powiedział, kierując się do niszy w głębi sali. Począł, aż wzdychająca z rezygnacją Karen zajmie miejsce, a potem usiadł obok niej, żeby odciąć jej drogę ucieczki.

- Wszystko w porządku? - Cassie z niepokojem spojrzała na Karen.

- W porządku - odparł Grady. - Przynieś nam dwie kawy. - Zerknął na Karen. - Jadłaś dziś śniadanie?

Zauważył, że Karen trzyma sztywno ręce na stole i stara się na niego nie patrzeć. Rumieniec gniewu jeszcze nie zniknął z jej policzków. Postanowił poczekać kilka minut.

Może kiedy Karen napije się kawy, przejdzie jej złość i będzie w stanie wysłuchać jego wyjaśnień.

- A jak myślisz? - burknęła Karen. - Przecież już po dziesiątej.

Grady uśmiechnął się, a potem podniósł wzrok na Cassie.

- Na razie tylko dwie kawy.

Po chwili Cassie postawiła przed nimi parujące filiżanki, stała chwilę przy stoliku, a ponieważ i Karen, i Grady zdawali się jej nie zauważać, odeszła wzdychając.

- Pewnie się zastanawiałaś, co robiłem u Nata Grogana - odezwał się w końcu Grady.

- Nie trzeba wiele wyobraźni, żeby się domyślić - prychnęła Karen. - Czy tym razem dał ci zgodę na odkupienie naszego długu?

- Nigdy nie próbowałem przejąć waszych cholernych długów i wejść wam na hipotekę! - wybuchnął Grady.

- Ani teraz, ani nigdy.

- Ty tak twierdzisz.

- Zapytaj Grogana. Ma do ciebie zadzwonić, żeby ci wszystko wyjaśnić.

- Jestem pewna, że powie dokładnie to, co mu kazałeś.

- A zrobił tak kiedyś? Przecież to on zatelefonował do Caleba, żeby mu powiedzieć o rzekomo moich zakusach na ranczo.

Karen zawahała się.

- To prawda - przyznała w końcu.

- Grogan dopiero dziś rano dowiedział się, że to nie ja złożyłem wniosek o wykupienie długu. Na pewno to potwierdzi, jeżeli go zapytasz.

Karen odwróciła się i nareszcie na niego spojrzała. W jej niebieskich oczach malowała się rozterka.

- Ale te papiery...?

- Ktoś je sfałszował, a potem podłożył sekretarce. Ta postawiła swoją pieczęć, bo myślała, że spełnia polecenie dyrektora.

W oczach Karen błysnęła nadzieja.

- Naprawdę?

- Nie potrafiłbym cię okłamać, Karen. Ani przedtem, ani teraz. Zależy mi na tej ziemi, ale nie za cenę mojej uczciwości.

Karen westchnęła.

- Chciałabym ci wierzyć.

- No to uwierz - powiedział błagalnym tonem. - Zaczynaj mi wreszcie ufać.

- Kiedy to nie takie proste - wyszeptała.

Nie musiała nawet mówić, o co jej chodzi, bo Grady i bez tego wiedział. Caleb zawsze uważał go za wroga. A czy można walczyć z oskarżeniem rzuconym przez kogoś, kto nie żyje? Zwłaszcza jeśli się tego kogoś kochało z całego serca i mu ufało?

Grady poczuł, że nienawidzi Caleba Hansona. I to nie tylko za te wszystkie kłamstwa, którymi karmił w przeszłości swoją żonę. Również za to, że nawet z za grobu mógł pozbawić ich wspólnej przyszłości.

ROZDZIAŁ 9

W Gradym zaszła nagła przemiana, a stało się to w ułamku sekundy - kiedy spojrzał Karen w oczy. Poczucił się tak, jakby coś w nim pękło; jakby poniósł ostateczną klęskę. Posiedział jeszcze chwilę, a potem pożegnał się i wyszedł, zostawiając zdeorientowaną Karen.

Powiedziała sobie wtedy, że to minie, że wszystko wkrótce wróci do normy i Grady znów zacznie wpadać na ranczo w najmniej spodziewanym momencie, tak się jednak nie stało. Mijały dni, a on się nie pokazywał. Nawet Hank i Dooley, którzy od początku traktowali go podejrzliwie, zaczęli komentować jego nieobecność.

- A już myślałem, że rozpanoszył się tu na dobre - powiedział Dooley z dezaprobatą.

- Nie, wcale nie - zaprzeczyła Karen, po czym szybko dodała: - Szkoda czasu na plotki o człowieku, który - mówcie, co chcecie - przychodził tu bez żadnego interesu.

- Mnie tam wcale go nie brakuje - burknął Dooley.
 - Szef nigdy go nie lubił - dorzucił Hank.
 - Teraz ja jestem szefem - oznajmiła stanowczo Karen
- i liczy się to, co ja lubię.

Dooley otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Chce pani powiedzieć, że wierzy pani takiemu draniowi jak Blackhawk?

- On wcale nie jest draniem - obruszyła się Karen. - A wy macie co robić. Zdaje się, że prosiłam was, żebyście naprawili ogrodzenie. Kiedy wczoraj wracałam do domu, widziałam, że jest uszkodzone. Za kilka tygodni będziemy przepędzać stado i nie chcę, by puciekało poza nasze tereny. Nie stać nas na to, żeby stracić chociaż jedną sztukę.

- Tak jest, proszę pani - powiedział posłusznie Dooley, ale nie przestawał patrzeć na nią zatroskanym wzrokiem. Widocznie wciąż uważał, że jako słaba kobieta nie potrafi nad wszystkim zapanować.

Po wyjściu pracowników Karen usiadła z westchnieniem. Kogo próbowała oszukać? Może i była teraz szefem, czuła jednak, że coraz mniej wiąże ją z ranczem. Wiedziała, co powinno być zrobione, ale nie miała na to środków. A ostatnio zaczynało jej już brakować siły woli koniecznej do codziennych zmagañ. Najchętniej skuliłaby się pod kołdrą i przespała całą zimę.

Obecność Grady'ego wyciągnęła ją na chwilę ze stanu zniechęcenia, ale od czasu gdy zniknął, nie potrafiła na nowo wziąć się w garść.

Z tych smętnych rozmyślañ wyrwał ją dźwięk telefonu.

- Cześć! - odezwała się Lauren, a jej rozradowany głos wywołał uśmiech na ustach Karen.

- Cześć! Co słyhać w Hollywood? Potrzebuję czegoś, co choć trochę poprawiłoby mi humor.

- A odkąd to obchodzą cię plotki o sławnych ludziach?

- Słuchając ich, uczestniczę chociaż przez moment w eleganckim, światowym życiu. No, mów! Masz coś ciekawego?

- Niestety, nie. Byłam bardzo zajęta. Uczyłam się roli do nowego filmu. Brad Pitt mógłby się ożenić, a ja nawet bym o tym nie wiedziała.

- Brad Pitt rzeczywiście się ożenił - roześmiała się Karen. I to całe wieki temu.

- Sama widzisz. Zaczynam mieć kłopoty z pamięcią.

- Co za pożytek z przyjaciółki, która jest gwiazdą filmową, a nie zna żadnych pikantnych szczegółów z życia osób publicznych.

- O, jedną znam - odcięła się Lauren. - Podobno pewna właścicielka rancza pokazała się ostatnio ze swoim śmiertelnym wrogiem. Z tego, co słyszałam, to było nawet dość czułe spotkanie.

- Cassie musiała puścić farbę - powiedziała Karen z westchnieniem. Powinna była przewidzieć, że jej przyjaciółka powtórzy wszystkim o ich spotkaniu „U Stelli”.

- Nigdy nie zdradzam swoich informatorów - oznajmiła Lauren. - No więc, jak ci się układa z tym seksownym panem Blackhawkem? Czy jesteście już parą?

- Nie bądź śmieszna! - obruszyła się Karen, odsuwając od siebie wspomnienie dwóch namiętnych pocałunków. - Nawet gdyby mi się podobał - a tak nie jest - nie mogłabym z nim być.

- Z powodu Caleba, prawda?

- Oczywiście, że z powodu Caleba.

- Powinnaś żyć dla siebie - tłumaczyła jej łagodnie Lauren. - Nie mówię, że masz zapomnieć o mężu, ale nie możesz brać na siebie jego obciążeń. Jeżeli Grady ci się podoba, jeżeli chcesz z nim być, decyzja należy do ciebie.

- Hansonowie są innego zdania - powiedziała sucho Karen.

- Och, co oni tam wiedzą? - prychnęła lekceważąco Lauren. - A poza tym, mieszkają w Arizonie.

- Ale mają gorącą linię telefoniczną z Wyoming.

- Nie zwracaj na nich uwagi - doradziła Lauren.

- Nie mogę. Przecież to rodzice Caleba.

- To rozumiały, że będą przygnębieni, kiedy znajdziesz sobie kogoś nowego, ale jakoś to przeżyją.

- Nie, jeśli to będzie Grady - wyrwało się Karen.

- Więc jednak to on.

Karen westchnęła.

- Sama nie wiem, co o nim myśleć.

- Czy on naciska na ciebie, żebyś się natychmiast zdecydowała?

- Nie. Prawdę mówiąc, ostatnio rzadko się tu pokazuje. Nie spotkałam go od tego ranka, kiedy Cassie widziała nas u Stelli. Mam wrażenie, że musiałam go czymś urazić, ale nie wiem czym. To bardzo skomplikowana natura.

- Może trzeba, żebyś sobie zrobiła przerwę. Jesteś mądrą kobietą. Rozeznasz się w swoich uczuciach, kiedy przyjdzie pora. - Lauren zawahała się, a potem zapytała - Mam przyjechać do Winding River? Podobno doskonale znam się na ludziach.

- Naprawdę? A twoje dwa nieudane małżeństwa? Chyba świadczą o czymś wręcz przeciwnym.

- Ach... - westchnęła Lauren. - Człowiek za późno dostrzega własne błędy. Za to cudze są widoczne jak na dłoni. Opinia kogoś z zewnątrz na pewno nie zaszkodzi, a ja mogłabym być u ciebie już jutro.

- Nie. Już i tak dość długo zaniedbywałaś przeze mnie swoją karierę. Nie mogę od ciebie wymagać, żebyś tu pędziła za każdym razem, kiedy obleci mnie strach.

- Strach? - roześmiała się Lauren. - Kogo się boisz? Grady'ego czy siebie?

- Może jednego i drugiego - przyznała się Karen.

- Posłuchaj mnie. Nikt spośród moich znajomych nie może pochwalić się taką intuicją jak ty. Zawierz swoim instynktom. A jeżeli będziesz potrzebowała mojego wsparcia, zadzwoń. Rzucę wszystko i będę u ciebie za kilka godzin. Prawdę mówiąc, lubię od czasu do czasu poczuć się potrzebna. Powiedz tylko słowo, a wracam na ranczo, zakasuję rękawy i biorę się do roboty. Mogę zajmować się końmi tak długo, jak będzie to potrzebne.

Karen ze zdumienia zabrakło słów. Nie po raz pierwszy słyszała tę propozycję z ust przyjaciółki, jednak tym razem odniosła wrażenie, że Lauren rozpaczliwie szuka pretekstu, żeby przyjechać do Winding River.

- Zamurowało cię? - spytała Lauren.

- Szczerze mówiąc, tak. Wprawdzie przebąkiwałaś coś o powrocie do domu, ale po raz pierwszy wyraziłaś to wprost. Co się dzieje, Lauren? Co przed nami ukrywasz?

- Nic. A w każdym razie nic, na co miałabym jakikolwiek wpływ. Poradzę sobie, jestem tego pewna. A co do mojej propozycji - zawsze jest aktualna. Gdybyś mnie potrzebowała, daj mi znać.

- Dziękuję - powiedziała cicho Karen. - I... Lauren?

- Co?

- Jeżeli masz ochotę wyrwać się z Hollywood, nie czekaj na zaproszenie. Mam na górze wolny pokój. Przyjeź-

dżaj, kiedy tylko zechcesz. Jeżeli tęsknisz za pracą fizyczną, mogę ci i to załatwić.

- Wiem, że mówisz szczerze. Jestem ci bardzo wdzięczna. Dbaj o siebie, kochana.

- I ty też.

Karen odłożyła słuchawkę i w tym samym momencie wyczuła za plecami czyjaś obecność. Odwróciła się i za ażurowymi drzwiami zobaczyła Grady'ego. Wciąż rozstrojona po rozmowie z Lauren, nawet nie ucieszyła się na jego widok. Obyczaj Grady'ego, by zjawiać się w jak najmniej odpowiednim momencie, zaczynał jej działać na nerwy.

- Coś nie tak? - Nie czekając na zaproszenie, Grady wszedł do domu.

- U mnie wszystko w porządku - odparła ze sztucznymżywieniem. Nie zamierzała omawiać dziwnych nastrojów Lauren z człowiekiem, któremu nie do końca ufała. Gdyby wiadomość o problemach jej przyjaciółki przedostała się do bulwarowej prasy, nigdy by sobie tego nie darowała.

Z drugiej strony, trudno jej było sobie wyobrazić, żeby Grady mógł posunąć się do takiej niedyskrecji. To jakieś absurdalne posądzenie, dowodzące, jak głębokie były jej uprzedzenia. Dlaczego miałyby zrobić coś takiego? Przecież nie potrzebował pieniędzy. Poza tym, starał się jak mógł przekonać ją, że jest człowiekiem godnym zaufania.

- Pomyślałem sobie, że wpadnę, by ci powiedzieć, że będę dziś pomagał Hankowi i Dooleyowi. Ogrodzenie przy szosie jest uszkodzone.

- Wiem, zauważyłam to wczoraj. Oni już tam są. Myślę, że sobie sami poradzą.

- Z pewnością przyda im się dodatkowa para rąk.

Karen spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Posłuchaj, minione dni jasno dowiodły, że masz swoje własne życie. Nie musisz tego robić.

- Ale czego?

- Nie musisz się tu kręcić. Masz co robić u siebie w domu.

Grady spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Czyżbyś się za mną stęskniła?

- Nigdy tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś.

- Czy dlatego mnie nie odwiedzałeś, żebym zaczęła za tobą tęsknić? - zapytała, marszcząc brwi.

- Nie. A teraz wyjaśnijmy to raz na zawsze. Lubię ci pomagać. Lubię też towarzystwo.

- Hanka i Doołeya? - prychnęła z niedowierzaniem.

- W ostateczności - odparł i wreszcie się uśmiechnął. - Za to ich szefowa ma w sobie coś, co mnie intryguje.

- Naprawdę?

Grady pokiwał głową.

- Poza tym, jest mi winna kolację. Nasza umowa nie dobiegła jeszcze końca.

- Myślałam, że już zapomniałeś. Nie mówiąc już o tym, że tamte dwa tygodnie dawno się skończyły.

- Ale przepadło nam kilka wieczorów - przypomniał jej Grady.

- Nie powiedziałam przecież, że możemy to odłożyć na później.

- Nie, ale nie złamiesz chyba umowy? Sumienie by ci nie pozwoliło.

- Raczej tak.

- No to wszystko ustalone. I żeby nie było wątpliwości, marzę o szarlotce.

- Stella piecze świetną - powiedziała Karen.

- Ale twoja jest lepsza. - Grady spojrzął jej przeciągle w oczy. - Jeszcze gorąca, prosto z pieca, z kulką roztopionych lodów waniliowych.

Karen zastanowiła się, jak on to robił, że nawet zwykły kawałek szarlotki potrafił przedstawić jako coś niebywale zmysłowego. A może to jej wina, że ma takie myśli?

- Co ty na to? - zapytał Grady. - Szarlotka na deser?

Spojrzała na niego z rezygnacją.

- Zobaczą, co da się zrobić.

- Liczę na to..- Grady mrugnął znacząco.

Prawdę mówiąc, gdyby przyszło co do czego, nie potrafiłaby powiedzieć, kogo by wybrała-ducha czy mężczyznę z krwi i kości, który z każdym dniem bardziej ją pociągał, mimo irytującego zwyczaju pojawiania się i znikania w najmniej stosownym momencie.

Grady usłyszał podniesione głosy, jeszcze zanim zobaczył Hanka i Dooleya.

- Musimy jej o tym powiedzieć! - irytował się Hank.

- Pani Hanson i bez tego ma dosyć kłopotów na głowie - perswadował Dooley. - Mieliliśmy naprawić płot, prawda? Więc zróbmy to i nie zwracajmy jej głowy problemem, którego jutro już nie będzie.

Grady obszedł wzgórze i zobaczył obu mężczyzn z rolką drutu kolczastego.

- Mówię ci, ona musi wiedzieć, że ktoś zniszczył jej ogrodzenie - upierał się Hank. - Powinna natychmiast za-

wiadomić szeryfa. Tak być nie może. - Spojrzał na Dooleya, mrużąc podejrzliwie oczy. - Chyba że masz jakieś szczególne powody, żeby unikać szeryfa?

Dooley zamachnęła się i wyrzuciła go pięścią w twarz.

Grady zeskoczył z siodła i stanął między rozsierdzonymi robotnikami.

- Dostyc tego! Co w was wstąpiło?

Ich nieufność okazała się niczym wobec wzajemnych pretensji. Obaj mężczyźni zaczęli ciskać na siebie oskarżenia w takim tempie, że Grady ledwo za nimi nadążał.

- Spokój! - krzyknął wreszcie. - Po kolei. Dooley, mów pierwszy.

Hank spojrzał na niego z furją, za to na twarzy Dooleya odmalowała się satysfakcja.

- Mówiłem temu ptasiemu mózdkowi, że nasza szefowa już i tak ma za dużo na głowie - powiedział. - Po co ją dodatkowo martwić tym, co się tu stało? Naprawimy płot i po krzyku.

- Ktoś umyślnie przeciął drut kolczasty, tak? - domyślił się Grady.

- Dokładnie tak - odparł Hank, pokazując kawałek drutu. - Widać od razu, że przecięte. A to przecież nowe druty. Sam je zakładałem zeszłej wiosny.

Grady'emu nie spodobało się to, co usłyszał. Ktoś najwyraźniej usiłował pokrzyżować mu plany. Nie trzeba geniusza, by przewidzieć, że prędzej czy później to on zostanie obarczony winą. Możliwości znów były dwie - albo ktoś chciał zmusić Karen, żeby się pozbyła rancza, albo chciał podważyć jego wiarygodność i uniemożliwić mu kupno.

- Do kogo należy ziemia po drugiej stronie szosy?
 - zwrócił się do Dooleya.
 - Do Tate'a McDonalda.
- Nazwisko to nic nie mówiło Grady'emu,
- Od jak dawna?
 - McDonald kupił ją jakieś osiem, dziewięć lat temu
- odrzekł Hank. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zacząłem pracować u Hansonów.
- Czy kiedykolwiek próbował dokupić więcej ziemi?
- zapytał Grady.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, a potem potrząsnęli głową.

- Nie, on w ogóle rzadko tu bywa - odparł Dooley. - Z tego, co wiem, mieszka na stałe w Kalifornii. Ranczo prowadzi jego zarządca. Teraz mają tam tylko małe stado. Inaczej niż za czasów Duke'a Waltersa.

Nie znaczyło to jednak, że McDonald nie planował większej operacji w przyszłości. Grady postanowił zasięgnąć bardziej szczegółowych informacji o tym człowieku.

Wiedział już, że ziemi na zachód należały od sześćdziesięciu lat do tej samej rodziny - Oldhamów - a posiadłość na północ do Jacka Fletchera, zdziwaczałego eksmistrza rodeo, który ujeżdżał konie i którego córka, Maggie, także była niezłą ekscentryczką. Jednak Fletcherowie, mimo swoich dziwactw, nie wyglądali na ludzi, którzy chcieliby doprowadzić sąsiadów do ruiny. Mimo to Grady postanowił, że zleci Wilcoxowi, by ich również sprawdził - tak na wszelki wypadek.

- Trzymajmy się tego - zwrócił się do Hanka, biorąc od niego kawałek drutu. - Na razie nic nie mówmy Karen.

Miejcie oczy i uszy otwarte, jak będziecie w mieście. Ja tymczasem sprawdzę McDonalda.

Mężczyźni obrzucili go nieufnym spojrzeniem.

- Przecież to panu bardzo na rękę, że pani Hanson ma kłopoty - odezwał się Hank. - Jak jej się nie powiedzie, będzie mógł pan kupić ranczo za grosze.

- Złożyłem jej już swoją ofertę. Zaproponowałem znacznie więcej, niż ta ziemia jest warta. Nie zamierzam się wycofać.

- Ale to nie znaczy, że nie chciałby pan zapłacić mniej - prychnął Dooley.

- Możecie mi wierzyć albo nie, ale nie zależy mi na tym, żeby doprowadzić ją do ruiny - powiedział Grady.

- Jeżeli zdecyduje się na sprzedaż, to nie dlatego, że została przeze mnie zmuszona.

Dooley popatrzył mu w oczy.

- Może pan przysiąc, że zrobi wszystko, by wykryć sprawców tej ostatniej szkody? - zapytał.

- Przysięgam.

Hank i Dooley znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Dobrze - powiedział Dooley - ale będziemy pana mieli na oku.

Grady z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Oczywiście.

Karen wreszcie znalazła sposób na to, jak sobie radzić ze zmiennymi nastrojami Grady'ego. Przede wszystkim przestała się zastanawiać nad ich ukrytym znaczeniem. Tym razem ważne było tylko to, że od powrotu do domu,

po naprawie ogrodzenia, Grady jakby nie był sobą. Milczał przez całą kolację, a po zjedzeniu zapiekanki przeprosił i zaczął się zbierać do wyjścia.

- A ty dokąd? Siadaj! - powiedziała, marszcząc brwi.

- Co takiego?

- Powiedziałam, siadaj. - Patrzyła na niego groźnie, póki nie posłuchał. - A teraz powiedz mi, skąd ten zły humor?

- Wcale nie jestem w złym humorze - zaprzeczył.

- Dobrze, może to niewłaściwe słowo, ale zachowujesz się tak, jakbyś nie był sobą. I tak jest, odkąd wróciłeś z pastwiska.

- Mam po prostu parę pilnych spraw na głowie.

- To widać. Co to za sprawy?

- Nic godnego wzmianki - mruknął.

- A może coś, o czym nie chcesz ze mną rozmawiać?

- spytała wyzywającym tonem.

Grady zmieszał się.

- Dlaczego tak mówisz?

- Zazwyczaj masz mi masę do powiedzenia. To ty nalegałeś na wspólne spędzanie czasu, a dzisiaj nie odezwałeś się do mnie ani słowem. I wreszcie to ty błagałeś, żebym upiekła szarlotkę, a teraz wybierasz się do domu i nawet jej nie spróbowałeś. Jeszcze ci mało?

Grady uśmiechnął się.

- Naprawdę, mój Sherlocku? Masz jeszcze jakieś inne poszlaki?

- Nie, myślę, że to wystarczy - odparła, krzyżując ręce na piersi. - Ja już powiedziałam swoje. Teraz twoja kolej.

- A jeżeli nic nie powiem?

- To będziesz tu siedział tak długo, aż zmienisz zdanie.

Grady głośno się roześmiał.

- A kto mnie do tego zmusi?

- Ja.

- Naprawdę? Co za fascynująca perspektywa. Może mi zdradzisz, w jaki sposób chcesz zatrzymać mężczyznę, który jest od ciebie dwa razy większy?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Uwierz mi, że potrafię to zrobić. - Nie miała pojęcia jak, ale była pewna, że sobie poradzi. - A teraz porozmawiajmy. Co takiego zaszło między tobą a Hankiem i Doołeyem? Pokłóciliście się? Oni są nieufni, ale chodzi im tylko o moje dobro.

- Wiem i szanuję tę ich lojalność.

- Więc się nie pokłóciliście?

- Nie.

- Ale coś się stało - nalegała.

Grady uśmiechnął się promiennie.

- Chyba jednak wezmę kawałek szarlotki. Duży. I dużo lodów.

- Nie ma mowy. Za późno. Albo się dowiem, co zaszło, albo cała szarlotka wyląduje w śmietniku.

- Kobieto, aleś ty uparta - westchnął Grady. - Wiesz o tym?

- Wiem - odparła z dumą.

- To bardzo irytująca cecha.

- Zależy od punktu widzenia.

- Myślę, że gdybym chciał, mógłbym odwrócić twoją uwagę i wziąć sobie kawałek ciasta - powiedział po namyśle.

- Wątpię.

- Mam spróbować?

Karen dojrzała w jego oczach błysk i zrozumiała, że popełniła poważny błąd taktyczny. Jednak zanim zdążyła go naprawić, Grady zerwał się z krzesła, chwycił ją w ramiona i dotknął ustami jej warg.

Czy chciał ją w ten sposób uciszyć, czy sprowokować - trudno orzec. Pocałunek w jednej chwili zmienił się w gorącą pieśczołę. Owładnięci namiętnością zapomnieli o sporze. Karen zakręciło się w głowie.

Tak nie wolno, pomyślała. Nie wolno, nie wolno.

A jednak nie potrafiła się powstrzymać - nawet na tyle, żeby zaczerpnąć tchu. Ciało jej płonęło. Ręce Grady'ego błądziły po nim spragnione i prowokujące, a zarazem czułe.

Kiedy rozpiął jej guziki sukienki, zimne powietrze schłodziło na moment rozpaloną skórę. A potem Grady znów rozgrzał ją słodkimi i wyrafinowanymi pieśczołami. Nagle zapragnęła robić rzeczy, o których dawno zapomniała. Chciała znów kochać i cieszyć się życiem, pragnąć i smakować miłość.

- Nie tutaj - wyszeptała, kiedy suknia opadła na podłogę wokół jej kostek, a biustonosz wylądował w drugim końcu kuchni.

- A gdzie? - zapytał, biorąc ją na ręce.

- Na górze.

Na piętrze zawahał się, podobnie jak Karen. Nie w jej sypialni. Nie w łóżku, które dzieliła z Calebem.

- Tam - powiedziała, wskazując na gościnny pokój, w którym stało staromodne, żelazne łóżko, nakryte barwną narzutą.

Z pokojem tym nie wiązały się żadne wspomnienia. Wykrochmalone prześcieradła pachniały słońcem. Nie

uoosił się nad nimi - pewnie już wyimaginowany - znajomy zapach wody po goleniu. Materac był twardy, a nie wygnieciony po latach służenia dwóm ciałom.

Nie mogła się powstrzymać od tych porównań, kiedy Grady położył ją na łóżku, a potem wślizgnął się pod kołdrę i delikatnie zdjął z niej resztę ubrania. Droga na piętro sprawiła, że napięcie opadło i przygasło pożądanie. Jednak Grady czuł, że potrafi je na nowo obudzić jednym spojrzeniem, jednym dotknięciem, tak by zapragnęła mieć go głęboko w sobie.

Karen niecierpliwym ruchem zdjęła mu koszulę przez głowę, a potem niezdarnie zaczęła rozpinąć spodnie. Palce jej drżały, a kiedy dotknęła jego rozpalonego brzucha, poczuł, że są zimne jak lód.

Nakrył jej dłonie swoimi i spojrzał jej w oczy.

- W porządku. Nie musimy się spieszyć - powiedział łagodnie.

- Musimy, musimy... - nalegała, próbując oswozić ręce, żeby dokończyć to, co zaczęli.

Cień smutku przemknął przez jego twarz. Dostrzegła to nagle i się zawstydziła.

- Przepraszam - szepnęła.

- Za co?

- Nie chcę, aby wyglądało, że chciałabym jak najprędzej mieć to za sobą.

- Ale to prawda - stwierdził ze smutnym uśmiechem.

- Przynajmniej częściowo.

- Może - przyznała cicho. - Pragnę cię, Grady. Tylko że się boję.

- Czego?

- Że to wszystko dzieje się z niewłaściwych powodów. Grady przekręcił się na wznak, założył ręce za głowę i tak długo patrzył w sufit, póki oddech mu się nie wyrównał. Karen poczuła się nagle opuszczona, nie śmiała jednak zbliżyć się do niego i znów go dotknąć.

W końcu, kiedy zaczęło jej się wydawać, że nie zniesie już tego napięcia, Grady odszukał jej rękę i podniósł do ust.

- Innym razem - powiedział spokojnie, bez cienia pretensji.

Ze łzami w oczach sięgnęła po prześcieradło i zakryła nagie piersi.

- Jesteś pewny?

Grady spojrzał jej w oczy.

- Moja kochana, jestem tego pewny jak niczego na tym świecie. Będziemy jeszcze mieli ten swój inny raz. Kiedy to nastąpi, zyskamy pewność, że cel i przyczyny są właściwe. - Uśmiechnął się. - A teraz przytul się do mnie.

Zasłaniając się prześcieradłem, przysunęła się tak blisko, że poczuła jego ciepło i rytmiczne bicie serca. I właśnie wtedy ogarnęła ją wdzięczność za to, że Grady okazał wyrozumiałość, i wzruszenie, jakie zwykle towarzyszy początkom zauroczenia.

ROZDZIAŁ 10

Grady'emu ciężko było trzeźwo myśleć, mając przy sobie Karen. W końcu postanowił zająć się tą podejrzaną historią z drutem kolczastym, gdyż była to jedyna rzecz na tyle intrygująca, że mogła odwrócić jego uwagę od leżącej obok kobiety.

Przy pierwszej okazji spróbuje sprawdzić Tate'a McDonalda, a potem każe prywatnemu detektywowi dotrzeć do właścicieli sąsiednich posiadłości. Któryś z nich musiał mieć coś przeciwko Karen. Albo przeciwko niemu. Skoro jednak w życiu nie spotkał McDonalda i ledwo znał Fletcherów i Oldhamów, musiało raczej chodzić o Karen. A zresztą, jakkolwiek było, powinien jak najprędzej rozwikłać tę zagadkę, zanim zaczną się poważne kłopoty.

Karen westchnęła cicho. Jej ciepły oddech musnął mu pierś, całkowicie go dekoncentrując. Pomyślał, że jak na razie to raczej jemu całkiem nieźle udawało się odwrócić jej uwagę od pewnych niewygodnych kwestii, nawet jeśli końcowy efekt był daleki od jego oczekiwań. Gotów był jednak czekać, aż Karen dojrzeje do miłości, bez względu na to, ile go to będzie kosztowało.

Karen jęknęła i mocniej się do niego przytuliła. Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając białą pierś, zakończoną różowym sutkiem. Grady ze ściśniętym gardłem walczył z pokusą. Zawsze był bardziej grzesznikiem niż świętym, dlatego zaczął się obawiać, że jeszcze chwila, a ulegnie silnemu pożądaniu, jakie budziła w nim Karen.

Potrząsnął nią delikatnie, żeby się obudziła, naciągnął prześcieradło, a kiedy rozspana otworzyła oczy, dostrzegł w nich miłe zaskoczenie, satysfakcję, a w końcu niepokój, gdy sobie uświadomiła, że zasnęła w jego ramionach. Jej reakcje dość dobrze odzwierciedlały ich wzajemne stosunki - te dziwną mieszaninę uczuć, która od tygodnia wytrącała Grady'ego z równowagi.

- Zdaje się, że zasnęłam - zaczęła Karen, podsuwając prześcieradło jeszcze wyżej. - Przepraszam.

- Nie.ma za co. I tak nie chciałbym być nigdzie indziej.

- Naprawdę? - zapytała z powątpiewaniem. - Przedtem jakby ci się gdzieś spieszyło. Ja wszystko pamiętam.

- Miałem nadzieję, że zapomnisz.- powiedział Grady z westchnieniem.

- Wprawdzie nieźle się starałam - przyznała - ale ja mam dobrą pamięć.

- To widać - rzekł, mając na myśli nie tylko swoje zachowanie przy kolacji, ale i uprzedzenia jej zmarłego męża.

- No więc? - zapytała.

Grady spojrział na nią z miną niewiniątka.

- Więc co?

- Nie udawaj głupka, Grady. - Karen szturchnęła go łokciem pod żebro. - Chcę wiedzieć, czemu byłeś taki markotny przy kolacji. Co zaszło, kiedy pracowałeś z Hankiem i Dooleyem? Czy chodzi o ogrodzenie? - Nagle ją olśniło. - Ktoś przeciął druty, tak?

Ta kobieta była zdecydowanie zbyt bystra, a Grady nie miał zamiaru jej okłamywać.

- Tak - potwierdził.

- Ale kto...?

Grady z ulgą zauważył, że nie obarczyła go z miejsca winą, i uznał to za pewien postęp.

- Znajdziemy go - powiedział. - Jak tylko wrócę do domu, zacznę działać, na początek wykonam kilka telefonów.

- Ach, to dlatego tak ci się spieszyło - domyśliła się Karen.

- Tak.

- Możesz zadzwonić stąd - zaproponowała. - Chcę usłyszeć, czego się dowiedziałeś.

Grady skinął głową i sięgnął po dzinsy. Kiedy skończył się ubierać, spojrzął na potarganą Karen, leżącą w pogniecionej pościeli. Z żalem pomyślał, że łóżko wygląda tak, jakby się kochali.

- Przepraszam - wyszeptła Karen, jakby czytając w jego myślach.

Grady nachylił się i mocno ją pocałował.

- Nie przepraszaj za to, że nie zrobiłaś czegoś, na co jeszcze nie jesteś gotowa. Ja poczekam.

- Poczekasz? - zapytała, patrząc mu w oczy.

- Na ciebie? Oczywiście, że tak.

- Ale ja nie mogę ci obiecać, że kiedykolwiek będę gotowa - oznajmiła z powagą.
- Będziesz, będziesz - zapewnił ją z przekonaniem, bo od dawną w nic tak mocno nie wierzył.

Karen nie od razu zeszła na dół. Potrzebowała trochę czasu, żeby się zastanowić nad tym, co się stało - jak również nad tym, do czego nie doszło. Chciała także zrozumieć, czemu Grady tak łatwo się z tym pogodził. To, że na nią nie naciskał, było dla niej pewnym zaskoczeniem. Dotąd uważała go za człowieka, który zwykł brać to, na co ma ochotę. Szczerze mówiąc, trochę na to liczyła. Spodziewała się, iż zlekceważy jej wahania, nie pozostawiając jej wyboru.

Tymczasem po raz kolejny jej opinia o Grady'm rozminęła się z rzeczywistością. Grady okazał się człowiekiem miłym, rozsądnym i przyzwoitym - przynajmniej w stosunku do niej. Czy to możliwe, że kiedykolwiek był złodziejem i łotrem, o co tak uporczywie oskarżał go Caleb?

Choć zachowanie Grady'ego zdziwiło Karen, jeszcze bardziej zaskoczyła ją jej własna reakcja. O mały włos, a byłaby się kochała z kimś, komu nie miała prawa ufać. Co więcej, wcale tego nie żałowała. A jeżeli już - to raczej tego, że nie dane jej było zaznać rozkoszy w jego ramionach.

Z jękiem ukryła twarz w dłoniach. Co się z nią dzieje? Jak mogła do tego dopuścić? Jak to możliwe, że sprawy zaszły tak daleko? I dlaczego nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia?

Na te pytania nie potrafiła sobie odpowiedzieć. A nawet gdyby spróbowała, odpowiedzi na pewno by jej się nie spodobały. Żeby już o tym dłużej nie myśleć, wyskoczyła z łóżka, wzięła szybki prysznic i zeszła na dół.

Grady odkładał właśnie słuchawkę. Minę miał ponurą.

- Wiesz już coś? - zapytała.

- Tylko tyle, że Tate McDonald jest bardzo zamożny, że reszta twoich sąsiadów jest zadłużona, ale nie bardziej niż przeciętni drobni ranczerzy, i że jeżeli ktokolwiek ma interes w tym, by cię zrujnować, to tylko ja. - Wzruszył ramionami. - Taka panuje powszechna opinia.

- Przecież oboje wiemy, że to nieprawda - powiedziała Karen.

Grady spojrzął jej w oczy.

- Ty też w to wierzysz?

Karen wolno skinęła głową.

- Wierzę - zapewniła go z przekonaniem, którego się sama po sobie nie spodziewała.

Na twarzy Grady'ego odmalowała się ulga. Delikatnie dotknął jej policzka.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj. Jeżeli o mnie chodzi, już się sprawdziłeś. I to nie raz. - Sięgnęła po dzbanek i nalała dwa kubki kawy. - Teraz powinniśmy się zastanowić, kto chce zniszczyć mnie, a przy okazji twoją reputację.

- Wydaje ci się, że to takie proste?

- Nigdy nie mówiłam, że to będzie proste - odparła, wyjmując z szuflady notes i długopis. - Musimy działać systematycznie.

- Skoro tak, to zacznę od szarlotki. Nie umiem myśleć z pustym żołądkiem - oświadczył Grady, a kiedy Karen chciała wstać, powstrzymał ją. - Sam przyniosę. Chcesz kawałek?

- Oczywiście.

Grady ukroił dwa spore kawałki i położył na nich po kulce lodów. Na widok rozmiarów obu porcji Karen się roześmiała.

- Widzę, że zamierzasz tu dość długo posiedzieć.

- Owszem - przyznał. - Do późna w nocy.

Karen z żalem pomyślała, że nie spędzą tej nocy w łóżku. Tak się oboje umówili, uznając, że to dla nich najlepsze wyjście. Przynajmniej na razie.

Odgryzła kawałek ciasta, rozkoszując się smakiem jabłka i cynamonu, a potem sięgnęła po długopis.

- Zacznijmy od McDonalda, bo on jest tu obcy. Czego się o nim dowiedziałeś?

- Tylko tego, co ci już mówiłem - że ma mnóstwo pieniędzy i zachciało mu się zabawić w ranczera.

- Miałeś z nim kiedykolwiek do czynienia?

- Nie, nigdy.

- Wobec tego możemy przyjąć, że to nie on, bo nie miał żadnych powodów.

- A ty? - zapytał Grady. - Miałaś z nim jakieś zatargi?

- W życiu go nie widziałam.

- Przejdźmy wobec tego do Fletcherów. Byli sąsiadami Hansonów od wielu lat. Czy zawsze dobrze ze sobą żyli?

- Zawsze - odparła Karen, ale nagle coś jej się przypomniało. - Mogły powstać pewne problemy, kiedy Caleb postanowił ze mną się ożenić. Myślę, że Maggie Fletcher

miała ochotę wydać się za niego, a jej ojciec także szczerze pragnął tego małżeństwa.

Grady ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Zazdrość jest dobrym motywem zemsty, ale trudno mi sobie wyobrazić Maggie podtrawającą czyjeś stado albo przecinającą druty. A co ty o niej sądzisz?

Karen pomyślała o kobiecie, która nie robiła tajemnicy z tego, że kochała się w Calebie. Wysoka i szczupła, o naturalnym sposobie bycia, Maggie traktowała Karen uprzejmie, choć z dystansem. Oczywiście nie mogło być mowy o tym, żeby się zaprzyjaźniły, bo nawet gdyby Caleb nie stanął między nimi, za bardzo się od siebie różniły. Maggie wciąż obnosiła się ze zboląłą miną, zwłaszcza od czasu gdy się przekonała, że nie zdobędzie ukochanego mężczyzny.

- Żal mi jej — powiedziała Karen. - Myślę, że nigdy nie zapomniła Caleba. Na jego pogrzebie była autentycznie załamana.

- Sądzisz, że mogłaby się na nim mścić za to, że się z nią nie ożenił?

- Nie - odparła Karen po namyśle. - Jeżeli już, to raczej na mnie, bo uważała, że to przeze mnie nie została jego żoną.

- Czyli mogła szukać teraz rewanzu - zasugerował Grady.

- Ale dlaczego? Co by jej to teraz dało? Przecież Caleb nie żyje.

- Może ciągle liczyła na to, że okażesz się złą żoną i Caleb zrozumie któregoś dnia swój błąd.

- Może - powiedziała Karen bez przekonania. - To

jednak nie wyjaśniałoby wcześniejszych incydentów. Tych, które miały miejsce za życia Caleba.

- A ojciec Maggie? Jego marzenia o połączeniu obu rodzin legły w gruzach. Nie chciał się nigdy odegrać na Calebie?

- Może - powiedziała Karen, ale trudno jej było sobie nawet wyobrazić, by Fletcherowie chcieli zniszczyć jej stado. - Zastanówmy się teraz nad Oldhamami. Słyszałam, że była kiedyś jakaś sprawa między nimi a Hansonami. Podobno poszło o dostęp do wody.

- I to trwa aż do dziś?

Karen potrząsnęła głową.

- Nie. Załatwili to między sobą całe wieki temu. Oldhamowie mogą od tamtej pory korzystać ze strumienia, który przepływa przez naszą posiadłość. Dziadek Caleba osobiście podpisał zgodę.

- Ale gdyby mieli te tereny na własność, problem zniknąłby raz na zawsze.

- To prawda.

- Wybiorę się do nich jutro - zdecydował Grady. - Może oni się boją, że będziesz chciała zerwać umowę.

- Pojadę z tobą - oświadczyła Karen. - W końcu chodzi o moje ranczo.

- Dobrze. Wybierzemy się zaraz po porannych obrzędach.

Na myśl o tym, że nie będzie już więcej musiała sama wszystkiego robić i walczyć o utrzymanie rancza, Karen zrobiło się ciepło na sercu.

Grady zmęczonym gestem potarł oczy.

- Późno już. Powiniennem się zbierać.

Przez moment chciała mu zaproponować nocleg w pokoju gościnnym, ale się rozmyśliła. Bała się, że nie starczy jej silnej woli, żeby mu się oprzeć. Dlatego zdecydowała, że pozwoli mu zostać na noc dopiero wtedy, kiedy będzie naprawdę gotowa.

- Przed tobą długa droga - powiedziała. - Może chcesz jeszcze jedną kawę?

. Grady potrząsnął głową.

- Nie. Im prędzej dotrę do domu i położę się do łóżka, tym wcześniej będę u ciebie jutro.

Karen odprowadziła go do drzwi. W progu Grady przystanął i pocałował ją w czoło.

- Obiecuję ci, że znajdziemy tego drania.

Ale co potem? Czy Grady pomagał jej rozwikłać tę zagadkę jedynie po to, żeby nie mieć już żadnych problemów, kiedy przejmie jej ziemię? To możliwe. Jednak w gruncie rzeczy nie wierzyła w jego interesowność i złą wolę.

Stwierdzenie, że lubi Grady'ego, zdumiało ją, a siła, z jaką go pragnęła, przstraszyła. Jednak prawdziwym wstrząsem było dla niej odkrycie, że mu ufa.

Bo o ile sympatia i pożądanie nie miały nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem czy logiką, o tyle do zaufania, zwłaszcza jeśli w grę wchodził odwieczny wróg, potrzeba było czegoś więcej. Znaczyło to, że po przeanalizowaniu faktów zarówno jej serce, jak i rozum uznały Grady'ego Blackhawka za człowieka godnego zaufania.

A jeśli się mylisz? - podpowiadał jej wewnętrzny głos. Jeśli Grady jest bardziej przebiegły i podstępny, niż mogłaś podejrzewać?

Wtedy przyjdzie jej za to zapłacić, a ceną będą niekończące się wyrzuty sumienia. Mimo to decyzja należy do niej, a nie do Hansonów czy nawet do Caleba.

We wszystkich sprawach dotyczących Grady'ego postanowiła zawierzyć swojej intuicji. A ona podpowiadała jej, że może i Grady chciał jej rancza, ale nigdy nie zrobiłby jej krzywdy.

Był jednak ktoś, kto pragnął jej zguby. Skoro o tym wie, musi dołożyć wszelkich starań żeby wykryć, kto to taki.

Mimo wewnętrznych oporów Karen zaczęła następny ranek od telefonu do rodziców Caleba. Teściowie na pewno wiedzieli znacznie więcej od niej o dawnym sporze Oldhamów z Hansonami. Mogli też powiedzieć coś o niespełnionych nadziejach Maggie Fletcher.

Słuchawkę podniósł ojciec Caleba. Karen odetchnęła z ulgą. Oszczędzi jej to wysłuchiwanie litanii obelg pod adresem Grady'ego. Mogła przy tym liczyć na szczerą, rozsądną odpowiedź.

- To stara historia, ale widocznie masz swoje powody, skoro pytasz - powiedział Carl Hanson.

- Parę dni temu ktoś przeciął druty w ogrodzeniu przy szosie - poinformowała go Karen.

- Jeżeli chciał spowodować prawdziwe straty, to wybrał dziwne miejsce, nie uważasz? Myślę, że chodziło mu raczej o to, żebyś się jak najszybciej dowiedziała.

Coś takiego nie przyszło Karen wcześniej do głowy, ale teść miał rację. Ktoś, kto naprawdę zamierzał narazić ją na poważne straty, powinien przeciąć druty w takim miejscu, by jak najpóźniej odkryła szkodę.

- Co to może znaczyć? - zapytała. - Czy to miało być ostrzeżenie?

- Może. Albo jakiś głupi kawał.

- Gdyby chodziło tylko o ten raz, byłabym skłonna w to uwierzyć. Pomyśl jednak o tych wszystkich przypadkach z przeszłości.

- Może ktoś chciał rzucić podejrzenia na Grady'ego - zasugerował teść.

- To brzmi sensownie - przyznała. - Kto mógłby coś na tym zyskać? Czy ktoś jeszcze prócz Grady'ego zgłaszał kiedykolwiek chęć kupna tego rancza? A Oldhamowie? Czy byliby w stanie kupić je, żeby sobie zabezpieczyć dostęp do wody?

- Nie. Chyba że trafiłyby im się jakiś większy przypływ gotówki. Poza tym, to bezterminowa ugoda, więc nie muszą się niczego obawiać.

- A Maggie Fletcher? - zapytała Karen po chwili wahania.

Teść westchnął.

- No tak, Maggie. To przykra sprawa. Jej ojciec bardzo liczył na to, że wyjdzie za Caleba. Chciał połączyć oba rancza. Nie wiem, które z nich było bardziej zawiedzione, kiedy Caleb wybrał ciebie. Stary Fletcher uważał, że to jej wina, bo nie okazała się dość sprytna, żeby złapać Caleba. Moim zdaniem, to było chamstwo z jego strony.

- Czy Maggie mogła mnie aż tak bardzo znienawidzić, żeby umyślnie niszczyć moje ranczo?

- Ona nie, ale jej ojciec... Kto wie? Nie dałbym za niego złamanego centa. Już po tych pierwszych przypadkach mówiłem Calebowi, żeby miał na niego oko, ale

wiesz, jaki był mój syn. Nie chciał w to uwierzyć. A raczej wolał wierzyć, że stoi za tym Grady.

Słuchając go, Karen nie po raz pierwszy odniosła wrażenie, że nienawiść między Calebem a Gradym musiała mieć głębsze podłoże.

- Czy między Calebem a Gradym zaszło coś, o czym nie wiem? - zapytała.

Teść zawahał się.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Caleb miał uprzedzenia w stosunku do Grady'ego. Czy chodziło tylko o ranczo, czy może o coś więcej?

- Wiem tylko o ranczu - odparł niechętnie teść, a Karen nabrała podejrzeń, że coś przed nią ukrywa.

Rozmyślała o tym jeszcze długo po tym, jak odłożyła słuchawkę. Kiedy Grady przyjechał na ranczo, postawiła przed nim kawę i nim zdążył zaprotestować, wskazała mu krzesło.

- Muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi - zwróciła się do niego.

- W porządku. Pytaj.

- Jak dobrze znaliście się z Calebem?

- W ogóle się nie znaliśmy - obruszył się Grady.

- Ach, daj spokój. Musieliście się znać. Wiem, że kontaktowałeś się z nim parokrotnie w sprawie kupna rancza.

- Ale to nie znaczy, że go znałem. To mój adwokat zwracał się do niego listownie w tej sprawie.

Karen spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- I nigdy się nie spotkaliście?

- Nigdy.

- On cię nienawidził. A tak głęboka niechęć nie bierze się tylko z korespondencyjnego sporu o kawałek ziemi.

- Pewni ludzie reagują bardzo gwałtownie tam, gdzie w grę wchodzi ich własność - zauważył Grady.

Karen uważnie mu się przyjrzała.

- Jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć, prawda? Carl Hanson okazał się w tej sprawie równie mało-mówny.

- Pytałaś go? - zdumiał się Grady.

- Dziś rano. I on też się wykręcił od odpowiedzi.

- Wcale mu się nie dziwię - sucho stwierdził Grady.

- Co to ma znaczyć?

- Daj spokój. To już nieważne. Gdyby Caleb chciał, żebyś o tym wiedziała, toby ci powiedział. Tak samo jak Carl.

- Ale ty tu jesteś, a ich nie ma. Powiedz mi - nie ustępowała - co mój mąż miał przeciwko tobie? Czemu tak bardzo mu zależało, żebyś nie dostał tej ziemi?

- To proste - odparł, nie patrząc jej w oczy. - Bo należała do niego, a on był człowiekiem bardzo zaborczym.

- Mówimy o ziemi, ale czuję, że chodzi o coś więcej. Poznać to po twoich oczach.

- Tak ci się tylko wydaje.

- Niech cię diabli, Grady! - zirytowała się Karen. - Po-wiesz mi czy nie? A może poszło o kobietę?

Grady ciężko westchnął.

- Owszem. Ale nie tak, jak myślisz - powiedział w końcu.

- Mówisz zagadkowym językiem - zarzuciła mu.

Grady przygryzł wargi.

- To rodzinna cecha. Mój dziadek także mówi zagadkami, kiedy nie chce odpowiedzieć na pytanie.

- Będę wobec tego powtarzać to pytanie tak długo, póki mi nie odpowiesz. Więc lepiej załatwmy to teraz.

- Niech ci będzie - zgodził się niechętnie Grady. - Chodziło o mojego ojca i Annę Hanson.

Karen osłupiała.

- O matkę Caleba?!

Grady bez słowa pokiwał głową.

- Jak to? Kiedy? Zanim wyszła za Carla?

- Niestety nie. Znacznie później. Chcieli nawet razem uciec.

Karen nie wierzyła własnym uszom.

- Anna Hanson zamierzała zostawić rodzinę dla twojego ojca?

- Byliby wyjechali, gdyby mój ojciec nie zginął w wypadku. Jechał po nią, ale był spóźniony, bo po drodze zatrzymał się, żeby mi powiedzieć, czemu nie będzie go w domu. Anna Hanson obwiniała mnie później o jego śmierć. To irracjonalne, ale nie potrafiła dostrzec w tym swojej winy.

- Mój Boże! - wyszeptała Karen. - Czy Caleb wiedział?

Grady pokiwał głową.

- Wiedział. Widział ich razem i znalazł jej spakowane walizki.

- A Carl?

- On też wiedział, ale zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Myślę, że w grę wchodziła jego męska duma.

Dlatego udawał, że Anna nigdy nie miała zamiaru uciec z moim ojcem. Żyli potem dalej, jakby nigdy nic.

Karen pomyślała o swoim mężu i o spojrzeniach, jakimi obrzucał od czasu do czasu matkę, a także o wyczuwalnym napięciu między nim a ojcem. Caleb nie potrafił oskarżyć żadnego z rodziców o to, co się stało. A skoro Charlie Blackhawk już nie żył, całą winę zrzucił na Grady'ego. Cały swój gniew i nienawiść skierował na osobę równie niewinną, jak on sam.

- A twoja matka? - zapytała Grady'ego. - Jak ona to wszystko przyjęła?

- Ona nie umiała tak dobrze udawać. Sięgnęła po alkohol. Nie wiem, czy przez ostatnie lata życia była trzeźwa choćby przez minutę. Aż w końcu zapiła się na śmierć.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Dziewiętnaście.

- A kiedy tamto się stało?

- Dziewięć.

- To znaczy, że Caleb miał trzynaście.

- To wiek, w którym chłopcy przeżywają burzę hormonów. Myśl o seksie rodziców budzi w nich wewnętrzny sprzeciw. Dlatego Caleb nie mógł znieść tego, że jego matka mogłaby żyć z innym mężczyzną tak jak z ojcem.

- Ale żeby winić o to ciebie? - powiedziała Karen.
- Jak on mógł?

- To sprzeczne z logiką, chyba że ktoś wierzy, iż winy ojców spadają na synów. Nie sądzę, by Caleb rozumował w ten sposób. Po prostu byłem wtedy łatwym celem jego tłumionej wściekłości, której nie potrafił wyładować na prawdziwych winowajcach.

Tłumiona wściekłość... Karen zaczęła się zastanawiać, czy to nie ona zniszczyła Caleba. Czy to możliwe, żeby po tylu latach serce pękło mu z tego powodu?

Mimo smutku, poczuła ulgę, że rodzinna tajemnica wyszła wreszcie na jaw. Dzięki temu mogła spojrzeć na wszystko pod innym kątem. Teraz wiedziała już, że opinia Caleba o Gradym była z gruntu fałszywa. Czy nie to miała na myśli Stella, kiedy ostatnio rozmawiały? Kto jak kto, ale ona musiała przecież znać tę historię.

Może gdyby Caleb poznał bliżej człowieka, którego uważał za wroga, zrozumiałby, że obaj byli ofiarami.

Scandalology

ROZDZIAŁ 11

Zanim Karen i Grady uporali się z codziennymi obowiązkami na tyle, by móc jechać do Fletcherow i Oldhamów, minęło południe. Waśnie mieli wyruszać, kiedy usłyszeli na dworze jakiś ruch. Grady otworzył drzwi i zobaczył wzburzonego Dooleya na spienionym koniu.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Karen. - Gdzie Hank?

- Zostawiłem go na pastwisku. - Dooley spojrział na Grady'ego. - Mogę z panem zamienić słówko?

- Chwileczkę! - zaprotestowała Karen. - Jeżeli masz coś do powiedzenia, powiesz to mnie. Co się dzieje? Coś się stało Hankowi?

- Nie - odparł Dooley z rezygnacją. - Chodzi o tego byka, którego pani niedawno kupiła. Coś mu jest.

Karen zbladła. Był to kolejny cios, a przecież tyle ich ostatnio zniosła.

- Ale co z nim? Zachorował?

- Nie, nie jest chory - odrzekł Dooley - tylko ktoś go postrzelił.

- Postrzelił? - Karen jęknęła. - Ale kto? To był wypadek?

- Nie. Chyba pani nie wierzy, że ktoś ćwiczył strzela-

nie na naszym pastwisku, a ten byk się przypadkiem napa-toczył - powiedział Dooley. - Według mnie ktoś w niego celował.

- Żyje? - wtrącił się Grady.

- Ledwo, ledwo.

- Zadzwońię po weterynarza. - Karen odzyskała już swój zwykły spokój.

Kiedy zniknęła w domu, Grady spojrział na Dooleya.

- Są szanse, że przeżyje?

- Są, ale marne. Przeklęty drań nieźle go urządził. Moim zdaniem wzywanie weterynarza to strata czasu i wyrzucony pieniądz.

- Jednak trzeba spróbować, inaczej Karen nigdy by sobie tego nie wybaczyła - stwierdził Grady. - Osiodłam konie i pojedę z nią. Możesz tu zaczekać na weterynarza i przyprowadzić go na pastwisko?

- Dobrze - zgodził się Dooley - a potem pomogę wam złapać tego łobuza. Szefowa tak liczyła na tego byka. Chciała rozbudować stado. Dała za niego masę pieniędzy.

- Teraz to nie jest najważniejsze - zauważył Grady.

- Mogę jej zaproponować swoje byki. Jestem pewny, że Frank Da vis też jej chętnie pomoże. - Spojrział Dooleyowi w oczy. -1 jeszcze jedno. Od dziś Karen nie śmie opuścić rancza bez eskorty jednego z nas.

- Rozumiem - odparł Dooley z posepną miną. - Kiedy pana nie będzie w pobliżu, Hank i ja będziemy jej pilnować, choćby jej się to nie podobało.

Grady uśmiechnął się.

- Na pewno nie będzie jej się to podobało.

- No tak. - Dooley także się uśmiechnął. - Ta kobieta uparła się, że sama sobie ze wszystkim poradzi. I tak jest od śmierci Caleba.

- Myślę, że czegoś takiego się nie spodziewała - powiedział Grady. - Z tego, co mówisz, wynika, że ten, kto zranił byka, miał wyraźnie złe zamiary. Nie będę siedzieć z założonymi rękami i czekać, co mu jeszcze strzeli do głowy. Uważam, że czas zawiadomić szeryfa.

- Boję się, że ona panu za to nie podziękuje - zauważył Dooley.

Delikatnie powiedziane, pomyślał Grady, ale nie mógł się przejmować reakcją Karen. Teraz najważniejsze było jej bezpieczeństwo.

- Po naszym odjeździe zadzwoń do szeryfa i powiedz mu o wszystkim - polecił Dooleyowi.

- Myśli pan, że w ten sposób się panu upieczą? Pan się grubo myli. Oczywiście zadzwonię. Niech pan lepiej osiodła konie, zanim ona wyjdzie z domu i zacznie nas wypytywać, czemu gadamy, skoro sytuacja jest poważna.

Dooley, jak widać, chętnie wszedł w rolę konspiratora i obrońcy. Grady uśmiechnął się do niego.

- Dobrze mieć w pobliżu kogoś takiego jak ty, Dooley.

Starszy mężczyzna pokiwał głową z miną, jakby mu się to uznanie należało.

- Miałem pewne wątpliwości, kiedy zaczął się pan tu kręcić, ale teraz widzę, że nie jest pan aż taki zły.

- Co to jest? Kółko wzajemnej adoracji? - zakpiła Karen, kiedy po powrocie zastała ich w tym samym miejscu, w którym ich zostawiła. Najwyraźniej usłyszała koniec rozmowy. - Weterynarz jest już w drodze. Chodźmy, Gra-

dy. Chcę jak najprędzej dotrzeć na pastwisko. Może uda się jeszcze coś zrobić przed jego przyjazdem.

Niestety, nie dało się już nic zrobić. Kiedy dotarli na pastwisko, byk nie żył. Hank na próżno próbował zatamować krew.

Karen, zdruzgotana, ukłękła przy zwierzęciu i pogłaskała jego zakrwawioną pierś.

- Niech piekło pochłonie tego, kto to zrobił - wyszeptowała, a łzy pociekły jej po policzkach. - Bez względu na to, czy to był wypadek, czy nie.

Grady spojrzął na Hanka, który dyskretnie potrząsnął głową, potwierdzając tym samym podejrzenia Dooleya. Kiedy przyjrzał się bykowi, dostrzegł na jego piersi trzy wyraźne ślady po kuli. Jeden postrzał mógł być przypadkowy, ale trzy? Z całą pewnością nie.

Słyszac tętent, podniósł wzrok. To Dooley zdążył już sprowadzić szeryfa i jechali teraz we trójkę, wraz z niepotrzebnym już weterynarzem.

Karen podniosła się sztywno z ziemi. Na jej pobladłych policzkach wykwitły czerwone plamy, z oczu wyzierał gniew. Na widok szeryfa na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Co ty tu robisz, Michael? - zapytała.
- Dooley do mnie zadzwonił. Powiedział, że są jakieś kłopoty.
- Ktoś przypadkiem postrzelił mojego nowego byka.
- To nie był wypadek - odezwał się Grady, udając, że nie widzi miny Karen.
- Ach tak? - zainteresował się Michael Dunn i podszedł bliżej, żeby obejrzeć martwe zwierzę. - Trzy ślady

po kuli. Masz rację, Blackhawk. To nie był przypadek.
- Spojrzał na Karen. - Czemu mi nigdy nie powiedziałaś, co się tu dzieje? Słyszałem, że wydarzyło się kilka podobnych historii.

Karen spojrzała groźnie na Dooleya, a potem zwróciła się do szeryfa:

- To nie było nic poważnego. Ktoś przeciął druty w ogrodzeniu.

- A zaraza, która zaatakowała stado? - dorzucił Dooley. - To było rok temu. Wtedy też ktoś przeciął druty. A później pożar na pastwiskach.

- Macie jakieś podejrzenia, kto to mógł być? - zapytał Michael, zerkając dyskretnie na Grady'ego.

- Nie ja, jeżeli o to ci chodzi - burknął Grady.

- To żadna tajemnica, że chcesz mieć tę ziemię.

- I żadna tajemnica, że zaproponowałem za nią godziwą cenę.

- To prawda - wtrąciła Karen.

- Słyszałem, że mu odmówiłaś - powiedział szeryf.

- Tak, ale...

Michael uciał protest Karen w pół zdania.

- A to znaczy, że on miał powody, żeby ci wyciąć kilka takich numerów. Chciał cię zmusić, żebyś zmieniła zdanie.

- Nie masz prawa wyciągać takich idiotycznych wniosków! - oburzyła się Karen. - To nie Grady. Poza tyra, on był u mnie, kiedy ktoś postrzelił byka.

- Mógł komuś zapłacić - odparował szeryf.

- To po co kazałby mi dzwonić? - odezwał się Dooley, a kiedy Grady zgromił go wzrokiem, dodał: - Lepiej, żeby

ona zmyła panu za to głowę, niż żeby szeryf wsadził pana za kratki.

- Może tak, a może nie - powiedział Grady, kiedy Karen odwróciła się do niego.

- A więc to ty kazałeś wezwać szeryfa?

- Rzeczywiście to był mój pomysł - przyznał.

- Świetny - syknęła. - Nie wiedziałeś, że to się tak skończy?

- Myślałem, że szeryf okaże się bardziej rozumny. - Grady spojrzał wymownie na Michaela.

- Och, na miłość boską! Od kiedy to stróże prawa mają być rozumni! - wykrzyknęła Karen. - Oni chcą po prostu jak najszybciej rozwiązać prośnierni zakończyć sprawę.

- Raczej chcemy przyskrzynieć właściwego człowieka - poprawił ją Michael.

- Nie dowiodłeś tego - zaproponowała Karen. - Przynajmniej nie podczas tych ostatnich dziesięciu minut.

Michael westchnął.

- Może wrócimy do domu, żeby to spokojnie przedyskutować?

- Rzeczywiście, fantastyczny plan - prychnęła Karen. Grady spojrzał na nią z uśmiechem.

- Kochanie, wygląda na to, że wygrałaś. Mogłabyś w tej sytuacji okazać większą łaskawość.

- W tej chwili nie jestem w nastroju. Prawdę mówiąc, jestem wściekła. Czuję, że zaraz posypią się głowy.

- Masz kogoś konkretnego na myśli?

- Oprócz ciebie? - zapytała ze słodkim uśmiechem.

- Michaela i Dooleya?

- To już chyba wszyscy-roześmiał się Grady.

- To nie jest ani trochę śmieszne.

Grady z miejsca spowaźniał.

- Ta cała sytuacja - oczywiście że nie. Ale ty? Ty to co innego.

- Przestań! - syknęła Karen. - Jeszcze jedno słowo, a będziesz martwy jak ten biedny byk.

Dooley parsknął śmiechem, ale szybko się zreflektował i zakrył usta dłonią.

- Na twoim miejscu miałabym się na baczności - huknęła na niego Karen. - Jesteś następny na mojej liście.

- Ja? A co ja takiego zrobiłem? - zapytał Doley z urażoną miną.

- Sprowadziłeś szeryfa.

- Ktoś musiał to zrobić - odparł Dooley. - Pan Grady miał rację. Najwyższy czas.

Grady delikatnie dotknął policzka Karen.

- Sama dobrze wiesz, że tak - powiedział cicho.

Karen głośno westchnęła, a potem pokiwała głową.

- Może i tak, ale nie musi mi się to podobać.

- Wcale nie musi, kochanie - zgodził się Grady. - Absolutnie nie musi.

Po powrocie do domu Karen była tak roztrzęsiona, że wszystko leciało jej z rąk. Stłukła kubek, a kiedy Grady nie pozwolił jej posprzątać, tylko sam to zrobił, wzięła się za nastawianie ekspresu, rozsypując przy tym kawę na podłogę.

Gdy Grady nakrył dłonią jej dłoń, łzy napłynęły jej do oczu.

- Usiądź - powiedział. - Ja zrobię kawę, ty musisz coś zjeść. Pora lunchu dawno minęła.

- I tak niczego bym nie przełknęła. Muszę coś z tym wszystkim zrobić - powiedziała drżącym głosem. - Bo jeśli nie, to już po mnie. To był gwóźdź do trumny. Nie będę w stanie utrzymać rancza.

- Będiesz, jeżeli zechcesz - zapewnił ją Grady.
- Nie stać mnie na kupno drugiego takiego byka.
- Ubezpieczenie pokryje koszty.

Karen potrząsnęła głową.

- Nie odnowiłam polisy.

- No to ci pożyczę kilka moich byków. Albo Frank Davis da ci jednego. Cole na pewno będzie nalegał, żebyś go wzięła.

- Nie chcę, żeby Cassie wciągała w to Cole'a czy teścia. Wolałabym również nie uzależniać się od ciebie jeszcze bardziej.

- W sytuacjach szczególnych ludzie sobie pomagają. Dobrze o tym wiesz. Ty zrobiłabyś to samo, gdyby któryś z twoich sąsiadów znalazł się w potrzebie.

- Oczywiście że tak, ale...

- Żadne „ale” - przerwał jej Grady. - A teraz proponuję, żebyś ukroiła szeryfowi kawałek tej wczorajszej szarlotki, chociaż wcale nie jestem pewny, czy powinno ci się dawać do ręki nóż.

- Bardzo śmieszne - burknęła Karen, sięgając po talerzyk.

Już bez przygód udało jej się pokroić ciasto, pewnie dlatego, że chciała udowodnić Grady'emu, że się myli. Postawiła talerzyk przed Michael'em, a potem zaczęła krążyć nerwowo po pokoju.

- Usiądź wreszcie - powiedział szeryf.

- Nie mogę. Jestem zbyt podminowana.
- Jak chcesz. Może wobec tego zaczniemy od początku. Opowiedz mi, ale po kolei, co się tu działo.

Karen podała mu skróconą wersję wydarzeń, nie wspominając jednak o podejrzeniach wobec sąsiadów. Niestety, Grady nie okazał się równie dyskretny i opowiedział szeryfowi o dawnych sporach oraz późniejszych pretensjach.

Kiedy skończył, Michael pokiwał głową.

- Rozumiem. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.
- Spojrzał wymownie na Grady'ego. - A ty trzymaj się z daleka. Teraz to już jest oficjalne śledztwo. Nie chcę, żeby się do tego mieszały amatorzy.

- Jak sobie życzysz - powiedział Grady.

Karen zacisnęła usta. Nie chciała kłamać, bo wiedziała, że nie ma takiej siły, która by ją powstrzymała. Bo to jej byk leżał teraz martwy na pastwisku i to jej ranczo stało się celem ataków.

- Nie usłyszałem, że się zgadzasz. - Michael wbił w nią wzrok.

- Zrozumiałam, co powiedziałeś.

- To nie to samo. Chcę od ciebie usłyszeć, że nie będziesz przeprowadzała śledztwa na własną rękę.

- Jaki jesteś bystry, że to zauważyłeś. - Prawdę mówiąc, Karen była zaskoczona, że wychwycił tę subtelną różnicę.

- Ostrzegam cię, Karen. - Szeryf zrobił groźną minę.
- Trzymaj się z daleka od tej sprawy.

- Słyszę - powtórzyła.

Szeryf westchnął ciężko, a potem zwrócił się do Grady'ego:

- Dopilnuj, żeby się nie mieszała. Jeżeli zaczniesz stawać za dużo pytań, ten, kto za tym stoi, może uznać, że mu zagraża.

Grady pokiwał głową.

- Zrobię, co się da. Nie spuszczę jej z oczu nawet na minutę.

Michael uznał, że bardziej zadowolającej odpowiedzi nie uda mu się uzyskać.

- Będziemy w kontakcie - powiedział.

Ledwo zniknął, Karen sięgnęła po żakiet.

- A ty dokąd? - zapytał Grady. - Słyszałaś, co mówił szeryf?

- A ty słyszałaś, co ja powiedziałam - albo raczej czego nie powiedziałam. Chcę się zobaczyć z Maggie Fletcher. A potem wybieram się do Oldhamów, tak jak to mieliśmy w planie. No to jak, jedziesz ze mną czy nie?

- Może jednak zmienisz zdanie?

Potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała kategorycznym tonem. - Nie zmienię zdania.

Grady westchnął z rezygnacją i sięgnął po kurtkę.

- No to jedźmy. Mam nadzieję, że nie zderzymy się z szeryfem dziesięć minut po tym, jak nas ostrzegął, żeby mu nie wchodzić w paradę.

- On najpierw pojedzie do Oldhamów, bo mieszkają najbliżej. Dlatego my wybierzemy się do Maggie.

- A jeżeli spotkamy się na szosie?

- Póki jesteśmy na szosie, a nie na jej prywatnej drodze, niczego nam nie udowodni - stwierdziła Karen.

Grady roześmiał się.

- Spryciara z ciebie. Muszę przyznać, że mi się to nawet podoba.

Po raz pierwszy tego dnia wąły uśmiech rozjaśnił twarz Karen.

- Wiedziałaś, że kręcisz się tu z jakiegoś powodu.

- Możesz mi nie wierzyć, kochanie, ale jestem tu z wielu powodów. - Znacząco spojrział jej w oczy. - A ten bynajmniej nie figuruje na czele listy.

Karen chciała wyjaśnić sprawę listy, ale czas nie był stosowny. Zdecydowała, że zapyta go później, bo musi się dowiedzieć, czym - poza swoją ziemią - mogła zainteresować mężczyznę takiego jak Grady.

Maggie Fletcher nie wyglądała zbyt dobrze. Jej rumiana kiedyś cera nabrała ziemistego odcienia, a krótko przycięte włosy wyglądały tak, jakby ciągle przeczesywała je nerwowo palcami. Oczy, niegdyś lśniące i piwne, były teraz matowe i bez wyrazu. A jednak na widok Karen wysiadającej z furgonetki Grady'ego pojawił się w nich błysk ożywienia.

- Czego chcesz? - zapytała, nie zwracając uwagi na Grady'ego.

- Musimy porozmawiać - odparła Karen.

- Niby dlaczego? - Maggie nie ukrywała wrogości.

- Chodzi o Caleba.

Maggie na moment pociemniały oczy, ale znowu załśniły żywszym blaskiem.

- Nie będę z tobą rozmawiać o Calebie. To przez ciebie umarł.

Karen zachnęła się, ale nie zamierzała ustąpić.

- Przykro mi, że tak myślisz.

- Niestety, to prawda - nie ustępowała Maggie.

Pod ciężarem tego oskarżenia Karen skuliła ramiona, ale wciąż nie rezygnowała.

- Wiem, że był ci bliski — powiedziała cicho.

- Ja go kochałam! - wybuchnęła Maggie. - Byliśmy dla siebie stworzeni. To było nam pisane. - Tłumiona latami nienawiść znalazła wreszcie ujście w potoku słów. - To ty go zabiłaś! Zamiast mu pomóc, swoimi zachciankami wpędziłaś go przedwcześnie do grobu.

- Nie miałam żadnych zachcianek - broniła się Karen.

- Harówka na ranchu to był jego wybór. Ta ziemia była dla niego wszystkim.

- Ale dla ciebie niczym - prychnęła Maggie. - Mówił mi, że jej nienawidziłaś, i chciałaś, żeby ją sprzedał.

Karen zachwiała się, jakby miała upaść. Grady zrobił krok w jej stronę, a ona uchwyciła się jego ramienia.

- Nieprawda - wyszeptała. - Nigdy mu nie mówiłam, żeby ją sprzedał. Jeżeli tak ci powiedział, to kłamał.

- Ach, tak? - odparowała Maggie zjadliwym tonem.

- To dlaczego jesteś teraz z nim? - Wymownie spojrzała na Grady'ego. - Wszyscy wiedzą, że on chce przejąć tę ziemię. Jestem pewna, że już się nie możesz doczekać pieniędzy, żeby się wypuścić na jedną z tych twoich wybieżek, o których tyle mówiłaś. Wiesz, jak Caleb się zadreślał, że nie było go stać na to, żeby gdzieś z tobą pojechać?

Karen zbladła jak ściana.

- Ja... ja muszę usiąść.

- To wsiadaj do tego pudła i zjeżdżaj! - zawołała Maggie. - Nie masz tu czego szukać.

Przez moment wydawało się, że Karen jednak zostanie, by zadać Maggie te wszystkie pytania, które przygotowała, ale zrezygnowała. Przybita, odwróciła się i ruszyła do wozu. Grady posadził ją wygodnie i włączył ogrzewanie, a potem wrócił do Maggie.

- Ile czasu spędzałaś z Calebem, kiedy był mężem Karen? - zapytał. - Romansowaliście czy tylko chciałaś, żeby Karen w to uwierzyła? Jakby jeszcze miała za mało trosk?

Maggie zmieszała się i nie odpowiedziała.

- Tak właśnie myślałem. Jesteś okrutna. Nic dziwnego, że Caleb wybrał Karen, a ciebie zostawił.

Obrócił się na pięcie i ruszył do furgonetki.

- Niech cię diabli, Blackhawk! - krzyknęła za nim Maggie. - I ciebie też, ty nadęta krowo. Mam nadzieję, że już niedługo będziesz gryzła ziemię jak Caleb. A im prędzej, tym lepiej.

Wsiadając do wozu, Grady wziął głęboki oddech i dopiero potem spojrzał na Karen. Była blada i roztrzęsiona.

- Nie wiedziałam... - szepnęła.

- To był stek kłamstw - zapewnił ją. - Caleb nigdy jej nie odwiedzał i z niczego jej się nie zwierzał.

- O tym wiem, ale nie zdawałam sobie sprawy, że tyle w niej goryczy, tyle nienawiści. - Nagle wstrząsnął nią dreszcz.

Grady trzymał jej zgrabiące dłonie w swoich, póki znów się nie rozgrzały.

- To mogła być ona, Grady. Jest na tyle szalona, że mogła zrobić to wszystko - nawet zabić byka.

- Jeżeli dla nas jest to oczywiste, będzie też oczywiste dla szeryfa. Niech on się nią zajmie.

- Ja już na pewno tu nie wrócę - powiedziała Karen.

- To dobrze, bo ona jest gotowa zrobić ci krzywdę, żeby pomścić śmierć Caleba.

- Chyba by się do tego nie posunęła - powiedziała Karen z mniejszym przekonaniem niż przed godziną.

- Lepiej nie ryzykować - stwierdził Grady. - Trzymaj się od niej z daleka.

Karen odwróciła się z westchnieniem i spojrzała przez okno. Tak przybitej Grady nie widział jej od pogrzebu męża.

W nagłym odruchu zawrócił w stronę Winding River. Karen nawet tego nie zauważyła, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że potrzeba radykalnych środków, by ją podnieść na duchu. Poza tym, powinna coś zjeść. A jedynym miejscem, gdzie można było liczyć na jedno i drugie, był lokal Stelli.

Karen ocknęła się dopiero wtedy, gdy wjechali na przedmieścia. Zwróciła się do Grady'ego:

- Co my tu robimy?

- Jedziemy do Stelli na obiad. Dziś podają klops. Masz jakieś obiekcje?

- Nie - odparła bezdźwięcznie.

Kiedy weszli do lokalu, Karen poszła prosto do stolika na tyłach sali, a Grady odwołał Cassie na bok.

- Mogłabyś tu ściągnąć na obiad Ginę, Cole'a i resztę towarzystwa? Karen miała dziś bardzo ciężki dzień.

Cassie bez wahania pokiwała głową. Nie zadawała zbędnych pytań. Wystarczyło jej, że przyjaciółka potrzebowała pomocy.

- Emma także jest w mieście. Będą tu za kwadrans, a ja poproszę Stellę, żeby mnie zastąpiła. - Spojrzała z uwagą na Grady'ego. - Zależy ci na niej, prawda?

Grady nie miał ochoty rozmawiać o uczuciach, których sam nie zdążył jeszcze przeanalizować. Jednak na twarzy Cassie nie dostrzegł ani podejrzliwości, ani dezaprobaty.

- Tak - przyznał. - Bardzo mi na niej zależy.

- To dobrze. - Cassie pokiwała głową. - To znaczy, że nie będziemy musiały cię zabić.

- Co za ulga - roześmiał się Grady.

- Prawda? - Cassie odpowiedziała uśmiechem. - A teraz idź już do niej, a ja wezwę posiłki.

- Dobra z ciebie przyjaciółka - powiedział Grady z wdzięcznością.

- Owszem - przyznała Cassie. - Ale ty też jesteś jej przyjacielem. Czy to nie miłe, że Karen ma aż tylu przyjaciół?

Dla Grady'ego było to naprawdę pokrzepiające odkrycie. Z natury samotnik, wmówił sobie przed laty, że nie potrzebuje nikogo — może poza dziadkiem.

Kiedy jednak patrzył, jak Gina, potem Emma, a na koniec Cole i Cassie siadają przy stoliku na tyłach sali, gdy widział, jak na twarzy Karen pojawia się cień uśmiechu, kiedy wreszcie usłyszał jej śmiech, po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie ma przyjaciół.

ROZDZIAŁ 12

Dzień, który zaczął się tak feralnie, miał się zakończyć całkiem miło. Karen powiodła wzrokiem po pełnych życzliwości twarzach i zrobiło jej się różniej na sercu. Była zdumiona, kiedy pojawiła się Gina, a po niej Emma. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją przybycie Cole'a. Dopiero kiedy zauważyła, że Grady mruga znacząco do Cassie, zrozumiała, że to za jego sprawą przyjaciółki znalazły się przy niej w chwili, gdy ich najbardziej potrzebowała.

Chwyciła go za rękę.

- Dziękuję - szepnęła mu do ucha.

- Za co? - zapytał z miną niewiniątka.

- Za to, że odgadłeś, co mi dobrze zrobi. I że to dla mnie zorganizowałeś.

- Ja tylko zamieniłem parę słów z Cassie. - Grady wzruszył ramionami.

- I oczywiście powiedziałaś jej, że miałam okropny dzień.

- Coś w tym rodzaju - przyznał z zażenowaniem. - A ona załatwiła resztę.

- Jesteś bardzo domyślny, Grady - powiedziała, choć zdążyła już zauważyć, że jej pochwały wprawiają go w zakłopotanie. — Poza tym, podejrzewam że wcale nie było to

dła ciebie takie łatwe. Musiałeś przecież zadać sobie pytanie, jak na nasz widok zareagują moje przyjaciółki.

- Dlatego, że wszystkie przyjaźniły się z Calebem? - spytał Grady. - No cóż, uznałem, że jakoś sobie z nimi poradzę. Zresztą, jak na razie zachowują się dość powściągliwie.

- Pewnie Cassie je ostrzegła, bo nie chciała, żebym się jeszcze bardziej zdenerwowała. Nastrój mi się wyraźnie poprawił, więc miej się na baczności. - Rozejrzała się, a potem dodała konspiracyjnym szeptem: - Emma ma w oczach ten słynny błysk, jak zwykle, kiedy zamierza przygwoździć przeciwnika.

Grady popatrzył na Emmę. Pani adwokat mierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Chyba wyjdę załatwić kilka telefonów - mruknął i zaczął się podnosić od stolika.

- Nie rób tego - poprosiła Karen. - Nie chcę, by sobie pomyślała, że jesteś tchórzem.

- To nie tchórzostwo, to po prostu przezorność. Nie zamierzam popsuć wam humorów, a obawiam się, że za chwilę będę musiał powiedzieć twojej przyjaciółce, żeby się nie wtrącała i pilnowała swoich spraw. Mogłaby się obrazić.

Karen roześmiała się.

- Jeżeli myślisz, że ją tym obrazisz, to jesteś w błędzie. Emma nie ma kompleksów, a wszystko, co dotyczy którejkolwiek z nas, obchodzi ją na równi z jej własnymi problemami. A teraz usiądź i wystaw się na cio, sy. Nie bój się, ja cię obronię.

- Powiedz mi, Grady - zaczęła Emma, wychylając się

w jego stronę - jak to się stało, że byłeś na ranczu akurat wtedy, kiedy Karen dowiedziała się o byku?

- Mieliliśmy pewne plany - wtrąciła szybko Karen, z nadzieją, że zamknie w ten sposób tę część nieuniknionego śledztwa.

Niestety, nie mogła wybrać gorzej. Emmie zaświeciły się oczy.

- Ach tak? A jakie to plany?

Karen znów chciała odpowiedzieć, ale Grady nakrył dłonią jej dłoń i potrząsnął głową.

- Poradzę sobie - rzekł, po czym zwrócił się do Emmy:
- Chcieliśmy odwiedzić paru sąsiadów Karen.

- Ale po co? - zdumiała się Emma.

- Żeby pogadać - wyjaśnił z uśmiechem Grady. - Nigdy ci się nie zdarzyło wpaść do kogoś z sąsiedzką wizytą?

- Oczywiście, ale wy dwoje, razem... - Emma zmrużyła oczy. - Co jest grane? Liczyłeś na to, że Karen przetrze szlaki, żeby ci później poszło łatwiej, kiedy już ukradniesz jej ranczo?

Grady westchnął.

- Niczego nie chcę jej ukraść. A jako adwokat powinienś wiedzieć, że nie opłaca się rzucać oszczerstw.

Zgodnie z przewidywaniami Karen, Emma wcale nie poczuła się dotknięta. Wychyliła się jeszcze bardziej do przodu, przygważdżając Grady'ego wzrokiem.

- Chyba że okazują się prawdą, panie Blackhawk...

- Nie okażą się prawdą - odparł ze spokojem Grady.

- Dlatego radziłbym liczyć się ze słowami, kiedy jest mowa o uczciwej propozycji handlowej.

- To znaczy, że nadal chcesz mieć to ranczo - stwier-

dziła Emma. - To jasne. Nic się nie zmieniło. - Spojrzała na Karen. - A ty nadal odmawiasz sprzedaży?

- Na razie - mruknęła Karen.

- W tej sytuacji twoja ciągła obecność na ranchu musi być dla Karen bardzo niewygodna - zwróciła się Emma do Grady'ego, który nagle poczerwieniał.

- Dostyc tego. Wystarczy. - Karen uznała, że przebrała się miarka. - Grady wcale mi nie przeszkadza. On pomaga mi złapać człowieka, który postanowił mnie zrujnować.

Po tym oświadczeniu zapanowało ogólne poruszenie.

- Kto chce cię zrujnować? - zapytała Gina. - Czemu nic nie mówiłaś?

- Aż do dziś sądziłam, że incydenty nie były ze sobą powiązane.

- Ale ty uważasz, że jest inaczej, prawda? - zwrócił się do Grady'ego Cole. - Myślisz, że to poważna sprawa?

Grady skinął głową.

- Wystarczająco poważna. Poprzecinane druty, zakażone stado, dziś ktoś zastrzelił jej rozplodowego byka. A Karen tak na niego liczyła.

- Cholera! - mruknął Cole, a potem spojrzał na Karen.

- Nie martw się, pogadam z ojcem. Właśnie kupił czempiona.

- Dziękuję, ale Grady zaproponował mi już kilka sztuk ze swojego stada.

Emma nie przestawała taksować Grady'ego podejrzliwym wzrokiem.

- Czemu miałbyś jej pomagać?

- A czemu nie? - odparł, wytrzymując jej spojrzenie.

- Na pewno wolałbyś, żeby zbankrutowała - zarzuciła mu Emma.

- Mylisz się - rzekł ze spokojem Grady. - W tym momencie zależy mi wyłącznie na jej bezpieczeństwie.

- Myślisz, że coś jej grozi? - przeraziła się Emma.

- Zabicie byka było ostrzeżeniem - zauważył Grady.

- Dlatego uważam, że jej życie może być zagrożone.

- Przeprowadź się do nas, Karen - z miejsca zaproponowała Cassie.

- Koniecznie - poparł ją Cole.

- Bardzo wam dziękuję - powiedziała Karen z westchnieniem - ale nie ruszę się z domu. Na ranchu jest mi dobrze. Temu komuś wyraźnie chodzi o to, żeby mnie wystraszyć, ale ja się nie poddam.

- Dopilnuję razem z jej robotnikami, żeby nic jej się nie stało - dorzucił Grady.

- Tak, tylko że oni mieszkają w baraku, a ty w sąsiednim hrabstwie - zauważyła Cassie.

Ich spojrzenia skrzyżowały się nad stolikiem.

- Już nie - powiedział Grady. - Póki wszystko się nie wyjaśni, będę mieszkał na ranchu.

Karen otworzyła usta ze zdumienia. Nie przewidziała takiego obrotu spraw.

- Naprawdę?

- O nie, wykluczone! - sprzeciwiła się Emma. - Nie wykorzystasz tej sytuacji, żeby wsunąć nogę między drzwi.

- Przestań, Emma! - rozgniewała się Karen. - To sprawa między mną a Gradyem.

- Ale... - zaczęła Emma.

- Powiedziałam już, że sobie poradzę - przerwała jej Karen, udając, że nie widzi zdumionych min przyjaciółek, po czym zwróciła się do Grady'ego. - Naprawdę doceniam to, co chcesz zrobić, ale to nie jest konieczne. Kiedy opowiemy szeryfowi o rozmowie z Maggie, na pewno będzie chciał ją jak najszybciej przesłuchać.

- Nie ma żadnych gwarancji, że ją aresztuje - powiedział Grady. - Nie mamy też pewności, że to ona za tym stoi. Wiemy jedynie, jak głębokie są jej pretensje do ciebie.

Gina podniosła rękę.

- Przestańcie! Chodzi wam o Maggie Fletcher?

Karen skinęła głową.

- Myślicie że to jej sprawka? - zapytała Gina z niedowierzaniem.

- To możliwe - przyznała z wahaniem Karen. - Maggie bardzo przeżyła mój ślub z Calebem, a dziś rano dała mi jasno do zrozumienia, że mnie nienawidzi.

Cole potrząsnął głową.

- To nie mogła być Maggie, a przynajmniej nie w tej historii z bykiem - zaproponował. - Nie trafiłaby w stodołę z odległości dziesięciu kroków. Ona panicznie boi się broni od czasu, gdy jej ojciec dostał rykoszetem, kiedy uczył ją strzelać. Ten wypadek zakończył jego karierę jako mistrza rodeo.

- Rzeczywiście tak było. - Karen dopiero teraz przypomniała sobie, że ta historia krążyła niegdyś po okolicy, robiąc z Maggie obiekt powszechnych żartów. - Masz rację. Jej ojciec uznał, że stanowi zagrożenie nie tylko dla siebie, ale i dla otoczenia. Od tamtej pory nie wzięła broni do ręki.

- Skąd wiesz? - Grady wyraźnie nie chciał tak szybko zrezygnować z głównej podejrzanej. - Może przez cały czas potajemnie ćwiczyła?

Reszcie towarzystwa wydało się to jednak mało prawdopodobne.

- Wracamy do punktu wyjścia - powiedziała Karen.

- Nadal nie wiadomo, czyja to sprawka.

- Jeszcze jeden powód, żeby się do ciebie wprowadzić - zauważył Grady. - Przynajmniej póki sprawa się nie wyjaśni. I nie próbuj ze mną dyskutować.

Karen nie miała takiego zamiaru. Nawet Emma tym razem milczała. Cassie wystarczył jeden rzut oka na twarz przyjaciółki, by zrezygnować z prób namówienia jej na przeprowadzkę.

Grady z zadowoleniem pokiwał głową.

- Czyli wszystko zostało ustalone.

Decyzja Grady'ego wzbudziła w Karen niepokój. Co gorsza, była pewna, że nie chodzi wcale o jej bezpieczeństwo. Nagle nabrała obaw, że przeprowadzka Grady'ego może przynieść ze sobą zupełnie nowy rodzaj zagrożenia.

Grady nie potrafił wskazać konkretnego momentu, od którego sprawy przybrały zupełnie inny obrót, dysponował jednak niepodważalnymi dowodami, że tak się stało. Od jakiegoś czasu nie potrafił już przebywać w tym samym pomieszczeniu z Karen, nie pożądamc jej, nie próbując skrać jej paru całusów, na jakie skłonna była mu pozwolić. A on pragnął nie tylko pocałunków, ale czegoś więcej, i był to jeden z powodów, dla których postanowił wprowadzić się na ranczo.

Karen aż tak bardzo się nie sprzeciwiała, czyli godziła się na jego obecność oraz akceptowała fakt, że wbrew wszystkiemu działo się między nimi coś niezwykłego.

- Muszę pojechać do siebie i przywieźć trochę rzeczy
- zwrócił się do niej, kiedy opuszczali miasto po wyjściu z lokalu Stelli.

Skinęła głową, ze wzrokiem wbitym w mijany krajobraz.

- Możesz jechać ze mną. Szczerze mówiąc, byłbym spokojniejszy. Nie chcę, żebyś zostawała sama w domu nawet na kilka godzin.

Zerknęła na niego i znów zapatrzyła się w okno.

- Nic mi się nie stanie - zapewniła go.—Muszę trochę sprzątnąć i przygotować gościnny pokój.

Grady odczytał to jako aluzję, że nie ma co liczyć na wprowadzenie się do jej sypialni. Jednak Karen najwyraźniej zapomniała, że ów gościnny pokój był już świadkiem chwil niezwykle intymnych.

- Czy ktoś w nim mieszkał po naszym spotkaniu? - zapytał z udaną obojętnością.

Karen oblała się rumieńcem.

- Nie, oczywiście że nie, ale... - Głos jej zadrżał.

- Wobec tego sprzątanie może poczekać. Pognietliśmy tylko trochę pościel.

- A czyja to wina? - zapytała, marszcząc brwi.

- Powiedziałbym, że była to obopólna decyzja - odparł z uśmiechem.

- No to byś się pomylił - zaproponowała. - To ty podjąłeś decyzję, uważając, że wiesz najlepiej, tak samo zresztą jak teraz.

Grady odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Mam rozumieć, że załujesz takiego obrotu spraw?
- Oczywiście. A ty?
- Z czysto subiektywnego punktu widzenia muszę przyznać, że często myślę o tamtej nocy.
- Czy gdybyś mógł, zmieniłbyś teraz jej przebieg? - zapytała z naciskiem.

Grady pomyślał przez chwilę, przypomniał sobie, jak bardzo chciał się z nią kochać, ale w końcu pokręcił głową.

- Nie.

Karen otworzyła oczy ze zdumienia.

- Nie?

- Nie byłaś wtedy gotowa, żeby zaakceptować moją obecność w twoim życiu, a co tu dopiero mówić o kochaniu się ze mną. Podjęliśmy słuszną decyzję. - Podniósł do ust jej rękę. - Oczywiście możemy to ponownie rozważyć.

Karen skinęła głową.

- Chyba powinniśmy. Może zrezygnowałbyś z wyprawy do domu i zastanowilibyśmy się już teraz.

Grady przyjrzał się Karen uważnie, by się upewnić, że jej decyzja nie jest wynikiem traumatycznych przeżyć tego dnia, nie dostrzegł jednak na jej twarzy cienia wątpliwości. Chociaż minęli już zjazd na ranczo Hansonów, wcisnął hamulce i zawrócił.

Dziesięć minut później zatrzymali się przed jej domem.

- No i jak? Zmieniłaś zdanie? - zapytał, żeby dać jej tę ostatnią szansę, gdyby chciała się wycofać.

- Nie - odpowiedziała mocnym; pewnym głosem.

- Dzięki Bogu - westchnął. Wysiadł z furgonetki, ob-

szedł maskę i chwycił Karen w ramiona. Podrzucił ją do góry.

- Grady, ty wariacie! - zawołała ze śmiechem. - Puść mnie!

- Puszczę cię dopiero wtedy, kiedy będę cię mógł położyć na tym starym, wielkim łóżku - powiedział, po czym ruszył w stronę domu.

Wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, jakby Karen nic nie ważyła.

- Można by pomyśleć, że spieszno ci jak panu młodemu w noc poślubną - powiedziała.

Grady omal się nie potknął. Wizja ta wcale nie wydała mu się aż tak odpychająca, jak powinna. Nie myślał dotąd o małżeństwie, ale jeśli już jakiejś kobiecie udało by się sprawić, że zaczęłyby się nad tym zastanawiać, z całą pewnością byłaby nią Karen.

W pokoju gościnnym, rozświetlonym blaskiem popołudniowego słońca, delikatnie położył Karen na kolorowej narzucie.

- Nie znam się na nocach poślubnych - rzekł, patrząc na nią - ale wydaje mi się, że jesteś promienna jak panna młoda.

- Bo tak się czuję - przyznała, a jej oczy weszbrały łzami. - Och, Grady, jak to możliwe? Nigdy się tego nie spodziewałam.

- Ja też nie, ale nie żałuję. A ty?

- Skądże - zapewniła go z przekonaniem. - Jak mogłabym, skoro nareszcie czuję, że żyję.

- Poczekaj, kochanie, to dopiero początek — obiecał, zdejmując buty i koszulę.

Kiedy położył się na łóżku, wziął ją w ramiona i przytulił, żeby dać im obojgu trochę czasu. Czuł, że mimo śmiałych deklaracji Karen wciąż dręczą wątpliwości. Ale czy mogła ich nie mieć? Kochała przecież męża, który uważał go za swojego największego wroga, nawet jeśli u podstaw tej niechęci leżały dziecinne uprzedzenia. Grady rozumiał to wszystko, dlatego tym bardziej cenił sobie jej decyzję.

Dotknął jej policzka, obwiodł kciukiem usta i poczuł, że budzi się w nim pożądanie. Cichy jęk Karen był zaproszeniem do pocałunku, który umyślnie odkładał na później.

Gdy nakrył ustami jej wargi, odpowiedziała odważniej niż przedtem, jakby chciała go zachęcić do dalszych pieszczot. Jej skóra pod wełnianym swetrem była gorąca i gładka jak jedwab. Zaczął wyciskać pocałunki na jej nagim ciele, aż wreszcie poczuł, że drży jak liść. Niecierpliwym ruchem zsunął jej sweter przez głowę, ale kiedy sama chciała rozpiąć stanik, powstrzymał ją.

- Jeszcze nie - powiedział, napawając się widokiem jej krągłych piersi w prostej, bawełnianej bieliźnie. To była cała Karen, zabójcze połączenie zmysłowości z praktycznością.

Powiodł palcem wzdłuż brzegu stanika. Błada skóra zapłonęła pod jego dotykiem. Dotknął sutka, ukrytego pod miękkim materiałem. A kiedy poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, nachylił się i wziął w usta czubek piersi.

- Wiesz, że zadajesz mi tortury? - wyszeptła bez tchu.

- Naprawdę? - Grady był zachwycony jej wyznaniem.

- Nie musisz być taki zadowolony z siebie - mruknęła.
Nim zdążył zaprotestować, rozpięła mu spodnie i zaczęła go dotykać, wzmagając jeszcze jego podniecenie.

- Zręczna z ciebie osobka - wyszeptał, odsuwając się.
- Poczekaj chwilę. Najpierw musimy odwiedzić parę miejsc i wypróbować parę sztuczek, zanim dotrzemy do tego punktu.

- Naprawdę? - spytała zaciekawiona. - Opowiedz mi o tych miejscach.

- Nie. - Grady potrząsnął głową. - Pokażę ci.

Całą uwagę skupił na jej piersiach, zdjął jej stanik, obwiódł językiem sutki i na koniec wziął kolejno każdą pierś do ust.

Kiedy poczuł, że drży, zsunął jej buty i spodnie, po czym zaczął okrywać pocałunkami gładkie łydki i uda. Teraz wystarczyło już tylko kilka wyrafinowanych pieszczot i Karen zalała fala rozkoszy.

- To nie było w porządku - zarzuciła mu, kiedy wreszcie udało jej się złapać oddech.

- Och, kochanie, to dopiero początek - powiedział i znów zaczął prowadzić Karen na szczyt.

Tym razem pozwolił na to, by jej zwinne ręce błądziły dokładnie tam, gdzie sobie tego życzyła, a gdy wreszcie pojął, że jest na krawędzi wytrzymałości, spojrzął jej w oczy i wszedł powoli w jej rozpalone wnętrze.

Karen uniosła biodra, wychodząc mu naprzeciw, a jej rozgrzana skóra lśniła od potu. Gdy przycisnął usta do zagłębienia jej szyi, poczuł, że puls bije jej jak oszalały, podobnie jak jemu.

Gdy eksplodował, z jej ust wyrwało się jego imię. Wstrzą-

sani spazmem, przez nieskończenie długą chwilę wznosili się na szczyt rozkoszy, by pogrążyć się w końcu w błogim spełnieniu.

Grady przekreślił się na plecy, pociągając Karen za sobą. Tulił ją do piersi, jakby była najcenniejszym darem, jaki kiedykolwiek otrzymał. Wiedział, że zawsze pragnęła być uważana za istotę silną. To, podobnie jak wszystko, co się z nią wiązało, wprawiało go w najwyższe zdumienie.

Nagle poczuł na twarzy kropelkę. Jeden rzut oka na Karen powiedział mu wszystko: nie były to łzy radości. I choć szybko je otarła, było już za późno. Niespodziewanie objawiła mu się bolesna prawda. Były to łzy smutku i żalu.

Zląkł się, że zaraz pęknie mu serce. Jak to możliwe, że Karen żałuje czegoś tak wspaniałego?

Nie miał wątpliwości, że chodzi o nieżyjącego męża. Zawsze i wszędzie ten Caleb. Czy nadejdzie kiedyś taki dzień, w którym Caleb Hanson przestanie dzielić z nimi łożę?

ROZDZIAŁ 13

Karen uświadomiła sobie, że Grady zdążył zauważyć jej łzy. Wyczuła nagłe napięcie, ujrzała zimny błysk w jeszcze przed chwilą ciepłym, rozkochanym spojrzeniu.

Kiedy się odsunął i odwrócił do niej plecami, wydało jej się, że zdradziła dwóch mężczyzn, a nie jednego.

Wymknęła się z łóżka, wróciła do swojego pokoju i wzięła długi prysznic, jakby chciała zmyć z siebie nie tylko ślady miłości, ale i poczucie winy.

Jak mogła się tak pomylić? Była przecież pewna, że jest gotowa, że jej uczucia do Grady'ego są już wystarczająco głębokie, by mogła zdecydować się na ten krok.

Bo przecież były głębokie i szczere! W jego ramionach poczuła, że wreszcie żyje. Kochała się z Gradym tak jak nigdy przedtem z Calebem, namiętnie i bez żadnych zahamowań.

- O mój Boże! - szepnęła, wtulając twarz w poduszkę. Nie tylko dopuściła się zdrady wobec kogoś, kogo kochała, ale, co gorsza, to, co przeżyła z Gradym Blackhawkiem było silniejsze niż wszystko, czego doświadczyła z mężem.

Z Calebem, nawet na początku, kochali się spokojniej, mniej intensywnie, bardziej... wygodnie - co za okropne słowo! Doskonale do siebie pasowali, w ich miłości nie było większych wzlotów czy upadków. Stanowili po

prostu zgraną parę kumpli, partnerów, prowadzących wspólnie ranczo.

Natomiast miłość do Grady'ego nie była ani łatwa, ani wygodna. Grady wciąż stawiał nowe wyzwania, żądał odpowiedzi, które wymagały sięgania do wyższych pułapów, przed chwilą wspięła się na jeden z tych zaskakujących szczytów. A teraz, samotna w swoim łóżku, znalazła się na samym dnie.

- Nie mogę tego zrobić - wyszeptała.

Decydując się na życie z Gradym, godziła się na ryzyko, na emocjonalną huśtawkę, z którą jeszcze nie umiała sobie radzić. Bała się zaufać tej nowej namiętności, lękała się, że ogień się wypali, a ona zostanie z niczym.

Kiedyś już przecież tak było. Straciła Caleba. Człowieka, z którym miała spędzić życie. A jeśli ten solidny i godny zaufania Caleb mógł ją opuścić, to jaką miała gwarancję, że mężczyzna tak zmienny jak Grady również jej nie zostawi - w taki czy inny sposób? Pomyślała, że chyba nie potrafiłaby przeżyć kolejnej straty. Równie bolesne byłoby odkrycie, że Grady manipulował nią, żeby przejąć ranczo.

Za późno, szydził z niej wewnętrzny głos.

Westchnęła głęboko. Niestety, to prawda. Zaangażowała się już, na dobre i złe. A obiektem jej uczuć był mężczyzna, który spał teraz na drugim końcu korytarza. Jego odejście zawsze będzie dla niej ciosem, bez względu na to, jak i kiedy to się stanie.

Gdy blade promienie świtu wypełzły na niebo, nie była ani trochę bardziej pewna, co powinna zrobić, niż poprzedniego wieczoru. Nie była również gotowa na spotkanie z Gradym.

Zeszła na dół, szybko wypła kawę i skubnęła kawałek grzanki, a potem, prawie biegiem, udała się do stajni, żeby osiodłać konia.

Świtało, kiedy wyruszała na przejażdżkę na Imbirze. Powietrze było rześkie. Pachniało śniegiem. Ołowiane chmury sunęły po niebie. Karen jechała prawie przez godzinę, żeby się uspokoić. Wiatr rozwiewał jej włosy, chłód szczypał w policzki.

Przejażdżka rozjaśniła jej trochę w głowie, ale gdy wróciła na padok, cały stres powrócił ze zdwojoną siłą na widok Grady'ego, który powitał ją z marsową miną.

- Gdzie byłaś? - zapytał ostro, gdy pomagał jej zsiąść z konia.

Odepchnęła jego rękę.

- To chyba jasne - odparła, prowadząc konia w stronę stajni, żeby go rozsiodłać i wyszczotkować.

- Ale nie dla mnie. Umówiliśmy się przecież, że nie będziesz nigdzie sama się wybierać, póki cała sprawa nie zostanie wyjaśniona.

Karen wzdrygnęła się. Rzeczywiście, uciekając przed jednym zagrożeniem, zapomniała o innym.

- Przepraszam, jeżeli się przeze mnie denerwowałeś - powiedziała Karen i po raz pierwszy spojrzała mu w oczy.

Grady z westchnieniem przeczesał włosy, obrzucając ją wzrokiem od stóp do głów.

- Nieopakowałaś się w żadne kłopoty?

- Nie - zapewniła go. - Po drodze nie spotkałam żywego ducha. Nie natknęłam się też na poprzecinane druty, chore zwierzęta czy cokolwiek innego.

Grady odetchnął z ulgą.

- Powiedz mi, czemu uciekłaś? - zapytał z wyrzutem.

Przez moment zastanawiała się, czy powinna powiedzieć prawdę, a potem zdecydowała się na całkowitą szczerłość.

- Bałam się spojrzeć ci w oczy, bo czułam, że tej nocy sprawiłam ci przykrość.

- Jakoś to przeżyję - mruknął Grady, wzruszając ramionami.

- Postąpiłam nie fair. A przecież poszłam z tobą do łóżka dobrowolnie. Co tu mówić - poprawiła się - nawet bardziej niż chętnie.

- Ale potem tego żałowałaś, prawda? - dorzucił Grady.

- Nie z powodów, o jakich myślisz. W każdym razie nie do końca.

- Poproszę o wyjaśnienie.

Niełatwo było jej o tym mówić, a jednak była mu to winna.

- Poczulałam się okropnie, gdy sobie uświadomiłam, że tej nocy przeżyłam z tobą znacznie więcej niż kiedykolwiek z Calebem. - Widząc, że Grady chce coś powiedzieć, podniosła rękę. - Nie zamierzam tu robić żadnych porównań. Moje małżeństwo z Calebem było cudowne. Nie zapomnę o nim do końca życia.

- Miło mi to słyszeć - mruknął Grady z goryczą.

Wszystko szło jakby na opak. Karen nadal nie mogła rozeznaczyć się we własnych emocjach. Jak więc miała wytłumaczyć cokolwiek Grady'emu, i to tak, żeby ją zrozumiał? Patrząc mu w oczy, rozumiała, że musi spróbować, bo jeśli tego nie zrobi, gotowi bezpowrotnie utracić coś, co się właśnie zaczęło. Grady był przecież zbyt dumny, by zostać

z kobietą, której serce zawsze będzie należało do innego mężczyzny.

- Lubisz befsztyki, prawda? - zapytała.

Grady osłupiał.

- Chcesz ze mną rozmawiać o wołowinie?

- Wysłuchaj mnie - poprosiła. - Spróbuję ci to wytłumaczyć w taki sposób, żebyś zrozumiał. Lubisz befsztyki?

- Przecież jestem hodowcą bydła. Więc jak myślisz?

- W porządku. Czy wszystkie dania z wołowiny są takie same?

- Oczywiście, że nie.

- Czyli wszystko to jest wołowina, ale dania są różne.

- Tak - zgodził się, choć wciąż nie mógł pojąć, o co jej chodzi.

- Zwykły stek jest smaczny, prawda?

Grady pokiwał głową.

- Ale filet to już trochę inny poziom, zgodzisz się ze mną?

W oczach Grady'ego pojawił się błysk zrozumienia.

- Chcesz powiedzieć, że jestem jak filet? - zapytał, lekko rozbawiony.

- Można i tak to określić - odparła - ale na twoim miejscu raczej bym się tym nie szczyciła. Nadal nie jestem pewna, czy mam ochotę jadać codziennie filety.

Grady uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka.

- Mogę się założyć, że zmienisz zdanie i nie będziesz się mogła bez nich obejść.

Karen zmierzyła go na poły rozbawionym, na poły zniecierpliwionym wzrokiem

- Ach, ci mężczyźni. Wystarczy jeden komplement, a zaraz woda sodowa uderza im do głowy.

Grady zrobił krok w jej stronę, a potem następny. Cofnęła się i przywarła plecami do stajennych wrót.

Gdy zawładnął jej ustami, rozwiały się wszystkie wątpliwości. Pocałunek Grady'ego był zaborczy, może trochę desperacki, ale czyż ona sama nie była w podobnym nastroju?

Reakcja jej zmysłów upewniła ją, że miniona noc nie była pomyłką. Że oboje gotowi są ulec namiętności.

Ale nie tutaj, i nie teraz, pomyślała z żalem, gdy Grady odsunął się, zadowolony ze swego zwycięstwa. Dowiódł jej przecież, że potrafi sprawić, by go zapragnęła - i to kiedy tylko będzie miał ochotę.

W serce jej wstąpiła nadzieja. Wyrzuty sumienia osłabły. Zdumiało ją to. Pomyślała, że będzie się musiała nad tym zastanowić.

Tym razem to Grady miał ochotę uciec. Wygrał z Karen, zmuszając ją do przyznania, że mimo widm przeszłości pragnie go równie mocno, jak ubiegłej nocy. Jednak pokusa, by zaciągnąć ją do łóżka, była nadal tak silna, że uznał, iż potrzebują oboje trochę więcej czasu.

Odesłał Karen do domu, żeby przygotowała śniadanie, a sam ruszył na poszukiwanie Dooleya i Hanka. Chciał się upewnić, że dopilnują wszystkiego pod jego nieobecność. Po uzyskaniu przyrzeczenia, że nie spuszczą oka z Karen, dołączył do niej w kuchni.

Pałaszując jajka na bekonie, oznajmił, że wybiera się na swoje ranczo, by sprawdzić, czy zarządca radzi sobie ze wszystkim. Musi także przywieźć trochę rzeczy na kilka następnych dni.

- No i co? Teraz to ciebie obleciał strach? - roześmiała się Karen.

- Może i tak - przyznał Grady. - Chcesz ze mną pojechać? - dorzucił.

Zastanowiła się, a potem potrząsnęła głową.

- Nie, mam tu masę roboty.

- Jeżeli będziesz wychodziła, powiedz Dooleyowi i Hankowi, dokąd się wybierasz. Byłoby lepiej, gdyby któryś z nich ci towarzyszył.

Karen skinęła głową.

Grady przystanął przy jej krześle i pocałował ją w policzek.

- Jakoś się dogadamy, kochanie. Zobaczysz.

- Wiem - odparła cicho, lecz z przekonaniem.

Zaledwie Grady wyruszył w drogę, a już odkrył, że upragniona samotność nie jest ani tak kojąca, ani miła, jak się tego spodziewał. Zniecierpliwiony wcisnął gaz do deski i w rekordowym czasie dotarł na swoje ranczo. Zbyt podekscytowany, by zająć się pakowaniem, poszedł prosto do stajni i osiodłał najszybszego i najbardziej narowistego ze swoich koni. Najbardziej potrzebował teraz ostrej jazdy i nowego wyzwania. Na ironię zakrawał fakt, że ta sama potrzeba wygnała Karen z domu tego ranka.

Na szczycie wzgórza zsiadł z konia i rozejrzał się wokoło. Ziemi było dość. Dla niego aż nadto. Zdobycie rancza Caleba było wyłącznie kwestią dumy, nie potrzeby. Podjął się tej misji dla ludzi, których kochał, dla przodków, których pamięć pragnął w ten sposób uczcić. Może przyszedł czas, by dać sobie spokój, i zacząć walczyć o to, co stało się dla niego najważniejsze - o miłość Karen i o ich wspólną przyszłość.

Pomyślał, że przed podjęciem decyzji musi koniecznie zobaczyć się z dziadkiem.

Gdy wrócił z przejażdżki, Thomas Blackhawk czekał już w domu, jakby łączyła ich telepatyczna więź. Grady ucieszył się na jego widok, jednak pora wizyty wydała mu się dość podejrzana.

- O co znów chodzi? - zapytał.

- To tak się wita własnego dziadka?

- Właśnie tak. To już druga twoja wizyta w krótkim czasie. Przedtem wolałeś, żebym to raczej ja do ciebie przyjeżdżał.

- Zostawiłem ci parokrotnie wiadomość, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Przyjechałem więc, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- O czym ty mówisz? Jaką wiadomość?

- Nagrałem ją na tej twojej piekielnej maszynie.

- Musiałem ją przeoczyć. Dopiero co wszedłem do domu. A w czym problem?

- To ja się ciebie pytam, w czym problem. Czekam tu od świtu. Albo wyjechałeś bardzo wczesnie, albo nie nocowałeś u siebie. Wydawało mi się, że słyszałem twój wóz, ale nie wszedłeś do domu. Gdzie byłeś? U tej ślicznej wdowy po Hansonie?

Grady zachnął się.

- Czemu ją tak nazywasz?

- Żeby ci przypomnieć, kim jest.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale jestem tego świadom dzień i noc.

- Coś się jednak zmieniło, prawda? - Dziadek spojrzął

na niego, mrużąc oczy. - Nareszcie do ciebie dotarto, że jesteś w niej zakochany.

- Może i tak - przyznał Grady.

- A co ona na to?

- Mam wrażenie, że próbuje walczyć z uczuciem.

- Tak też myślałem. Jej lojalność względem zmarłego męża jzaskuje na podziw.

- Jest też piekielnie niewygodna - burknął Grady, po czym dodał z westchnieniem: - Rzeczywiście godna podziwu. A wracając do mojego pytania, co cię tu sprowadza?

- Martwiłem się o ciebie. Bałem się, że nie zauważysz tego, co masz przed samym nosem, a potem będzie za późno. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Rozumiem, że się pomyliłem, więc mogę wracać.

- Chcesz, żebym wybrał Karen, a nie ziemię, prawda?
- zapytał Grady, ku własnemu zdumieniu. - To stąd te niespodziewane wizyty.

- Odzyskanie tej ziemi zawsze znaczyło więcej dla ciebie niż dla mnie. Poza tym, uważam że miłość jest najważniejsza. Twój ojciec rozumiał to, nawet jeśli postąpił nierozsądnie.

- Wiedziałeś o nim i o matce Caleba? - zdumiał się Grady.

- Dowiedziałem się dopiero po fakcie.

- I co byś mu doradził, skoro tak bardzo wierzysz w miłość?

- Nie chciałbym nigdy wybierać między miłością a obowiązkiem względem dziecka - odparł dziadek z zaskotaniem, którego Grady nigdy dotąd u niego nie wi-

dział. - W rezultacie wszyscy na tym stracili. To prawdziwa tragedia.

Objął Grady'ego i mocno go uściskał.

- Ale ty... z ciebie jestem dumny.

Grady'emu łzy stanęły w oczach. Od lat czekał na te słowa, pewny, że zasłuży na nie, jeśli odzyska ukradzione ziemie. Tymczasem Thomas Blackhawk zaskoczył go, jak zresztą wielu ludzi w swoim życiu.

- Dziękuję, dziadku - powiedział ze wzruszeniem.

- Bądź szczęśliwy, to wystarczy.

Grady pokiwał głową.

- Zaczynam wierzyć w szczęście.

- A w miłość?

- W miłość też - odparł z nadzieją, że Karen dojdzie w końcu do tego samego wniosku.

- Jak mogłam zrobić coś takiego? - spytała Karen z rozpaczą.

Po wyjeździe Grady'ego wezwała na pomoc przyjaciółki, a one zjawiły się na ranczu w ciągu godziny. Razem z Gina przyjechała także Lauren. Wyjaśniła, że przerwała na jeden dzień zdjęcia do ostatniego filmu i wpadła, by sprawdzić, co słychać w domu. Brakowało tylko Cassie, która obiecała, że zjawi się zaraz po pracy.

Siedziały teraz w kuchni nad kawą i talerzem pysznego czekoladowego ciasta, które Gina upiekła zaraz po przyjeździe. Było jak za dawnych lat, chociaż wtedy wyjmowały z pieca mniej skomplikowane wypieki.

- Rzeczywiście, jak mogłaś kochać się z tak fantastycznym facetem jak Grady? - zapytała Emma, by zmusić przy-

jaciółkę do przyznania się, co wprawiło ją w takie wzburzenie.

- Chciałam raczej powiedzieć, jak mogłam zdradzić męża - wyjaśniła Karen.

- Caleb nie żyje - przypomniała jej łagodnie Gina.
- Na pewno wolałby, żebyś nie była sama.

- Może i nie - zgodziła się Karen. - Jednak za żadne skarby świata nie chciałby, żebym była z Gradym.

- Bardzo cię przepraszam, kochanie - odezwała się Emma - ale decyzja nie należy do niego, tylko do ciebie. Przyznaj się, zakochałaś się w Gradym?

Karen skinęła głową. Skoro miała komuś powiedzieć prawdę, to komu, jeśli nie przyjaciółkom, na które zawsze mogła liczyć?

- Wcale tego nie chciałam. I nie powinnam. A jednak jestem w nim zakochana. Nie ma sensu zaprzeczać.

- Czy on też cię kocha? - zapytała Gina.

- Skąd mogę wiedzieć? Wszystko zaczęło się od rancza, więc czy mogę mu zaufać?

- Sprzedaj mi ranczo. - Lauren ponowiła propozycję sprzed tygodni. - Nie patrzcie tak na mnie - zwróciła się z gniewem do przyjaciółek. - Mówię serio. Kiedy przyjechałam do Winding River, przypomniałam sobie, kim naprawdę jestem. Jak myślicie, czemu tak często tu wpadam? Chcę wrócić na stałe.

Karen zamyśliła się nad ofertą przyjaciółki. Mimo zapewnień Lauren ani przez moment nie wierzyła, że naprawdę chce zostać właścicielką rancza. Jednak Grady nie musi o rym wiedzieć. Mogłaby mu powiedzieć, że zdecydowała się na sprzedaż, i zobaczyć, jak zareaguje. Byłby to ostatecz-

ny sprawdzian jego uczuć. Dowiedziałyby się w końcu, co jest dla niego ważniejsze - ziemia czy ich miłość.

- Co ci chodzi po głowie? - Gina przyjrzała jej się z niepokojem.

- Myślałam o propozycji Lauren.

- Weźmiesz ją pod uwagę?

W głosie Lauren zabrzmiało tyle entuzjazmu, że Karen niemal uwierzyła, iż naprawdę jej na tym zależy.

- Wreszcie mogłabyś podróżować dookoła świata i robić to wszystko, o czym marzyłaś jeszcze w szkole. Poza tym, mogłabyś tu wrócić w każdej chwili - dorzuciła,

W swoim zapale nie zauważyła, że przyjaciółki przyglądają jej się z coraz większym zdumieniem.

- Powiedz lepiej, Lauren, co się dzieje? - zapytała Emma. - Czemu tak nalegasz? Wcale ci nie chodzi o to, żeby pomóc Karen, prawda?

- Nieprawda. Chcę jej pomóc.

- I co jeszcze? - naciskała Gina. - Czemu tak ci spieszno, żeby opuścić Hollywood? Przed czym uciekasz? Przed jakimś kolejnym nieszczęśliwym romanssem, o którym nam nie mówisz?

- Przed niczym nie uciekam. Od ostatniego rozwodu nie jestem z nikim związana. Chodzi mi tylko o to, żeby zmienić styl życia.

- Dlaczego? - spytała Gina.

- A dlaczego nie? - Lauren lekceważąco wzruszyła ramionami.

Była znaną aktorką, jednak tym razem nie udało jej się oszukać przyjaciółek.

Emma, która znała ją najlepiej, głośno westchnęła.

- Myślę, że ona powie nam wszystko, ale wtedy, kiedy sama zechce. Dajmy jej na razie spokój.

- To dobry pomysł - poparła ją Lauren, po czym znów zwróciła się do Karen: - No to jak? Zdecydowałaś się? Bo ja mam przy sobie książeczkę czekową.

- Nie sprzedam rancza nikomu - odparła Karen z żalem, że musi sprawić przyjaciółce zawód. - Chcę tylko, by Grady pomyślał, że zamierzam je sprzedać.

- Chcesz go sprawdzić? - domyśliła się Gina. - Myślisz, że to rozsądne? - zapytała bez przekonania.

- To jedyny sposób, żeby się upewnić, co on naprawdę do niej czuje - stwierdziła Emma po namyśle. Zawahała się, a potem dodała: - Jestem za tym.

- Gdyby mnie zapytał, poprę cię - powiedziała Lauren. Karen odwróciła się do Giny.

- Aty?

- Zrobicie, co będziecie uważać za stosowne - odparła z westchnieniem. - Pamiętajcie, że kłamstwo ma krótkie nogi. Gdyby o mnie chodziło, wybrałabym inną drogę. Może dlatego, że ostatnio miałam zbyt wiele przykrych doświadczeń z kłamcami.

- Mogłabyś nam to wyjaśnić? - zażądała Emma.

- Nie - ucięła Gina. - Najpierw zajmijmy się prostowaniem jednego życia. Moje może zaczekać.

Po tym złowieszczym brzmiącym oświadczeniu Gina pożegnała się i odjechała, pozostawiając zaniepokojone przyjaciółki.

- To musi mieć coś wspólnego z tym tajemniczym facetem, który się ciągle przy niej kręci - stwierdziła Lauren. - Jestem tego pewna.

- Wypytywanie na nic się zda. Jeżeli chodzi o pewne sprawy, Gina potrafi być nawet bardziej małowówna niż Lauren. - Emma posłała przyjaciółce szeroki uśmiech.

- Gdyby twoje prywatne życie ciągle gościło na pierwszych stronach gazet, też byś trzymała język za zębami - odcięła się Lauren. - Chodźmy już, Emma. Podrzucisz mnie do miasta, bo zostałam bez środka transportu. Myślę, że powinniśmy zniknąć, zanim pojawi się ten seksowny pan Blackhawk. Mógłby dojść do wniosku, że przeciwko niemu spiskowałyśmy. Zwłaszcza gdy usłyszy, że Karen chce mi sprzedać rancho. Wolałabym nie być przy tym, kiedy dojdzie do wniosku, że zdałam mu cios w plecy. On mi nie wygląda na człowieka, który łatwo pogodzi się z porażką.

Karen uściskała przyjaciółki na pożegnanie, posprzątała w kuchni i wstawiła mięso do piekarnika. Postanowiła nakarmić Grady'ego, zanim przekaże mu złą, choć fałszywą wiadomość.

Grady wrócił na rancho tuż przed kolacją. Wydał się Karen odmieniony. Odprężony, spokojny i pewny siebie. Na powitanie cmoknął ją w policzek.

- Cześć, kotku, wróciłem do domu!

- Widzę, że jesteś w świetnym humorze - powiedziała, przyglądając mu się z uwagą.

- To prawda - potwierdził.

A ona miała mu teraz popsuć humor. Ale trudno, będzie musiała to zrobić. Chociaż... może dopiero po kolacji.

- Rozpakuj rzeczy. Za kwadrans siadamy do stołu.

- Co to za smakowite zapachy?

- Pieczeń wołowa.
- A nie filet?
- To się jeszcze okaże - odparła ze śmiechem.

Podczas kolacji walczyła ze sobą, ale kłamstwo o sprzedaży jakoś nie chciało, jej przejść przez usta. Może dlatego, że atmosfera była zbyt zmysłowa, nazbyt nabrzmiała emocjami, żeby ją celowo zniszczyć. Tak sobie przynajmniej mówiła, jedząc w milczeniu deser. A także później, gdy znalazła się w ramionach Grady'ego.

- Kochaj się ze mną - wyszeptał.

Spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich tęsknotę i pożądanie - i nie potrafiła się oprzeć.

Dotyk Grady'ego był równie magiczny jak przedtem. Pieszczoty obiecywały rozkosz, doprowadzały ją do granicy wytrzymałości.

A gdy się połączyli, doznała cudownego spełnienia.

Potem Grady długo tulił ją w ramionach. Tej nocy łyzy nie zakłóciły ich bliskości - tylko wizja kłamstwa, którym zamierzała go uraczyć.

Wreszcie, gdy wyrównały się ich oddechy, a ciała ostygły, Karen odważyła się poruszyć temat rancza.

- Otrzymałam dziś propozycję kupna. - To przynajmniej było prawdą, więc łatwiej przyszło jej od tego zacząć. A jednak, gdy Grady znieruchomiał, obudziły się w niej wyrzuty sumienia.

- Ach, tak?
- Lauren jest zainteresowana.

Ku jej zdumieniu, Grady nie był tym wcale aż tak bardzo zaskoczony.

- Przyjąłeś jej ofertę?

- Muszę ją rozważyć.
- Rozumiem. Możesz mi powiedzieć, czemu bierzesz pod uwagę jej ofertę, a nie moją?

Karen zawahała się. Wkraczali na śliski grunt - bardziej niebezpieczny niż kłamstwo, które właśnie wypowiedziała. A przecież Grady zasługiwał na szczerość.

- Dobrze wiesz dlaczego - odparła.
- Z powodu Caleba? Nawet wiedząc, że jego wrogość była zupełnie bezpodstawna?

Karen bez słowa skinęła głową.

Grady spojrzał na nią z wyrzutem.

- To, co dzieje się między nami od kilku miesięcy, jest naprawdę czymś wyjątkowym. Mimo to Caleb zawsze będzie nas dzielił.

- Nie - odpowiedziała. - Nie Caleb. To ta ziemia. Boję się nawet pomyśleć, że w tym, co nas połączyło, chodzi tylko o ziemię. Wiem, jak bardzo ci na niej zależy, i gdyby to ode mnie zależało, już byś ją miał. Jednak ta ziemia jest moja jedynie dzięki temu, że mąż umarł, próbując ją utrzymać. Dlatego muszę wziąć pod uwagę jego uczucia.

Na twarzy Grady'ego odmalowała się wewnętrzna walka.

W końcu podjął decyzję.

- Zatem ją sprzedaj - rzekł z goryczą. - Niech już więcej nie stoi między nami. Wtedy oboje będziemy wiedzieli, o co nam naprawdę chodzi.

ROZDZIAŁ 14

Przez następne kilka dni Grady objeżdżał swoją farmę. Starał się nie myśleć o Karen, co mu się jednak nie udawało. Wciąż dzwonił do Dooleya i Hanka, by się upewnić, że jest bezpieczna i że nie wydarzyło się nic nowego.

Dooley ciągle narzekał, że nie są w stanie nic zrobić, bo muszą bawić się w niańkę Karen.

- Proponuję, żeby nie nazywać tego niańczeniem - zganił go Grady. - Karen na pewno by się to nie spodobało.

- Jasne że nie - przytaknął Dooley. - Ona ma już dość patrzenia całymi dniami na nasze gęby. Kiedy pan wraca?

- Jeszcze nie wiem - odparł szczerze Grady.

- To niech się pan pospieszy. Pogoda zaczęła się poprawiać i czeka nas z Hankiem mnóstwo pracy.

- Postaram się jak najszybciej pozałatwić moje sprawy - obiecał Grady.

Pod koniec tygodnia, kiedy pojawił się sam „U Stelli”, głodny i spragniony towarzystwa, Cassie powitała go groźnym spojrzeniem.

- Dlaczego nie jesteś na ranchu z Karen? - zapytała. Widocznie nie wiedziała, że nie był tam od wielu dni.

- Kiedy nie chciała się do nas przeprowadzić, obiecałeś, że będziesz jej pilnował - dodała z wyrzutem.

- Hank i Dooley mają oko na wszystko - zapewnił ją

Grady. - Rozmawiałem z nimi nie dalej jak przed kwadransem.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała kwaśnym tonem. - Jeżeli coś jej się stanie, będziesz miał z nami do czynienia.

Grady poważnie potraktował jej groźbę. Była jednak niczym w porównaniu z wyrzutami sumienia, jakie dręczyłyby go do końca życia, gdyby przez jego dumę Karen spotkało coś złego. Westchnął. Przyszła pora, by podjąć ostateczną decyzję.

- Przygotuj mi klopsa na wynos - poprosił, wstając od stolika.

- Mam nadzieję, że to nie przez mój niewyparzony język - odezwała się Cassie obłudnym tonem.

- Dobrze wiesz, że tak. Zapakuj podwójną porcję. Spróbuj ją jakoś udobruchać.

Cassie uśmiechnęła się.

- Weź lepiej pieczonego kurczaka. To jej ulubiony przysmak.

- Zrób, jak uważasz.

Zapakował dwie porcje do samochodu i pojechał do Karen. Z każdą przejechaną milą narastało w nim radosne podniecenie. Wyobrażał sobie, że na początku będzie się trochę dąsała, ale w końcu zmięknie. A on może jej nawet pomóc przygotować papiery dla Lauren, jeżeli nadal będzie się przy tym upierała.

Był już niespełna milę od rancza, gdy wydało mu się, że czuje zapach dymu. Kiedy pokonał ostatni zakręt, dostrzegł na horyzoncie pomarańczową łunę, która nie miała

jednak nic wspólnego z zachodem słońca. Paniczny strach chwycił go za gardło.

W tej samej chwili jakiś samochód wyjechał z bocznej drogi na szosę, niemal się o niego ocierając. Zszokowany, zahamował z piskiem opon, a potem rozejrzał się w lewo i w prawo.

Nie było wątpliwości - ranczo stało w ogniu.

Człowiek, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa podłożył ogień, omal nie zmiotł go z szosy.

Karen wyszła z łazienki, nałożyła flanelową piżamę i nagle poczuła swąd. Sekundę później w pokoju na parterze zawyły czujniki dymu.

Włożyła buty, chwyciła szlafrok i popędziła w stronę schodów. Gęsty, siny dym kłębił się już u ich stóp.

- Opanuj się! - nakazała sobie. - Skup się.

Pod oknem w sypialni znajdowała się sznurowa drabinka, mogła więc wyjść przez okno. Wydało jej się to bardziej bezpieczne niż droga przez parter, gdzie już się paliło. Sądząc po wyjących alarmach, ogień musiał się już na tyle rozprzestrzenić, że i tak nie zdołałaby go sama ugasić - nawet gdyby udało jej się dotrzeć do gaśnicy, którą trzymała w kuchni.

W drodze do sypialni chwyciła bezprzewodowy telefon i wystukała numer 911.

- Pali się - powiedziała dyspozytorce. - Nie widzę płomieni, ale dym jest już na schodach.

- Możesz wydostać się z domu? - zapytała ze spokojem Birdie Cox. Karen usłyszała, jak wzywa przez radio

ochotniczą straż pożarną, podając adres. - Masz przy sobie telefon?

- Tak, wyjdę przez okno. Mam sznurową drabinę. Poradzę sobie.

- Patrz w dół - doradziła jej Birdie. - Upewnij się, że płomienie nie buchają przez okna na dole. Nie rozłączaj się. Włóż telefon do kieszeni i schodź. Daj mi znać, kiedy bezpiecznie wylądujesz na ziemi.

- Dowiesz się o tym pierwsza - obiecała jej Karen, po czym wyjrzała przez okno i zrzuciła drabinę. Dym wydobywał się przez wszystkie okna, nie widziała jednak płomieni.

Wzięła głęboki oddech, wspięła się na parapet, po czym zaczęła schodzić po drabinie. Kiedy poczuła pod stopami ziemię, cofnęła się i popatrzyła na dom, próbując zlokalizować źródło pożaru.

- Birdie, jestem już bezpieczna - powiedziała do słuchawki. - Mam wrażenie, że najgorzej jest w przedniej części domu.

- Dwa wozy z dwunastką ludzi są już w drodze. Nie próbuj strugać bohaterki. Zachowaj spokój i pozwól im działać.

Birdie nie skończyła jeszcze mówić, gdy Karen usłyszała wycie syren w oddali. I jeszcze coś - to ktoś rozpaczliwie wykrzykiwał jej imię.

- Karen, Karen, gdzie jesteś?

Głos - niewątpliwie Grady'ego - zdawał się dobiegać z głębi domu.

Rzuciła się z krzykiem w stronę wejściowych drzwi.

- Grady, jestem tutaj, na dworze! Grady!

Była w połowie schodów na ganek, gdy poprzez gęsty dym dostrzegła sylwetkę Grady'ego. Odwrócił się powoli, a potem, kaszląc, zgiął się wpół. Już chciała do niego podbiec, kiedy ruszył w jej stronę, wśród płomieni i trzaskających desek.

Kiedy do niej dotarł, wciąż się krztusił, twarz miał osmaloną i nadpalone ubranie. Uszczęśliwiona, rzuciła mu się w objęcia.

- Dzięki Bogu - wyszeptał. - Zobaczyłem łunę, jak tylko zjechałem z głównej drogi. - Odsunął ją od siebie. - Nic ci nie jest? Byłaś w domu, kiedy wybuchł pożar? Jak to się stało?

Nagle jakby uszły z niej wszystkie siły. Poczowała, że się słania na nogach, i ciężko oparła się o Grady'ego.

- Och, kochanie - szepnął, tuląc ją do piersi - wszystko będzie dobrze.

Nareszcie bezpieczna, Karen odważyła się wreszcie spojrzeć na dom. Mimo wysiłków straży pożarnej dach stał już w płomieniach. Łzy napłynęły jej do oczu i potoczyły się po policzkach. Wszystkie jej wspomnienia łączyły się z tym domem, a teraz miały zostać pogrzebane pod jego gruzami. Jakby świat miał się skończyć w tym piekle. Czy jej życie wróci jeszcze kiedykolwiek do normy?

Strugi wody, skierowane na dom, zamieniały się w obłoki syczącej pary, nie czyniąc większej szkody płomieniom.

Patrząc na to, Karen jęknęła boleśnie. Grady chwycił ją na ręce, zaniósł do furgonetki, opatulił kocem i włączył ogrzewanie. A potem sam usiadł za kierownicą.

Odgarnął jej włosy i delikatnie pogłaskał po policzku.

- Porozmawiaj ze mną, Karen. Jak się czujesz? Nie jesteś poparzona?

- Nie - odparła zdławionym szeptem. - Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

- Trzeba poczekać, co powiedzą strażacy. Michael też powinien się zjawić lada chwila. Zadzwoiłem po niego.

Karen zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

- Po co wezwałeś szeryfa? - zapytała. - Uważasz, że to było podpalenie, prawda?

- A ty tak nie uważasz? - zapytał. - A może zostawiłaś włączony piecyk? Albo zapomniałaś ustawić parawan przed kominkiem? Czy to możliwe, by gdzieś nastąpiło zwarcie?

Rozgniewał ją ten kpiący ton. Zmarszczyła brwi.

- To mogła być każda z tych rzeczy - odparła. Nie potrafiła nawet dopuścić myśli, że ktoś umyślnie podpalił jej dom.

- Naprawdę? - Grady sceptycznie pokręcił głową.

- Nie - przyznała. - Piecyk był przez cały wieczór wyłączony. Nie rozpalałam też na kominku, ale to mogło być zwarcie. Instalacja jest już mocno przestarzała.

- Może tak, a może nie - powiedział Grady. - Gdzie są Hank i Dooley?

- Ostatni raz widziałam ich przed kolacją. Dałam im wolny wieczór.

Grady spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo pilnowali mnie od wielu dni bez przerwy. Należała im się przerwa.

- Siedź tu! - rozkazał Grady. Karen nigdy dotąd nie widziała go tak wzburzonego.

- Gdzie idziesz? - zapytała, trzęsąc się z zimna. Marzyła mimo koca i włączzonego ogrzewania.

- Zajrzę do baraku, a potem rozejrzę się po okolicy. Może dołączyli do strażaków.

Skinęła głową i patrzyła, jak odchodzi. Dopiero kiedy zniknął, uświadomiła sobie, że pojawił się dokładnie w chwili, gdy ogień pochłonał ranczo, które ich dzieliło.

Grady wprost kipiał z wściekłości. Dooley nie powinien był opuszczać rancza. Czy nie rozmawiali o tym dziesiątki razy? Karen nie miała prawa zostać sama. Nawet gdyby się upierała.

W baraku nie zastał nikogo. Gdyby jednak któryś z mężczyzn był na ranczu, na pewno usłyszałyby wycie syren i przybiegł z pomocą. A skoro żaden z nich się nie pojawił, musieli pojechać do miasta.

W drodze powrotnej rozglądał się za nimi, ale dopiero gdy dochodził do furgonetki, zobaczył, jak wysiadają z wozu Hanka.

- Co się stało? - Dooley z przerażeniem popatrzył na pogorzeliśko.

- To ja się ciebie pytam. Gdzie byliście tej nocy?

- Szeftowa się uparła - bronił się Hank.

- A nie mówiłem, żeby jej nie słuchać - włączył się Dooley. - Trzeba było zostać, tak jak nam kazał pan Grady.

- Gdzie byliście?

- Wmieście.

- W Winding River?
- Nie. Pojechaliśmy w drugą stronę, do Little Creek. Jest tam bar z grającą szafą, do którego wpadają ładne dziewczyny - odparł Hank. - Ale nie byliśmy długo. Zjedliśmy kolację i zaraz wróciliśmy do domu, bo Dooley strasznie poganiał.
- Spojrzał na pogorzelnisko. - Chyba miał powody, żeby się niepokoić.

Grady zamyślił się.

- Spotkaliście kogoś znajomego? - zapytał wreszcie.
- Był cholerny tłok. W sobotę wszyscy dostają wypłatę - odrzekł Dooley.
- Dobrze się zastanówcie - powtórzył Grady. - Na pewno nikogo nie widzieliście?

Mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę. Potem Dooley spojrzał na Hankę.

- Czy mi się zdawało, czy rozmawiałeś z Joe Keeleyem?
- Kto to jest ten Keeley? - zapytał Grady.
- Pracuje u Oldhamów - odrzekł Hank.

Jeden rzut oka na twarz Dooleya powiedział Grady'emu, że obaj doszli do tego samego wniosku: Oldhamowie mogli wiedzieć, że tej nocy Karen została sama na ranczu.

- Myśli pan to samo co ja? - zapytał Dooley.
- Trzeba powiedzieć o tym szeryfowi. On będzie wiedział, co robić - zdecydował Grady, choć tak naprawdę miał ochotę wziąć sprawę we własne ręce. Wspomnienie Karen, patrzącej ze łzami w oczach na to, co zostało z domu, przeważało szalę.

- Chodźmy - zarządził, po czym spojrzał na Hankę. - Karen jest w mojej furgonetce. Siedź z nią i nie ruszaj się na krok, choćby ci proponowała milion dolarów. Zrozumiałeś?

Hank pokiwał głową.

- Tak mi przykro - westchnął, patrząc na dymiące resztki. - Ostatnio było tu tak spokojnie. Myślałem, że nic się nie zdarzy.

- Wiem - powiedział Grady.

- Jak mnie zapyta, gdzie pan poszedł, to co mam jej powiedzieć?

- Chyba nie warto jej mówić, żeby sobie tym nie zwracała swojej ślicznej główki?

- Raczej nie - wtrącił się Dooley. - Przynajmniej jeżeli panu zależy na tym, żeby chciała jeszcze z panem rozmawiać.

Grady pokiwał głową.

- No to jej powiedz, że pojechaliśmy pogadać z sąsiadem i mamy nadzieję wrócić z odpowiedzią, co się tu stało tej nocy.

- Jak to usłyszysz, zaraz za nami poleci - stwierdził Dooley.

- Nie zrobi tego, jeżeli Hank będzie jej dobrze pilnował.

- Nasza szefowa potrafi każdego przechytrzyć - westchnął Dooley.

Grady i Hank wymienili spojrzenia.

- Ale nie tym razem - orzekł Grady.

Miał nadzieję, że Karen będzie czekała tam, gdzie ją zostawił. Później podyskutują o tym, jaki to z niego szowinistyczny macho. Gotów jest nawet rozmawiać o tym godzinami, kiedy wreszcie bezpiecznie wylądują w łóżku.

Kiedy we wnętrzu wozu zrobiło się za gorąco, Karen wyłączyła ogrzewanie. Mimo to temperatura jeszcze

wzrosła, odkąd Hank wyznał jej, że Grady pojechał, żeby przeprowadzić prywatne śledztwo.

- Dokąd pojechał?! - krzyknęła z furją.

- Pogadać z sąsiadem. - Hank wiał się pod jej spojrzeniem.

- Bez uzgodnienia ze mną - mruknęła, głównie do siebie.

- Spieszyło mu się - próbował go wytłumaczyć Hank.

- Jest z nim Dooley. Nic mu nie będzie.

- Nie martwię się o jego bezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, mam ochotę własnoręcznie go udusić. Nie przyszło mu do głowy, że powinnam wziąć udział w tej wyprawie?

- Owszem, była o tym mowa - przyznał Hank. - Powiedział, że lepiej będzie, jeżeli pani tu zostanie.

- Naprawdę tak powiedział? - Karen poczerwieniała z złości.

- Tak, ale myślę, że on wiedział, że pani się to nie spodoba.

- Mimo to nawet mnie nie zapytał, prawda? - spytała z wściekłością.

- Prawda, proszę pani.

- Skoro tak... - mruknęła, zdecydowana wziąć sprawę we własne ręce. - Hank, włącz silnik.

- Słucham panią? - zmieszał się Hank.

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? - Karen przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał, ale nie zaskoczył. - Wiesz chyba, co masz robić.

- Tak, proszę pani, ale uważam, że to zły pomysł.

- Niby dlaczego?

- Bo pan Grady liczy na to, że pani tu poczeka.

- No to się przeliczy - burknęła Karen. - Albo poprowadzisz, albo zejdź mi z oczu!

Hank niechętnie uruchomił silnik i wrzucił pierwszy bieg.

- Gdzie jedziemy?

Karen zawahała się. Hank wyraźnie nie zamierzał jej zdradzić, którego sąsiada Grady podejrzewał o podłożenie ognia.

- Jeżeli natychmiast nie zawieszysz mnie tam, dokąd pojechali, wyleję cię z pracy i dopilnuję, żebyś nie dostał roboty w całym Wyoming. Co ja mówię, w całym kraju!

Hank spojrzał na nią urażonym wzrokiem.

- Ja tylko robię to, co kazał mi pan Grady.

- Ale ty nie dla niego pracujesz - przypomniała mu, czując, że jej cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

- Może i nie, ale sama pani widzi, co się stało, kiedy go nie posłuchałem. - Hank spojrzał na dymiące pogorzelnisko.

Karen westchnęła.

- Masz rację. Zgaś silnik.

Hank z ulgą pokiwał głową.

- Słuszna decyzja, proszę pani. - Nagle się rozpromienił. - I do tego w samą porę. Szeryf przyjechał.

Karen wyjrzała przez okno i zobaczyła Michaela, który zbliżał się do furgonetki.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, gdy owinięta w koc wysiadła, żeby się z nim przywitać.

- Bywało lepiej - odparła szczerze, po czym skinęła w stronę domu. - Jak brzmi werdykt?

- Podpalenie - odparł zwięźle. - Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Wykryto ślady benzyny oraz

strzępy szmat jakieś trzydzieści jardów od okna jadalni. Prawdopodobnie sprawca wrzucił do domu bombę zapalającą. To dziwne, że nie usłyszałaś brzęku tłuczonego szkła.

- Brałam prysznic, kiedy to się zaczęło.

- Miałaś szczęście, że byłaś na piętrze, bo zdążyłaś uciec, zanim ogień się rozprzestrzenił. - Michael zajrzał do furgonetki i zobaczył Hanka.

- Myślałem, że jest z tobą Grady - powiedział ze zdumieniem.

- Był tu przez cały czas.

- A gdzie jest teraz?

- Sprawdzają coś z Dooleyem - odparła wymijająco.

- Jesteś tego pewna?

- Oczywiście - potwierdziła stanowczo, gdyż uznała, że lepiej nie wtajemniczać szeryfa w pewne sprawy.

- A może się zdenerwował, kiedy zobaczył, że się tu kręcę? - zapytał Michael.

- Przecież to on cię wezwał - przypomniała mu Karen. Michael bez przekonania pokiwał głową.

- To prawda. A dokąd pojechał?

- Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą.

- Pogadam jeszcze ze strażakami. - Szeryf posłał Karen groźne spojrzenie. - Lepiej znajdź tego twojego przyjaciela i przywieź go z powrotem, bo jak nie, to sam zaczęną go szukać. A wtedy znajdzie się na pierwszym miejscu listy podejrzanych.

Kiedy szeryf odszedł, Karen spojrzała na Hanka.

- Słyszałaś?

Hank pokiwał głową.

- Musimy go ostrzec.

Hank ciężko westchnął i przekręcił kluczyk.

- No to jedziemy.

Karen wsiadła do furgonetki i poklepała go po kolanie.

- Nie przejmuj się. Tak trzeba.

- Skoro pani tak uważa.

- Tak uważam. Chyba lepiej, żebym to ja skręciła mu kark, niż gdyby miał to zrobić szeryf.

Scandalous

ROZDZIAŁ 15

Gdy Grady obejrzał samochód Jesse Oldhama, zaparkowany za stodołą, nabrał pewności, że to ten sam wóz, który widział, jadąc do Karen. Dotknął maski. Mimo przenikliwego chłodu wydała mu się jeszcze ciepła. Chociaż... może to tylko złudzenie?

- I co pan na to? - zapytał Dooley.

- Na razie nic. Rozglądam się. - Otworzył drzwi i zaczął obwąchiwać wnętrze wozu. Tym razem to już nie była wyobraźnia - wyraźnie pachniało benzyną. Przywołał Dooleya i odsunął się na bok.

- Powąchaj. Co czujesz?

- Benzyna. Teraz wszystko jasne - stwierdził Dooley, a w jego oczach pojawił się groźny błysk. - Uduszę tego drania własnymi rękami.

- Nie bez mojej pomocy - dorzucił ponuro Grady.

Przeszli przez podwórze. Kiedy stanęli przed drzwiami, zamiast zapukać, Grady wyważył je ramieniem. Weszli do mrocznej sieni.

- Co to za hałasy? - rozległ się rozespany głos. Jesse Oldham wyłonił się z pokoju, w którym oglądał telewizję. Na widok Grady'ego w jego oczach mignął strach.

- Co tu robicie? - zapytał.

- Przyszliśmy z sąsiedzką wizytą.
- Z sąsiedzką wizytą? Mało mi nie wyłamałeś drzwi!
Poza tym, nie jesteś moim sąsiadem. I nigdy nim nie zostaniesz, jeżeli jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

Grady przyglądał mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Niby dlaczego? - zapytał w końcu. - Przecież chodzi mi głównie o ziemię. A dom, spalony czy nie, nie przedstawia dla mnie większej wartości.

Jak się można było spodziewać, Jesse nie wyglądał na specjalnie zszokowanego wiadomością.

- Nie jesteś zaskoczony? - zapytał go Grady.
- Czym? Że na ranczu był pożar? - Jesse wzruszył ramionami. - A czemu miałbym być? Policijny kanał trąbi od tym od kilku godzin. Dawno nie było tu takiego zamieszania.

- Pewnie tak - przyznał Grady. - Jednak podejrzewam, że możesz wiedzieć o tym również z innych źródeł.

- Na przykład jakich?
- Takich, że tam byłeś w chwili, gdy wybuchł pożar - powiedział Grady. - To ty byłbyś mnie staranował swoim wozem, prawda?

Jessie lekko zbladł.

- To nie ja. Ja siedziałem do późnej nocy przed telewizorem.

- Czy twoja żona może to potwierdzić?
- Poszła wcześniej do łóżka. Zaraz po kolacji. Bolała ją głowa.

- A Kenny? - zapytał Dooley. - Gdzie był tej nocy?
- Nie śledzę go przecież. To duży chłopak. Gdzieś tam

chodzi sobie z kolegami. Teraz jest w swoim pokoju. Słyszałem, jak wrócił do domu.

- O której? - zapytał Grady. Jeżeli Kenny Oldham wrócił w ciągu ostatnich dwóch godzin, stawiało go to w rzędzie podejrzanych.

Jesse musiał dojść do tych samych wniosków.

- Nie wiem - mruknął w końcu. - Zdrzemnąłem się w którymś momencie.

- Tak? Ale o pożarze słyszałeś, chociaż zasnąłeś?

Jesse ze współczuciem pokiwał głową.

- To straszne.

- Jednak nie na tyle straszne, żebyście z synem przyjechali gasić ogień. Należysz do ochotniczej straży pożarnej, prawda? - Grady wiedział, że prawie wszyscy mężczyźni w okolicy się zgłosili.

- Źle trafiłeś. - Jesse klepnął się w pierś. - Kiedyś byłem, ale już nie jestem.

Gdy Grady miał zażądać, by Jesse wezwał syna na rozmowę, drzwi otworzyły się z hukiem i w progu stanęła Karen. Towarzyszył jej stropiony Hank.

- Przepraszam - powiedział. - Mieliśmy powody, żeby tu przyjechać.

Grady spojrzał na Karen. Była blada, a pod jej nienaturalnie błyszczącym oczyma ciemniały obwódki.

- Co się stało? - zapytał.

Karen popatrzyła na niego, a potem na Jesse, i znów na niego.

- Czy to twoja robota? - zwróciła się do człowieka, który był jej sąsiadem od lat.

Jesse stropił się i odwrócił wzrok.

- Jak już mówiłem twojemu znajomemu, przez całą noc nie wychodziłem z domu.

- Niestety, nie potrafił powiedzieć, gdzie był w tym czasie jego syn - wtrącił się Grady.

- Kenny? - Karen była zaszokowana. - Przecież on chętnie przesiadywał u mnie w kuchni i jadł ciasteczka, kiedy plotkowałyśmy z jego mamą. On by nigdy czegoś takiego nie zrobił.

- Zrobiłby wszystko, żeby go ojciec pochwalił - odezwał się nagle Dooley. - Chłopak potrzebował uznania, a Jesse zawsze miał go za nic, bo nie jest na tyle duży i silny, żeby zostać piłkarzem. Nie mam racji, Jesse?

W tej samej chwili Grady zauważył jakieś poruszenie na schodach. Na półpiętrze pojawił się Kenny.

- Zejdź, synu - powiedział łagodnie.

W obliczu tego, co przed chwilą usłyszał, było mu szczerze żal chłopaka.

Kenny zszedł na dół i utkwiał w ojcu przerażone spojrzenie. Był dość niski i wąły jak na swoje szesnaście lat. Przysunął się do Karen, a ona wzięła go za rękę.

- Czy to ty podłożyłeś ogień, Kenny? - zapytała ze smutkiem.

W oczach chłopaka pojawiły się łzy. Skinął głową.

- Przepraszam - wyszeptał. - Nie wiedziałem, że to się tak źle skończy. Przysięgam. Tata kazał mi tylko panią nastraszyć. Powiedział, że musimy zdobyć tę ziemię, bo inaczej nigdy nie zyskamy pewności, że nasze bydło będzie miało dostęp do wodopoju. Mama pokłóciła się z nim okropnie. Powiedziała, że pani na pewno nie odcięłaby

nam dostępu do wody. Ale on mówił, że ranczo ma zostać sprzedane i nowy właściciel może nie respektować starej umowy, zawartej między przyjaciółmi. Bo ona nawet nie była notarialnie potwierdzona.

Karen spojrzała z gniewem na Jesse.

- Ty wstrętny tchórze! - syknęła. - Nie starczyło ci odwagi, żeby to zrobić samemu. Liczyłeś na to, że Kenny cię wyreży, żeby choć raz zasłużyć na twoją pochwałę. Co z ciebie za ojciec! Nie jesteś mężczyzną! Jesteś parszywym śmieciem! Bałeś się o wodę? To się bój. Twoje stado już nigdy więcej nie zbliży się do mojego strumienia. Z umową czy bez. Już ja tego dopilnuję.

Zachwiała się. Grady podszedł do niej, ale ona wyprostowała się, raz jeszcze spojrzała z pogardą na Jesse, po czym ruszyła w stronę wyjścia.

- Chodźmy stąd, zanim mnie zemdli z obrzydzenia.
- Dotknęła zalanej łzami twarzy chłopaka. - Dziękuję ci za to, że miałeś odwagę opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Hank, poczekaj tu na szeryfa - polecił Grady. - Ktoś powinien mieć na nich oko. - Ściszył głos. - Dopilnuj, żeby stary Oldham nie zrobił chłopcu krzywdy.

- Ja też z nim zostanę - odezwał się Dooley. - Trzeba będzie odwieźć go później do domu.

Grady pokiwał głową.

- Zadzwońię po szeryfa, a potem zabieram Karen do siebie. - Spojrzał na nią, ale twarz miała bez wyrazu. Doszedł do wniosku, że albo się zgadzała, albo była zbyt wyczerpana, by zaprotestować.

- Zobaczmy się rano - zwrócił się do Hanka i Dooleya, po czym dodał: - Dooley, dziękuję ci za wszystko.

Nie zapomnij powiedzieć szeryfowi, że Kenny bardzo nam pomógł.

- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że sąd zauważy różnicę między skołowanym chłopakiem, który podłożył ogień, a człowiekiem, który poddał mu tę myśl.

- Dopilnuję tego - obiecał Grady.

Podprowadził Karen do furgonetki i pomógł jej wsiąść. Na widok jej pobladłej twarzy ścisnęło mu się serce. Nie mógł się pozbyć uczucia, że to on uruchomił tę lawinę nieszczęść, rozgłaszając wszem i wobec zamiar kupna rancza.

- Przepraszam - powiedział.

Karen spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Za co? Nie miałeś z tym nic wspólnego.

- Oldham pewnie nie zrobiłby tego, gdyby się nie przestraszył, że straci dostęp do wody.

Karen potrząsnęła głową.

- To się zaczęło na długo przed tym, nim ty pojawiłeś się na horyzoncie. Pamiętaj, że on już Calebowi nie dowierzał.

Grady musiał przyznać, że to prawda, jednak nie umniejszyło to jego poczucia winy. Przez całą drogę milczał i tylko od czasu do czasu zerkał na Karen.

Kiedy dojechali na miejsce, wprowadził ją do domu i pokazał łazienkę.

- Weź gorącą kąpiel, a ja w tym czasie zadzwonię do twoich przyjaciółek. Powiem im, co się stało, i uprzedzę, że zostaniesz tu przez jakiś czas. Na drzwiach wisi szlafrok. Trochę za duży, za to ciepły.

Pokiwała głową, po czym wycofała się do łazienki. Grady stał pod drzwiami, wsłuchując się w szum lejącej się wody, i dopiero gdy usłyszał cichy plusk, oznaczający, że

Karen weszła do wanny, poszedł do kuchni i nastawił mleko. Może szklanka gorącego mleka sprawi, że łatwiej zasną?

Potem zadzwonił do Cassie. Na szczęście odebrał Cole. Grady opowiedział mu, co się wydarzyło.

- Gdyby nas potrzebowała, możemy być u ciebie za godzinę - zadeklarował Cole.

- Myślę, że powinna się teraz przespać. Może przyjechalibyście rano?

- Dobrze - obiecał Cole. - Zawiadomimy też pozostałe dziewczyny.

Karen spędziła noc w ramionach Grady'ego. Nie próbował się z nią kochać, bo po tym, co zaszło, byłoby to wykorzystywaniem jej słabości. Karen doceniła tę delikatność, jak również to, że był z nią w godzinie próby. Prawdę mówiąc, wszystko wskazywało na to, że będzie go zawsze kochała.

Niestety, nie mogła mu tego powiedzieć. Podobnie jak nie mogła z nim zostać. Miała przecież obowiązki względem pamięci Caleba. Nagle chwyciły ją obawy, że nie uwolni się od nich do końca życia.

Kiedy Gina, Emma, Cassie i Cole przyjechali nazajutrz na rancho Grady'ego, podawali ją sobie z rąk do rąk, bezwładną niczym szmaciana lalka. Mimo to zapewniała ich z bladym uśmiechem, że czuje się już całkiem dobrze.

- To świetnie. Jakie masz plany? - zapytała Emma, kiedy usiedli przy stole, a Gina z miejsca zajęła się przyrządzaniem śniadania

- Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. - Grady spojrział na Karen.

Pokusa była bardzo silna, jednak Karen potrząsnęła głową.

- W baraku jest wolna izba. Wprowadzę się tam na czas budowy. Coś się wam nie podoba? - spytała wyzywającym tonem, widząc zaskoczone miny przyjaciółek.

- Po co to robisz? - zapytała Cassie. - Przecież wcale tego nie chcesz.

- Właśnie, zechcę. Caleb...

- Caleb nie żyje! - przerwała jej ostro Cassie. - Przykro mi, ale to prawda. Wszyscy o tym wiemy.

- No tak, ale jestem mu to winna - upierała się Karen. Spojrzała na Grady'ego. Na jego twarzy malowała się rezygnacja, a raczej bezbrzeżny smutek.

- Tak mi przykro - wyszeptwała.

- Wiem. - Pokiwał głową.

Po tym wszystkim nikt już nie wiedział, co powiedzieć. Śniadanie Giny stygło na talerzach, póki ich nie zebrała ze stołu i rozgniewana nie wyrzuciła resztek do śmieci.

- Zostaw to - odezwał się Grady. - Później pozmywam.

- Musimy już wracać - stwierdził Cole. Spojrzał ze współczuciem na Grady'ego, a potem z niepokojem na Karen.

- Możecie mnie podrzucić na ranczo? - zwróciła się do nich Karen.

- Ja cię odwiozę - uniósł się Grady.

- Ale...

- Odwiozę cię - powtórzył.

Pokiwała głową, po czym uściskała pozostałe przyjaciółki.

- Dziękuję, że przyjechałyście.

- Dzwon, gdybyś nas potrzebowała - powiedziała Emma. - Po południu zabiorę cię na zakupy. Nawet nie masz co na siebie włożyć.

Dopiero teraz Karen uświadomiła sobie, że straciła wszystko - nie miała nawet szczoteczki do zębów. I to przepełniło czarę goryczy. Maskę spokoju wreszcie z niej opadła. Wstrząsnął nią szloch, tłumiony od wczoraj łzy polały się po policzkach.

Po wyjściu gości Grady wziął ją w objęcia. Mruczał kojące słowa, a Karen płakała, póki nie zbrakło jej łez.

- Mój Boże, muszę wyglądać okropnie.
- Nieprawda. Wyglądasz ślicznie - zapewnił ją Grady.
- Kłamczuch.
- Nie. Dla mnie zawsze będziesz piękna.

Uniosła głowę i zobaczyła w jego oczach wyznanie.

- Kocham cię - powiedziała - ale muszę tak postąpić. Powiedz, że mnie rozumiesz.

- Nie rozumiem cię. - Otarł jej zażławione policzki.
- To bez znaczenia. Wystarczy, że ty uważasz to za jedyne wyjście.

- Nie wiem, co będzie dalej - wyznała mu szczerze.
- Nie mam prawa cię prosić, żebyś czekał. Prawdę mówiąc, powinienes chyba machnąć na mnie ręką.

Grady uśmiechnął się.

- Nigdy w życiu. Kiedy wybudujesz dom i dojrzejesz do decyzji, co dalej zrobić z własnym życiem, będę na ciebie czekał.

Ta obietnica dodała jej sił. Może decyzja o odbudowie domu była szaleństwem, czuła jednak, że nie będzie wolna, póki tego nie zrobi. Nowy dom, kwitnące ranczo, staną

się pomnikiem poświęconym pamięci Caleba. Może wtedy będzie mogła wreszcie odejść i zacząć z Grady nowe życie.

Przez cały okres budowy Grady był wręcz bombardowany informacjami o postępie robót na ranchu. Jeśli nie przez Hanka i Dooleya, to przez przyjaciółki Karen. Wiedział nawet, kiedy wyschła ostatnia warstwa farby w kuchni, był też pierwszym, który się dowiedział, że ostatni robotnik opuścił budowę.

- Pojedź do niej! - błagała go Cassie, nie po raz pierwszy.

- Nie - odparł, zły, że uległ słabości i wpadł na obiad do Stelli.

Udając, że nie widzi jego zaciętej miny, Cassie dosiadła się do stolika.

- Przecież ona cię kocha. Wiem, że tak jest.
- Ja też wiem - przytaknął Grady.
- Dlaczego więc nie chcesz się z nią zobaczyć?
- Musi zdecydować, czy naprawdę chce tego, co jej proponuję. A kiedy już będzie wiedziała, sama do mnie przyjdzie.

- A co jej takiego proponujesz? - zapytała Cassie.
- Przyszłość.
- Czy ona o tym wie?
- Oczywiście.
- Naprawdę? Poprosiłeś ją o rękę? Ja nic o tym nie wiem.

Grady zmarszczył gniewnie brwi.

- No, może nie aż w tylu słowach - mruknął.

- Co powiedziałeś?
- Że nie użyłem przy tym aż tylu słów.
- Nic dziwnego, że się do ciebie nie zgłosiła. Przecież od miesiący nie dałeś znaku życia. Przypuszczalnie albo raczej na pewno doszła do wniosku, że przestałeś się nią interesować. Oczywiście nie ma o to do ciebie pretensji. Sama ci przecież radziła, żebyś o niej zapomniał.

- Ona ci to powiedziała?

Cassie westchnęła.

- Nie, ona z zasady mało mówi- Dziewczyna się wykończy, jeżeli ktoś jej tego w porę nie wyperswaduje.

- A tym kimś mam być ja, tak? - domyślił się Grady.

- Jeżeli to prawda, że ją kochasz... - wyzywającym tonem powiedziała Cassie. - Bo żadnej z nas nie udało się przemówić jej do rozumu.

Grady spojrzał groźnie, ale ona się nie poddawała.

- Dobrze już, dobrze - powiedział, rzucając serwetkę na stolik. - Poadę do niej.

- Koniecznie z zaręczynowym pierścieniem - zawołała za nim Cassie.

- Nie, z czymś znacznie bardziej przekonującym - odciął się i nim Cassie zdążyła zażądać szczegółów, zatrzasnął z hukiem drzwi.

Zostawił jej też nieuregulowany rachunek. Pewnie uznał, że jest mu winna obiad, skoro nawet nie dała mu zjeść w spokoju.

Grady tymczasem pojechał do siebie, wszedł do gabinetu i wyjął z biurka papier, który podpisał wiele miesięcy temu. A wraz z nim kopertę, która także czekała już od dłuższego czasu, oraz małe, ozdobne puzderko od

jubilera. Tym ostatnim na pewno sprawiłby radość Cassie, oczywiście gdyby o nim wiedziała. Dla Karen - tak przynajmniej sądził - większe znaczenie będą miały jednak papiery.

Już miał wyjeżdżać, gdy w drzwiach stanął Thomas Blackhawk. Na widok papierów i pudełeczka, które Grady trzymał w ręku, z aprobatą pokiwał głową.

- W samą porę - powiedział. Wszedł, postępując, do salonu i ciężko opadł na fotel.

- Widzę, że czujesz się tu jak u siebie w domu - ironicznie zauważył Grady.

- Dokładnie tak. Nie ruszę się stąd, dopóki nie namówisz tej kobiety, żeby za ciebie wyszła. Chciałbym jeszcze przed śmiercią zobaczyć swojego prawnika.

Za to wzruszające przedstawienie Grady nagroził go promiennym uśmiechem.

- Przy odrobinie szczęścia doczekasz co najmniej pół tuzina — obiecał.

Jeżeli tego właśnie chciał od niego dziadek, gotów był jak najszybciej spełnić jego życzenie.

- Najpierw ona musi powiedzieć „tak” - przypomniał Thomas.

- Powie, powie - zapewnił go Grady. Zbyt długo czekał, żeby przyjąć teraz inną odpowiedź.

Karen rozwieszała właśnie pranie na podwórku, gdy wóz Grady'ego skręcił z szosy w gościniec, wzniesając tumany kurzu. Serce zamarło jej w piersi, a ręce zastygły na sznurze. Sierpniowe słońce ostro przypiekało.

Patrzyła, jak Grady idzie ku niej, i krew coraz głośniej huczała jej w skroniach. Nie widziała go od tak dawna,

i - prawdę mówiąc - zwątpiła już, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Grady podszedł blisko, ale nie wziął jej w ramiona. Podał jej tylko kartkę z kilkoma wypisanymi na maszynie zdaniem, odręcznym podpisem oraz stemplem notariusza.

- Co to jest? - zapytała, patrząc na niego, a nie na papier.

- Przeczytaj.

Drżącymi rękami chwyciła kartkę i zaczęła czytać:

- „Jeżeli Karen Hanson zgodzi się zostać moją żoną, zrzekam się wszelkich roszczeń dotyczących majątku posiadane go przez nią w dniu ślubu oraz nabytego w trakcie naszego małżeństwa. Majątek ten pozostanie na zawsze jej wyłączną własnością i będzie nim mogła dowolnie dysponować”.

- To prawda? - zapytała, patrząc mu w oczy.

- Masz to na papierze - powiedział. - Tym razem dopilnowałem, żeby panna Ames patrzyła mi na ręce, kiedy składałem podpis. Nat Grogan także był przy tym obecny. Po ostatniej wpadce mają wobec mnie pewne zobowiązania.

- Czy udało im się znaleźć osobę, która sfałszowała tamte dokumenty?

- Nie, i powiedziałem im, żeby dali już sobie spokój. Jestem przekonany, że to był Jesse Oldham albo ktoś przez niego przekupiony, ale obawiam się, że się już tego nigdy nie dowiemy.

Karen spojrzała na trzymany w ręku papier.

- Kiedy to podpisałeś?

- Spójrz na datę.

Ku jej zdumieniu, dokument został sporządzony wczesną wiosną, na długo przed pożarem.

- Och, Grady... - wyszeptała. Czekał tyle miesięcy, zanim zdecydował się pokazać jej pismo na dowód tego, że znaczyła dla niego więcej niż ziemia. Mógł przecież w tym czasie wielokrotnie zmienić zdanie.

Jednak go nie zmienił. Spojrzała Grady'emu w oczy.

- Widzę, że jest tu mowa o małżeństwie. Czy to znaczy, że mi się oświadczasz?

Grady uśmiechnął się.

- Dość długo z tym zwlekałem, ale chciałem, żebyś miała jasność w jednej sprawie, zanim przejdziemy do następnej.

- W jakiej sprawie? - zapytała, choć było to jasne jak słońce.

- Że cię kocham i chcę spędzić z tobą resztę życia. - Sięgnął do kieszeni, wyjął pudełeczko od jubilera, a widząc, że Karen stoi bez ruchu, sam je otworzył.

Oczom Karen ukazał się elegancki pierścionek z brylantem - widomy dowód jego intencji.

- Zanim powiesz „tak” albo „nie”, chcę ci jeszcze coś pokazać - dorzucił.

Tym razem sięgnął do innej kieszeni i wręczył Karen grubą kopertę. W środku znalazła dwa bilety lotnicze. Do Londynu! Nie było na nich terminu rezerwacji, tylko data zakupu - także wczesna wiosna. Spojrzała mu w oczy.

- Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby zacząć nowe życie w jakimś neutralnym, romantycznym miejscu, gdzie

mógłbym ci naprawdę udowodnić, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie.

- Londyn! - westchnęła. Łzy napłynęły jej do oczu.
- Och, Grady, skąd wiedziałeś?

Roześmiał się.

- Że chciałybyś pojechać do Londynu? To nie było takie trudne. Podsunął mi tę myśl stos folderów na stole, kiedy złożyłem ci pierwszą wizytę. Poza tym, parokrotnie o tym wspomniałaś w naszych rozmowach.

- O mój kochany - powiedziała, tuląc się do niego.
- Skąd wiedziałeś, jak znaleźć drogę do mego serca?
- To było jeszcze prostsze - odparł. - Zajrzałem w głąb własnego.

Ich usta spotkały się w długim, czułym pocałunku. Gdy zabrakło im tchu, Karen cofnęła się i z bijącym sercem spojrzała na pierścienek, który Grady wciąż trzymał w ręku.

- Jestem gotowa - wyszeptała. Była gotowa od wielu tygodni, bała się jednak, że może jest za późno.

Grady'emu drżały ręce, gdy wsuwał jej na palec zaręczynowy pierścienek.

- Zaczynałem się już bać, kochanie, że nigdy cię nie zdobędę.
- Przepraszam, że to trwało tak długo.
- Warto było poczekać - powiedział, po czym znów dotknął ustami jej ust.

Wróg, przyjaciel, kochanek... a niedługo mąż. Karen poczuła, że ogarnia ją fala szczęścia. I wtedy pojęła, że tak miało być, bo są sobie na zawsze przeznaczeni.

EPILOG

Z sercem wezbranym radością Karen patrzyła na buzię synka. Ze swoimi czarnymi włoskami i ciemnymi oczyma, Thomas Grady Blackhawk był najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziała.

Jego pradziadek absolutnie się z nią zgadzał. Od wielu dni skakał nad nimi jak najczulsza niańka, karmiąc małego i nawet zmieniając pieluszki. Dla Karen było to wielkim zaskoczeniem. Do tej pory dziadek Grady'ego trochę ją onieśmiał. Teraz wreszcie odkryła, że ten dumny, surowy starzec miał miękkie serce.

Zrozumiała także, co powinna uczynić. Szczerze mówiąc, rozmawiała już z prawnikiem tego ranka i postanowiła, że powiadomi Grady'ego i dziadka o swojej decyzji właśnie dziś, po chrzcinach małego i wyjściu gości.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi. W progu stanęli obaj mężczyźni. Dziecko zakwiliło, jakby wyczuło, że dziadek pojawił się w pobliżu, i uspokoiło się dopiero wtedy, gdy wziął je na ręce. Karen ustąpiła im miejsca na bujanym fotelu, po czym podeszła do komody i wyjęła przygotowane wcześniej papiery.

- Co to jest? - zapytał Grady.

- Sam przeczytaj - powiedziała, wręczając mu je z uśmiechem.

Zaczął czytać, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Popatrzył uważnie na żonę.

- Naprawdę tego chcesz?

- To już załatwione.

- Co to jest? - zapytał dziadek.

- Akt darowizny rancza na rzecz Biura do spraw Indian - powiedział Grady. - Ma tu powstać ośrodek dla chłopców pochodzenia rdzennie amerykańskiego, którym trzeba dać jeszcze jedną szansę.

- Ranczo Blackhawków - odezwała się cicho Karen.

- Co powie na to rodzina Caleba? - zaniepokoił się Grady. - Będą wściekli.

- Już z nimi rozmawiałam. Powiedziałam im, co zamierzam zrobić i dlaczego. To była jedna z najtrudniejszych rozmów w moim życiu, ale wytłumaczyłam im, że jestem zdecydowana zrealizować swoje zamierzenie nawet bez ich aprobaty.

Wzięła Grady'ego za rękę.

- Wiesz, co powiedział jego ojciec?

Grady potrząsnął głową.

- Uznał, że to słuszna decyzja i że sam pewnie by to dawno zrobił, gdyby nie był tak zaślepiiony nienawiścią. Caleb mógłby wtedy wybrać sobie inne życie i na pewno nie umarłby tak wcześnie.

- A jego matka? - zapytał Grady. - Co ona na to wszystko?

- Zadzwoiła do mnie następnego dnia i przyznała mi rację. Powiedziała też, że nie powinna romansować z two-

im ojcem, ale to był naprawdę dobry człowiek i ten ośrodek będzie godnym pomnikiem jego pamięci. Chciała też, żebym w jej imieniu poprosiła cię o wybaczenie. Obwiniając cię przed laty o śmierć ojca, obarczyła cię ciężarem ponad twoje siły. - Oczy Karen napełniły się łzami. - Odniosłam wrażenie, że po tylu latach zawarłyśmy wreszcie pokój.

- Twoja decyzja to naprawdę wspaniały gest - rzekł cicho Thomas. - Uważam jednak, że powinno się dokonać drobnej zmiany.

- Jakiej? - zapytał Grady.

- Myślę, że to powinno być Ranczo Blackhawków-Hansonów. Dopiero wtedy wszystko będzie jak należy.

Karen zastanowiła się. Miała pewne obawy, czy nie umniejszą to znaczenia tego gestu wobec przodków Grady'ego.

- Jesteś tego pewny? - zwróciła się do dziadka, przyklękając obok fotela.

Thomas Blackhawk położył jej rękę na głowie, jakby chciał ją pobłogosławić.

- Absolutnie pewny, drogie dziecko. Żaden hołd składany przeszłości nie może być pełny, jeśli się lekceważy pewną część naszej historii.

- Wobec tego niech będzie Ranczo Blackhawków-Hansonów - odezwał się Grady. - Może któregoś dnia nasz syn poprowadzi ten ośrodek.

Cała trójka spojrzała na chłopczyka, który spał słodko w ramionach pradziadka. Godny potomek godnego dziedzictwa, pomyślała Karen, przenosząc wzrok z jego ojca na dziadka.

Uśmiechnęła się. Miała wokół siebie trójkę wspaniałych mężczyzn, nie licząc Kenny'ego Oldhama, który spę-

dzał u nich coraz więcej czasu, chcąc odpokutować swój postępek. W ten sposób otoczona była samymi mężczyznami. Pomyślała, że dla równowagi przydałaby jej się teraz córeczka. Spojrzała Grady'emu w oczy.

- Myślę, że twój dziadek panuje nad wszystkim - zaczęła.

- Absolutnie tak - uśmiechnął się Grady. - A co masz na myśli?

- Lepiej mu nie mów w mojej obecności - odezwał się Thomas. - Jestem już stary i nie muszę znać wszystkich szczegółów.

- Nie przejmuj się. Powiem mu to po cichu, kiedy zostaniemy we dwójkę.

Uśmiech rozjaśnił twarz starca.

- Jeżeli on sam nie domyśla się, o co chodzi, to nie jest moim wnukiem.

- Racja - przytaknął Grady, wyprowadzając Karen z pokoju. - Za dużą wagę przywiązuje się do słów.

- Wobec tego, pokażę ci - powiedziała, zamykając starym drzwiami do sypialni.

CASSIE COLLINS - przywódczyni Calamity Janes. Przepowiadano jej, że wyłąduje za kratkami. Wsławiła się pomalowaniem miejskiej wieży ciśnień na kolor różowy. To przez nią całe grono pedagogiczne żałowało, że wybrało zawód nauczyciela.

KAREN (PHIPPS) HANSON - bardziej znana jako Marzycielka. Miała podróżować po świecie. Należała do klubów francuskiego i hiszpańskiego. Zdobywczyni pierwszej nagrody w konkursie na najpiękniej pomalowaną świnię.

Gina PETRILLO - określana jako najbardziej smakowity kasek z całej klasy. Swoją popularność zawdzięczała temu, że nikt w całym mieście nie potrafił piec równie pysznych czekoladowych przekładańców. Liczne nagrody w lokalnych konkursach na najlepsze wypieki.

EMMA ROGERS - ta dziewczyna potrafiła nieźle wywijać kijem bejsbolowym. Miała nawet szansę zostać pierwszą kobietą w zawodowej lidze. Należała do klubu dyskusyjnego i paru innych kółek naukowych. Prymuska. Przewodnicząca klasy.

LAUREN WINTERS - dziewczyna, która miała na wszystko odpowiedź. To obok niej każdy chciał siedzieć na egzaminie. I to jej wrócono największy sukces. Królowa rodeo oraz gwiazda teatryku szkolnego.

Pięć bliskich koleżanek ze szkolnej ławy. Różne koleje losu, ale zawsze ta sama przyjaźń - żywa i szczerą. Dla tych pięciu kobiet nadszedł czas spełnionych marzeń.

Po latach Cassie połączyła się z ojcem swojego dziecka i stworzyła szczęśliwą rodzinę. Karen, która nagle straciła męża, znalazła oddanego sobie człowieka w osobie Grady'ego. A co przydarzy się Ginie?

Drogie Czytelniczki, będziecie się mogły tego dowiedzieć, czytając kolejną powieść Sherryl Woods w cyklu *Calamity Janes*, którą wydamy w sierpniu.

Scandalous